KONFEDERAT BARSKI



POWIEŚĆ W. PRZYBOROWSKIEGO





WALERY PRZYBOROWSKI

MŁODY KONFEDERAT BARSKI

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

DLA MŁODZIEŻY

Z 6 RYCINAMI

1923

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE

M. ARCT

Zakłady wydawnicze Sp. Akc. w Warszawie.
Księgarnia i skład nut. — Nowy Świat 35.

SKŁADY GŁÓWNE:

KATOWICE, Księgarnia Polska. Tow. Księgarń Śląskich.
LUBLIN, M. Arct i S-ka, Krak.-Przedm. 17.
LWÓW, Księgarnia Naukowa, Zimorowicza 17.
ŁÓDŹ, M. Arct i S-ka, Piotrkowska 105.
POZNAŃ, M. Arct, plac Wolności 7.
RÓWNE, Księgarnia Naukowa, Szosowa 27.
WILNO, Księgarnia Stow. Naucz. Polskiego, Królewska 1.

SKŁAD GŁÓWNY DLA KSIĘGARZY:

Dom Książki Polskiej, Warszawa, plac Trzech Krzyży 8.

Zakł. Graf.-Wydaw. „Książka" Moniuszki 11. Tel. 190 93.

ROZDZIAŁ I

w którym jest mowa o Bolku i Jurasiu i o tajemniczym żebraku.

Buum, buum, buum! rozlegały się dzwony z wieży cerkwi Bazyljańskiej, uwiadamiając mieszkańców Humania, że właśnie słońce dobiegło swej południowej doby i czas już zasiąść do obiadu. Dzień był śliczny, majowy, ciepły, a od stepów szła woń rozkwitających ziół, biegły jakieś prądy życia, wesela i radości, które, niestety! w tym pamiętnym 1768 roku miały się niebawem zmienić w jęki i płacz i śmierć, a budzący się do życia step ukrainny krwią zalać.

Rynek humański, brzmiący śpiżowym dźwiękiem dzwonów, niebawem zapełnił się rojem młodzieży, wybiegającej z gmachu szkolnego oo. bazyljanów i rozgwarem swoim głuszącej ich odgłos. Większość chłopców, dźwigając pod pachą książki, seksterny, linje i pióra, skupiła się koło studni, którą na samym środku rynku kazał kopać rządca Humańszczyzny pan Mładanowicz, zwykle zwany gubernatorem. Właśnie stał on przy niej, ubrany w szaraczkowy żupan i w pas włóczkowy, i słuchał z mi-

ną strapioną, jak mu robotnicy mówili, że cała praca na nic, bo choć wykopano sześćdziesiąt sążni, wody jednak nie było, a co gorsza, natrafiono na twardą opokę, której przebić niepodobna.

— Cóż teraz, wielmożny panie, będzie? — pytał studniarz, który prowadził robotę.

— A cóż? — odrzekł Władanowicz — chciałem dobrze zrobić miastu, ale jak nie można, to nie można.

Zaglądał do studni, nachylał się i wogóle miał minę bardzo strapioną.

— Tyle pracy i kosztów na nic! — mówił do siebie.

Otoczyła go gromada chłopców szkolnych, którzy, słuchając tych słów, zaglądali także do studni, popychali się, swawolili, bo ich, jak zwykle młodych, nic nie obchodziło strapienie pana gubernatora i radzi byli, że po kilkogodzinnem siedzeniu w szkole mogli poswawolić i wyprostować ramiona i nogi. Powoli jednak poczęli rozbiegać się w różne strony, bo najpierw nie było nic ciekawego do widzenia w studni, a potem żołądki ich upominały się o pokarm, a trzymające uczniów na stancjach różne mieszczki humańskie i szlachcianki wdowy gniewały się mocno, gdy się chłopcy spóźniali i barszcze wystygły, a pieczenie się przypaliły.

Z pomiędzy rozchodzącej się z krzykiem i śmiechem gromady uczniów wysunęło się także dwóch chłopców i skierowało się w uliczkę, zabudowaną drewnianemi domami, a prowadzącą ku rzeczce, płynącej koło Humania. Jeden z tych chłopców, wysoki, szczupły, ale rześki w ruchach, czerstwy na twarzy, z czarnemi oczami i takimże włosem, mógł liczyć koło czternastu lat.

Drugi, w tymże wieku, stanowił z pierwszym uderzający kontrast. Jak tamten był szczupły, może zanadto na swój wiek wybujały, silny brunet i energiczny, — tak ten był niski, tłuścioch, biały na twarzy, o oczach nie-

bieskich i włosach jasnych, jak konopie. Szedł wolno, nieco ztyłu za swym towarzyszem, krokiem leniwym, ze wzrokiem ospałym i ruchami miękkiemi. Dość grubą paczkę książek dźwigał pod pachą z taką miną, jakby one nie wiem ile ważyły i jakby go przygniatały swoim ciężarem, a szedł tak powoli, że towarzysz jego co chwila musiał się zatrzymywać i czekać na niego.

— Śpiesz się, Juraś — wołał — wleczesz się jak smoła, a jejmość Złotareńkowa będzie znowu nas łajała, że się spóźniamy.

— A niech sobie łaje — odrzekł na to blondynek, nazwany Jurasiem — mnie już wszystko obrzydło i chyba się utopię.

Na te słowa energiczny brunet rozśmiał się i rzekł:

— Czy dlatego chcesz się topić, że ci ksiądz Lachocki zapisał zły znak z algebry?

— Może i dlatego.

— A czemu się nie uczysz? Nie mówiłem ci wczoraj, żebyś się przygotował jak należy, bo dziś wyrwie cię ksiądz Algebra *). Nie słuchałeś mię, masz teraz! W sobotę stary Hryćko wsypie ci z piętnaście bizunów, a w domu, jak się ojciec dowie o tem, będzie jeszcze gorzej.

Mówiąc to, pełen życia i rześkości Bolek podskakiwał wesoło.

Tymczasem Jurasiowi łzy napłynęły do oczów; obcierając je nieznacznie, rzekł głosem płaczliwym:

— To jest bardzo brzydko, Bolek, że się śmiejesz z mego nieszczęścia.

— A cóż, może mam beczyć?

Juraś zrazu nic na to nie odrzekł, ale po chwili,

---

*) Dawniej w szkołach polskich uczniowie zwykle nazywali nauczycieli według przedmiotów przez nich wykładanych — a więc ksiądz Algebra, ksiądz Arytmetyka, ksiądz Historja i t. p.

opanowawszy rozrzewnienie, wzbudzone w nim zapewne niewesołą perspektywą sobotniej rozprawy z kalafaktorem Hryciem, rzekł już głosem spokojnym:

— Trzeba ci wiedzieć Bolek, że ja się wcale nie boję soboty.

— Hm! jużcić bać się niema czego... nie pierwszyzna to przecie, ale widzisz... zawsze to rzecz nieprzyjemna, a Hryć hultaj, czasem, jak jest w złym sosie, smaga, że aż skry w oczach świecą.

— Nie będzie już więcej smagał.

— Taak? a to dlaczego?

— Dlatego, że pojutrze szkołę zamykają i ksiądz rektor każe nam się do domów rozjechać.

— A to z jakiego powodu?

— Z takiego, że jeno patrzeć jak hajdamaki napadną na Humań. Nie słyszałeś o tem, czy co, że tak na mnie wytrzeszczasz oczy?

— Jużcić słyszałem, ale uważam to za bajki.

— Wszyscy jednak o tem mówią.

— A niech sobie mówią. Czy to Humań tak łatwo wziąć? niema to tu wałów, harmat, żołnierzy? A pan Gonta ze swymi kozakami to nic? Śmiej się z tego Juraś i nie licz na to, żeby cię napad hajdamaków ocalił od soboty i od Hrycia. Ha! ha! ha!

— Śmiej się, śmiej, a zobaczysz, że nas rozpuszczą pojutrze, a może nawet jutro. Sam słyszałem, jak z księdzem rektorem rozmawiał dziś o tem ksiądz Arytmetyka.

Bolek przez chwilę milczał zamyślony, wreszcie rzekł:

— Zawszeć to dziwne, jeżeli to prawda, co mówisz. Bo gdzież my pojedziemy? Na wieś do Sokołówki? Czy to tam bezpieczniej, niż w Humaniu? Gdyby to, co gadają o hajdamakach, było prawdą, tożby moja mama już dawno uciekła z Sokołówki do Humania, a twój ojciec z Łuczyniec.

— Mój ojciec już dawno nie jest w Łuczyńcach.

— A gdzież?

— W Barze, a może nawet teraz w Berdyczowie.

— W Berdyczowie? a pocóż on tam pojechał?

— Przystał do konfederatów.

— Do konfederatów? Bój się Boga, więc to o tej konfederacji prawda?

— A prawda.

— Ale skądże ty o tem wszystkiem wiesz? — pytał natarczywie Bolek, a czarne oczy błyszczały mu, jak rozżarzone węgle.

Juraś obejrzał się dokoła i, przysunąwszy się do swego towarzysza, rzekł szeptem:

— Widzisz, ja już od wczoraj wiem o tem, ale przysięgnij mi, że nikomu nie powiesz, bo to wielki sekret. I ja dlatego nie nauczyłem się tej przeklętej algebry, bom miał wczoraj głowę czem innem zajętą. Gdzie tam teraz o algebrze myśleć!...

— Dobrze! dobrze! ale gadajno, cóż to za sekret? — nalegał Bolek.

— Taki sekret, że konfederację przeciw królowi Poniatowskiemu zawiązała szlachta w Barze, na Podolu.

— Ale skądże ty o tem wiesz?

— Stąd, że wczoraj poszedłem za bramę od Hajsyna, bo powiadali, że tam mnóstwo już zjechało się szlachty, szlachcianek i żydów, uciekających przed hajdamakami... chciałem zobaczyć czy to prawda?

— No i co? Czy wistocie zjechała się tam szlachta i żydy?

— A wistocie, ale jeszcze ich tam niewiele... powiadają, że będzie daleko więcej...

— Wszystko to są bajdy... ale cóż ta konfederacja! Kto ci o niej powiedział i o twoim ojcu?

— Pan Szafrański, jeometra. Spotkałem go właśnie

w bramie, a on mi powiada: — Juraś, jak się masz? wiesz o tem, że w Łuczyńcach nikogo niema? — Więc ja go zacząłem wypytywać, co i jak, a on mi powiada: — Rodzic twój siadł na konia i z dziesięciu kozakami pojechał do konfederatów do Baru. Ale nie gadaj, mówił, o tem nikomu, bo poco ma kto wiedzieć? Mogliby potem ojca twojego pociągać... lepiej trzymać język za zębami. — To wszystko, co mi powiedział pan Szafrański, a to mię tak zalterowało, że nie mogłem myśleć o algebrze. Ale i ty, Bolek, nie gadaj o tem nikomu, bo to sekret!

— Co mam gadać? cóż to, nie rozumiem czy co, że trzeba język trzymać za zębami. Ale mi to wszystko bardzo dziwne, bo...

Nie skończył, bo nagle do nich zbliżył się jakiś żebrak i, wyciągnąwszy zabrudzoną rękę, począł płaczliwym głosem prosić o jałmużnę:

— Dla Chrysta, harne panycze! dla Chrysta! — wołał.

Żebrak był niski, zgarbiony, ubrany w podartą sukmanę, z której jeno strzępy wisiały, nogi bose poowijane szmatami. Przez plecy miał przewieszone dwie ogromne torby, dobrze czemś wypchane i opierał się na ciężkim, grubym kiju, wyglądającym raczej na zbójecką pałkę, niż na podporę starości. Nie potrzebował on zresztą tej podpory, bo choć miał dużą siwą brodę, nie zdawał się być wcale starym. Był barczysty, silny, a z pod brudu, pokrywającego mu twarz, przebijały żywe, młode rumieńce; z pod wąsów zaś, prawie czarnych, stanowiących uderzającą sprzeczność z białą brodą, wyglądał szereg zdrowych, mocnych zębów. Najwyraźniej jednak świadczyły o jego młodości oczy ciemne, bystre, pełne blasku, niespokojnie biegające dokoła. Stał, opierając się na swej pałce, garbiąc się coraz bardziej i głosem płaczliwym, dygoczącym jęczał:

— Rady Chrysta wspomogite panycze!

Wyciągał brudną, potężną łapę, którą mógłby niedźwiedzia udusić. Nie patrzył na chłopców, których o jałmużnę prosił, ale strzelał oczami po bokach z widocznym niepokojem.

Bolek już sięgnął ręką do swej, niezbyt zresztą bogatej kalety, by jakim szelągem obdarzyć żebraka, gdy te jego ruchliwe, biegające spojrzenia, świadczące o obawie, zwróciły uwagę chłopca. Począł się baczniej przypatrywać proszącemu „didowi“, jak na Ukrainie nazywano żebraków, i nagle zawołał:

— Co to? Iwan Nieżywy? a wy co tu robicie w Humaniu?

Na dźwięk tego nazwiska „did“ skoczył, jakby go co podrzuciło i swe duże, czarne, złe oczy wlepił w Bolka z takim wyrazem, jakby się chciał rzucić na niego. Ale widocznie opanował się zaraz, bo spuścił wzrok w ziemię, pokornie zdjął czapkę z głowy, i rzekł:

— A! to wy, panyczu! sława Bohu, żem was znalazł.

— Czyś mnie szukał? — spytał Bolek z pewnem niedowierzaniem, przypatrując się łachmanom Nieżywego.

— Ta jakże! ja szukał panycza, no i sława Bohu, znalazł.

— A czegóż ty chcesz ode mnie?

— Ta wam zwisno. Ja tu wprost z Sokołówki.

Bolek z coraz większem niedowierzaniem spoglądał na „dida“ i dość chłodno zapytał:

— Z Sokołówki? a cóż słychać w Sokołówce?

— Taj co ma być słychać! źle słychać!

— Cóż takiego?

— Ja tu od mamy panycza, od jasnej pani strukczaszyny. Ona mnie tu do was przysłała.

— Tak?...

Innym razem byłby Bolek przyjął tę wiadomość od

swej matki, której już kilka miesięcy nie widział, z prawdziwą radością, ale teraz poselstwo to wydało mu się podejrzanem i dlatego tak chłodno pytał. Znał Iwana Nieżywego jako garncarza w Sokołówce, wsi, którą jego matka trzymała w zastawie od jaśnie wielmożnego pana Potockiego, wojewody kijowskiego; wiedział, że Nieżywy jest zamożnym gospodarzem i dziwnem mu się wydało, że przybył do Humania przebrany za żebraka, i że matka takiego gońca wybrała, kiedy na swym dworze do posyłek miała kilku kozaków. Dlatego z niedowierzaniem patrzył na Iwana, oglądał jego łachmany i chłodno a podejrzliwie słuchał jego odpowiedzi.

— Dlaczego mama nie wysłała Wasyla lub Zachara, tylko was, panie Nieżywy?—pytał.

— Skąd mnie wiedzieć o tem. Przyszeł do mnie ze dworu podstarości, pan Jabłoński i każe: — Iwan, ruszaj do Humania do panycza! Nu, to ja i poszeł.

— To dziwne, przecie zawsze jeździ Wasyl lub Zachar.

— Wasyla i Zachara już niema we dworze jasnej pani.

— A gdzie są?

— Poszli do rezuniów.

— Co mówisz, panie Nieżywy? do rezuniów? Czy to być może?

— Wszyscy poszli, a sama jasna pani uciekła do Łysianki, gdzie pan komisar jaśnie wielmożnego kniazia Jabłonowskiego, pan Kuczeński broni się w zamku przed rezuniami; taj niewiadomo czy się obroni, bo rezuniów jest mnoho tysiaczy, jak gwiazd na niebie, jak piasku w morzu.

— Moja mama jest w Lisiance?

— Tak, panyczu, i przykazała wam, żeby wy z Humania nigdzie się nie ruszali, i ja z tym przykazem tu przyszeł. Mnoho biedy ja zażył, ale przyszeł.

— Dziwne, dziwne! — powtarzał Bolek mocno zamy-

ślony i bacznie przyglądał się imcipanu Iwanowi Nieżywemu, który wbrew swemu nazwisku okazywał wielką ruchliwość i niespokojność. Ani na chwilę nie ustał na jednem miejscu, ciągle się kręcił, przestępował z nogi na nogę, oglądał się na wszystkie strony i swemi czarnemi, przenikliwemi oczami zdawał się wszystko widzieć, wszystkiemu przypatrywać.

— A czemu to, panie Nieżywy, — pytał Bolek — macie na sobie taką podartą świtkę? za dida się przebraliście, dlaczego?

— Taj, żeby ja się nie przebrał za dida, to nie minowaty mnie śmierci. Taby się nie dostał tutaj do Humania.

— Dlaczego?

— Bo rezunie są wszędzie, koło Zwiniogródka, Hajsyna, Targowicy, Bohusławia, wszędzie. Reżą wszystkich, rabują, palą i każdego zmuszają, żeby do nich przystawał. Atamanem u nich jest pan Żeleźniak. Ja jeho znaju. On nikomu nie przepuści. On był czerńcem w czarnym lesie w monastyrze Motrenińskim. Znaju ja jeho!... Jakżeby mnie przejść do Humania, żeby ja nie był „didem"?

Umilkł, strzelił oczami na prawo i na lewo i dodał:

— Ja szeł jako „did", prosił wszędzie miłostyni Chrysta radi i mnie wszędzie przepuszczali i hrosze dawali. Jaby inaczej nie wypełnił przykazania jasnej pani strukczaszyny i nie doszedł do Humania. A tak sława Bohu swoje zrobił i panyczowi przykaz zaniósł. Teraz mnie trzeba wracać.

— Czy mama nic więcej nie kazała mi powiedzieć?

— Taj co miała powiedzieć? kazała coby jasny panycz został w Humaniu i ja przykaz ten przyniósł.

Obejrzał się dokoła, a zdjąwszy czapkę z głowy, pokłonił się nisko i rzekł:

— Ja swoje zrobił, mnie trzeba wracać. Ostańcie

z Bohom, harny panyczu, a z Humania nie ruszajcie się nigdzie, bo rezuniów wszędzie pełno.

— Alboż to do Humania rezunie przyjść nie mogą?— wtrącił Juraś, dotąd zachowujący milczenie.

Nieżywy spojrzał zpodełba na chłopca i odrzekł:

— Do Humania? Nie takie one durne, żeby do Humania chodziły. Albo to wielmożny pan gubernator Młodanowicz, niech jemu Boh da zdrowie, nie ma harmat na wałach i dragunów i kozaków z panem Gontą? Pan Gonta już z kozakami poszeł na rezuniów i wszystkich ich wyreże i na pale powbija.

— A skądże pan Nieżywy wie, że Gonta poszedł na rezuniów? — spytał Bolek — myśmy tu o tem nie słyszeli.

— Ja tak słychał, tak ludi na rynku gadali. Może to i nieprawda, skąd mnie wiedzieć, ale tak ludi gadali. No! ostańcie z Bohom, jasny panyczu, mnie trzeba wracaty do Sokołówki.

Zdjął znów czapkę, pokłonił się i krokiem szybkim zniknął w poprzecznej uliczce, zostawiwszy zdumionych i zaniepokojonych mocno tem niespodziewanem spotkaniem „harnych panyczów".

Oni stali przez chwilę w milczeniu, ścigając wzrokiem uchodzącego Nieżywego. Wreszcie Juraś rzekł:

— Wiesz co, Bolek?

— Cóż takiego?

— Mnie się widzi, że ten twój Nieżywy coś kręci.

— Po czem tak sądzisz?

— Widzisz... mnie się zdaje, że on wcale do ciebie nie miał poselstwa od twojej mamy, że to wszystko, co mówił, jest prostem kłamstwem. Czy uważałeś, jaki on był przestraszony, kiedy go poznałeś i głośno jego nazwisko wymówiłeś?

— Co prawda, nie uważałem tego — odrzekł Bolek — ale nawet jeżeli tak było, to cóż w tem dziwnego?

Każdy człowiek się przestraszy, gdy go znienacka zaczepimy...

— No, niech i tak będzie... co mi tam! — ale cóż teraz myślisz robić? Jak nas rozpuszczą ze szkoły, to przecież nie pojedziesz chyba do Sokołówki, boby cię jeszcze rezunie zarznęli.

— Naprzód nie wiem czy szkoły rozpuszczą...

— Mówię ci, że tak, sam słyszałem jak ksiądz Arytmetyka mówił o tem z księdzem rektorem...

Bolek milczał i szedł jakiś czas mocno zamyślony. Właśnie zbliżyli się do niskiego, drewnianego domku, w którym stali na stancji u pani Złotareńkowej. Bolek zatrzymał się przed drzwiami i rzekł:

— Wiesz Jurek, strasznie jestem niespokojny o mamę...

— To tak jak ja o ojca...

— Ba! ojciec mężczyzna, a mama kobieta...

— A ja ci powiadam, że to wszystko, co ten twój Nieżywy naplótł, jest wierutnem kłamstwem.

— Hm... zapewne to i owo zełgał, ale widzisz... co do mamy, to musi być prawda. Ja mam przeczucie, że to prawda. I jeżeli nas rozpuszczą...

— To co?

— To ja ruszam choćby na piechotę do Sokołówki.

— A kiedy twej mamy, jak mówił ten did, Nieżywy, niema w Sokołówce, tylko w Lisiance...

— No to zobaczę, dowiem się, ale muszę się do niej dostać. Tak jabym tu nie wytrzymał w tej niepewności. Czy nas rozpuszczą, czy nie rozpuszczą, ja muszę odszukać mamę. Pójdę jutro, a może jeszcze dziś po południu do księdza rektora i powiem mu wszystko... tak! tak zrobię...

— Ha, rób jak uważasz — odrzekł Jurek — ale jeżeli ty wyjedziesz z Humania, to i ja tu nie zostanę. Nie myślę czekać soboty...

Weszli już w sień domostwa, w której gromady kur, kaczek i prosiąt najswobodniej zgodnie się przechadzały, szukając żeru, a duży, kudłaty pies, leżąc na słońcu, zdawał się czuwać z powagą nad tą gromadą stworzeń. Zobaczywszy chłopców, podniósł się i machając kitą, wesoło naszczekiwał. W tejże chwili otworzyły się drzwi od izby i ukazała się w nich pani Złotareńkowa, kobieta wysoka i tęga, i nuż wołać czystą polszczyzną, bo była Mazurką i szlachcianką:

— Przecie! Cóż to w kozie ksiądz rektor paniczów zostawił, ciekawam za co? Tymczasem ja tu czekam i czekam z obiadem! a pieczeń „wysmyrliła się“ na nic!

I długo jeszcze gadała.

Ale obaj chłopcy nic na to nie odpowiedzieli i mocno strapieni przykremi wieściami, weszli do izby.

ROZDZIAŁ II

w którym Bolek nabył przekonania, że Nieżywy był szpiegiem.

Zamiary Bolka, żeby wyjechać z Humania i dostać się do matki do Sokołówki, nie miały się, niestety! urzeczywistnić. Kochał on bardzo swoją matkę, wdowę od lat kilku, mimo to prowadzącą energicznie dość duże gospodarstwo i wychowującą jego, jedynego syna, w którym widziała całą przyszłość i całą nadzieję. Chłopiec odwdzięczał się matce za starania i zabiegi koło swego wychowania przywiązaniem niemniej gorącem i, sądząc po wszystkiem, zdawało się, że odpowie w zupełności życzeniom i pragnieniom matki. Był energiczny, żywy, dzielny, pracowity i poczciwy o dobrem sercu.

Teraz, jakkolwiek podejrzenia rzucone przez Jurka co do prawdziwości wieści, przyniesionych przez Nieżywego, wzbudziły w nim także niewiarę, jednakże był bardzo niespokojny o matkę; postanowił więc sobie jak można najprędzej wyjechać z Humania i udać się do Sokołówki, wsi dzierżawionej przez matkę od pana Potockiego. Tem więcej wyjazd ten okazał się konieczny, że

wiadomość, przyniesiona przez Jurka o chwilowem zamknięciu szkoły oo. bazyljanów, okazała się wkońcu prawdziwą. Nie było czego siedzieć w Humaniu i trzeba było z niego jak najprędzej wyjechać.

Ale łatwo to było powiedzieć, a trudniej wykonać. Coraz gorsze, coraz straszniejsze przychodziły do Humania nowiny. Mówiono, że tłumy zbuntowanego chłopstwa łączą się wszędzie z watahą Żeleźniaka, że mordują szlachtę, księży i żydów, rabują i palą, że cała część południowo-wschodnia województwa kijowskiego przedstawia jeden obraz rzezi, krwi, ognia i zniszczenia. Ze wszystkich stron ogromne tłumy szlachty, szlachcianek, dzieci, żydów zbiegały się do Humania, szukając w jego wałach ochrony i bezpieczeństwa. Tysiące wozów, naładowanych wszelakiego rodzaju dobytkiem, dzień i noc wszelkiemi traktami ciągnęło do tego miasta, a że te olbrzymie tłumy ludzi, bryczek, wozów i koni w żadnym razie nie mogły pomieścić się w obrębie wałów miejskich, więc rozłożyli się ogromnym, pełnym wrzawy, krzyków, płaczu dzieci i kobiet taborem, na błoniach pod miastem.

W samem mieście nie było wody, gdyż, jak wspominaliśmy, w studni, kopanej wielkim kosztem i trudem na rynku, natrafiono na opokę niemożliwą do przebicia, i wcale do źródła się nie dobrano. Musiano więc chodzić po wodę do rzeczki, płynącej od południowej strony pod miastem, poza wałem, obrosłej gęsto sitowiem i trzciną, napół wyschłej z powodu wielkich upałów, tak że nie mogła dać dostatecznej ilości wody dla tylu ludzi i zwierząt. Słowem, był wielki skweres i zamęt w mieście. A tu nieomal co godzina przychodziły wieści o zbliżaniu się rezuniów, i tłumy uciekających i gromadzących się pod miastem rosły z każdą chwilą.

Obaj chłopcy: Bolek i Juraś, nie mając co robić, bo, jak się rzekło, szkołę oo. bazyljanie rozpuścili, włó-

czyli się już od kilku dni po mieście, słuchali powtarzanych wszędzie wiadomości i przypatrywali się temu niezwykłemu i jedynemu w swoim rodzaju widowisku, jakie przedstawiał podówczas zwykle cichy, spokojny, jakby senny Humań. Juraś był jak najgorzej usposobiony, mówił, że tylko patrzeć hajdamaków i że ich wszystkich zarzną, jak baranów. Bolek uśmiechał się na to i mówił:

— To i cóż? zarzną to zarzną; dziura w niebie się nie zrobi, jak ciebie lub mnie zarzną.

— Dziękuję ci, ja wolę żyć.

— Będziesz żył, nie bój się! Humania nie wezmą tak łatwo. Mało to tu ludzi, mało broni, prochów, harmat? Wały są mocne i baszty też należyte. Gdzież to hajdamakom brać taką fortalicję spisami i pałkami! A przytem nie słyszałeś, że pan Gonta z kozakami wojewodzińskimi wysłany został przeciw hajdamakom, żeby ich znieść? Czy to oni będą się mogli obronić panu Goncie i jego kozakom?

— Tak, zapewne, — odpowiedział Juraś — ale widzisz... ja wczoraj wieczorem rozmawiałem z panem Szafrańskim... tym... jeometrą... wiesz?

— Wiem, i cóż pan Szafrański ci powiedział?

— Właściwie to on mnie nic nie powiedział, ale słyszałem, jak mówił do pana gubernatora Mładanowicza, że on Goncie nie ufa... I wiesz co, Bolek?

— Cóż takiego?

— Mnie się widzi, że ten Nieżywy, co nas spotkał przebrany za dziada, na rynku, to przyszedł tu do Humania na przeszpiegi, wysłany przez hajdamaków, może przez samego Żeleźniaka.

— Wszystko to być może, i ja sam mam Nieżywego w podejrzeniu, ale cóż na to poradzić? Zresztą mnie tam to wszystko niewiele obchodzi, zginę, to zginę, raz kozie śmierć...

— O! ja wcale nie chce ginąć z ręki rezuniów. Jak możesz coś podobnego mówić, mój Bolku?

— Alboż to nie trzeba kiedyś umrzeć?

— Tak... kiedyś... ale nie zaraz...

— I powtarzam ci — mówił dalej Bolek, nie zważając na uwagę Jurka — mnie to wszystko wcale nie trapi, ani martwi.

— A to już mówisz nieprawdę! przecie widzę, jak od paru dni chodzisz jak struty.

— Masz słuszność, ale powodem tego nie są wcale hajdamacy.

— A cóż?

— Niepokoję się nadzwyczajnie o mamę... i wiesz co, chodźmy za miasto, na wały, może mama przyjechała i znajduje się w tym tłumie, który uciekł tutaj przed hajdamakami.

— Gorąco takie... — zauważył Juraś — i poco my tam pójdziemy? Gdyby twoja mama przyjechała, toby przedewszystkiem przybiegła do ciebie. Przecież wie, że stoisz u Złotareńki?

Jurek był otyły, z natury leniwy, dzień był gorący, więc chłopiec się pocił i nie chciało mu się chodzić za miasto; dlatego to takie argumenty, zresztą niepozbawione pewnej słuszności, stawiał Bolkowi.

Ale ten nie słuchał i rzekłszy:

— Nie chcesz iść, to nie chodź! sam pójdę! — ruszył naprzód.

Jurasiowi jakoś przykro było opuszczać towarzysza i przyjaciela, więc choć niechętnie, mrucząc coś o uporze i koźle, powtarzając swój argument, że przecie matka Bolka, gdyby przyjechała do Humania, samaby poszukała syna, powlókł się krokiem leniwym i ospałym za swym kolegą.

Przeszli rynek i zbliżyli się właśnie do domu ekonomicznego, albo raczej zamku pana gubernatora, gdy Jurek spostrzegł pana Szafrańskiego.

Był to mężczyzna chudy, szczupły, zawiędły, z ogromnemi, na dół opuszczonemi wąsami, o oczach czarnych, bystrych, nad któremi unosiły się brwi gęste, krzaczaste, nadając całej twarzy wyraz surowy i groźny. Ubrany był w krótki czerwony żupanik atłasowy i w buty juchtowe za kolana sięgające, a u zwyczajnego rzemiennego pasa wisiała mu krzywa turecka szabla w skórzanej czarnej pochwie. Stał i rozmawiał z kilku żydami i właśnie gdy chłopcy się zbliżyli, kończył mówić:

— Ha, cóż, trza się bronić, byle jeno prochów starczyło.

Żydzi się kłaniali i coś szwargotali między sobą, a pan Szafrański rozglądał się dokoła z pewną niecierpliwością. Zobaczywszy chłopców, zawołał:

— Juraś, ty tu jeszcze?

— A tu, proszę pana.

— To źle, trzeba było wyjechać. W Humaniu nie jest bezpiecznie. Ale o wyjeździe teraz niema co myśleć, już za późno.

Rzekłszy to, spojrzał na Bolka i spytał:

— Któż jest ten kawaler?

— To mój kolega — odparł Juraś, obcierając pot z czoła — Bolek Wróblewski.

— Czy nie syn pani strukczaszyny z Sokołówki?

— Tak jest — odrzekł Bolek.

— Znam mamę kawalera, godna pani. Czyniłem tam pomiary przed kilku laty. Czy nie wiesz, mości strukczaszycu, nic o swej mamie?

— Nic nie wiem, i to mię właśnie mocno niepokoi.

Pan Szafrański już miał coś powiedzieć, ale widząc żydów pilnie przysłuchujących się tej rozmowie, powiedział:

— Ale co my tu gadamy na słońcu! żywy żar leci z nieba. Chodźcieno, młodzieńcy, do mnie, do mojej fortecy, tam pogawędzimy.

To rzekłszy, skierował się do zamku pana gubernatora. Nie był to właściwie zamek, ale dość duży dom murowany i miał dwie baszty po bokach: jedna z nich była wyższa i do tej pan Szafrański poprowadził obu chłopców. Miała ona trzy piętra, a na każdem była jedna izba, do której wchodziło się po wąskich, drewnianych schodach, wężykowato wijących się koło ściany. Wąskie okienka, oszklone zakopciałemi szybkami, przepuszczały niewiele światła; było tu napół ciemno i posępnie. Powietrze było nieco zduszone i czuć było stęchliznę, ale zato panował tu przyjemny chłód, który spoconemu i zmęczonemu Jurkowi wydał się rajem.

Pan Szafrański poprowadził chłopców na najwyższe piętro, skąd przez otwarte okna obszerny roztaczał się widok. Izba ta, półokrągła jak cała baszta, była bardzo skromnie umeblowana, jeżeli można nazwać meblami parę prostych ław drewnianych kilimkiem pokrytych i stołu na środku, zapełnionego papierami, narzędziami mierniczemi i dość znaczną ilością grankulek, ułożonych w piramidę na wielkiej misce glinianej. W kącie stało proste łóżko z desek zbite, z siennikiem, poduszką skórzaną i derką zamiast kołdry, obok niego niski stołek bez poręczy, miska z wodą i dzbanek.

Ale jeżeli całe to umeblowanie było ubogie i świadczyło o spartańskich przyzwyczajeniach pana Szafrańskiego, to zato ściany głośno i wyraźnie mówiły o jego rycerskiem usposobieniu. Pod obrazem cudownej Matki Boskiej Berdyczowskiej, w zwyczajnych czarnych ramach umieszczonym w głowach łóżka, wisiały nakrzyż złożone dwa piękne pistolety tureckie, których kolby suto były srebrem nabijane. Obok łóżka, oparty o nie, stał staro-

żytny koncerz *), broń, jakiej już w tych czasach nie używano, a którym niegdyś husarja polska po skruszeniu kopji dobijała nieprzyjaciół. W kącie, w załamie dwóch ścian stało parę janczarek kozackich, o długich, cienkich lufach i wielki garłacz, w który co najmniej kwaterka grankulek wchodziła. Obok niego sterczała beczułka z prochem, napół otwarta i starym pożółkłym regestrem przykryta. Wszystko to miało wygląd jakiejś zbrojowni i przekonywało, że pan Szafrański obok mierzenia pól, łąk i lasów, lubił się bawić rzemiosłem rycerskiem.

Bolek, wszedłszy do tej izby i obejrzawszy jednym rzutem oka jej kąty, meble i bronie, zbliżył się do otwartego okienka, skąd widać było cały Humań jak na dłoni i jego okolicę najmniej na milę wokoło.

A było na co patrzeć i czemu się dziwić. Dokoła miasta, zwłaszcza od strony jego północnej, roiło się niby w mrowisku niezliczone mnóstwo ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci, szlachty, księży i żydów, kręcących się śród ogromnej ilości wozów, wózków, teleg, powozów, koni, owiec i bydła. Panowała tam głucha, niemilknąca na chwilę nawet wrzawa, krzyki, rżenie koni, ryk bydła, beczenie owiec; wszystko to zlewało się w jakiś jeden krzyk, a swą ruchliwością, swemi wozami, napełnionemi wszelkiego rodzaju dobytkiem, przypominało jakąś nową wędrówkę narodów.

I jakby niedość było tych tłumów, kręcących się koło wałów miejskich, po wszystkich drogach, wiodących do Humania, od północy, wschodu i zachodu ciągnęły jeszcze całe szeregi wozów, których głośne skrzypienie wiatr aż tutaj przynosił. Gdzie niegdzie pędzili cwałem pojedyńczy jeźdźcy i nie tylko mężczyźni, ale i kobiety,

---

*) Miecz prosty, który husarja polska miała przytroczony do kulbaki, pod lewem kolanem.

częstokroć z niemowlętami u piersi, śpieszyli do mniemanego miejsca ocalenia.

Od całej tej masy ludzi, zwierząt i sprzętów szedł jakiś strach ogromny, jakiś popłoch potężny, zdawał się unosić w powietrzu, drżeć w olbrzymich chmurach kurzu, który z ziemi spieczonej przez słońce wzbijał się wysoko i otulał sobą, niby śmiertelnym, szarym całunem tę spłoszoną gromadę nieszczęśliwych wygnańców, uciekających przed nożem hajdamackim.

A na to wszystko z jasnego, niczem niezamąconego nieba ukrainnego lało słońce swe złociste, ciche, gorące promienie południowe, a na drzewie, rosnącem tuż koło baszty, wróble wesoło świergotały, obojętne na ludzkie namiętności i nienawiści.

Bolek patrzył na ten niezwykły widok, zdumiony i przerażony zarazem, i tak się zapatrzył, że zapomniał, gdzie się znajduje i z kim tu przyszedł. Obudził go dopiero ostry, surowy głos pana Szafrańskiego, który, zbliżywszy się do okna, mówił:

— A co? ciekawe widowisko? A wiesz, mości strukczaszycu, ilu tam jest ludzi?

— Czy ja wiem, może ze trzy tysiące, może mniej, może więcej...

— Żeby to trzy tysiące! Dziś rano pan gubernator Młodanowicz prosił mnie, żebym wyszedł za wały i choć, jak to mówią, po łebkach policzył tych zbiegów nieszczęśliwych. I wiesz, młodzieńcze, ilum ich naliczył?

— Pewnikiem ze sto tysięcy! — wyrwał się Juraś, który zaledwie tu przyszedł, zaraz siadł na ławie i ciężko oddychając, pot rękawem ocierał ze swego pulchnego oblicza.

Pan Szafrański uśmiechnął się i rzekł:

— Przesoliłeś trochę, Jurku. Sto tysięcy ludzi to ogromna moc, którąby się tu nie pomieściła. Wszystkiego

naliczyłem sześć tysięcy głów, ale pewno jest i więcej, bo trudno było dokładnie porachować w takim rozgardjaszu, a przytem, jak widzicie, ciągną nieustannie nowi przybysze. Ot, bieda i koniec.

— Więc waszmość był dzisiaj za wałem? — spytał Bolek.

— Byłem, przecież mówię...

— A nie widział waszmość pan mojej mamy?

— Pani strukczaszyny Wróblewskiej?

— Tak!

— Nie, nie widziałem i coby ona tu robiła! Przecież bliżej z Sokołówki do Lisianki, niż do Humania, a w Lisiance zamek jest mocny i stary Kuczewski, człek rycerski, potrafi rezuniom pokazać zęby.

— Więc waszmość pan przypuszcza, że mama schroniła się do Lisianki?

— Pewno, że tak, gdzieżby indziej? A może, jeżeli dość wcześnie dowiedziała się o rezuniach, dotarła do Białocerkwi, gdzie także fortalicja jest tęga i za jej wałami bezpieczniej, niż w Humaniu.

Bolek umilkł i po chwili rzekł:

— Ja też tak myślę, że mama schroniła się do Lisianki, ile, że tak powiadał i Nieżywy.

Jaki Nieżywy?

— Garncarz z Sokołówki.

Tu Bolek opowiedział szczegółowo panu Szafrańskiemu swoje onegdajsze spotkanie się na rynku z Nieżywym, przebranym za dida.

Pan Szafrański wysłuchał tego opowiadania w milczeniu, wreszcie rzekł:

— Szkoda, żeście mi zaraz nie donieśli o tym Nieżywym, kiedy jeszcze był w Humaniu. Wygląda on mi na szpiega... pewnikiem wysłali go rezunie, żeby przepatrzył tutejsze kąty. Szkoda, szkoda wielka...

— Ja też zaraz mówiłem Bolkowi, że ten Nieżywy jest podejrzany — odezwał się z ławy Juraś.

— Kiedyś miał takie podejrzenie — zauważył pan Szafrański — trzeba było zaraz do mnie przybiec i powiedzieć mi o tem...

— Nie przyszło mi to jakoś na myśl.

— Cóż robić? stało się, i niema o czem teraz gadać — zakonkludował pan Szafrański. — Więc ten Nieżywy gadał, że rezunie oblegli Lisiankę?

— Tak mówił, ale może to nieprawda.

— Bóg — by to dał... chociaż ja się tam o Lisiankę nie boję. Stary mruk Kuczewski nie da się w kaszy zjeść... Nie tak, jak my...

Umilkł i surowem, chłodnem okiem począł się patrzeć na rojowisko ludzkie pod wałami. W wielu miejscach porozpalano ogniska, zapewne żeby sobie strawę ugotować, i czarny dym wzbijał się wysokim słupem ku niebu, lub uniesiony z kurzem leniwie rozwłóczył się po polach. Pan Szafrański założył ręce na tył i stał jakiś zamyślony, a twarz jego coraz surowszy i groźniejszy przybierała wyraz, tak że Bolek z pewną obawą, a zarazem poszanowaniem na niego spoglądał.

Nagle pochylił się naprzód, jakby się chciał czemuś, co ujrzał, lepiej przypatrzyć, i zawołał:

— Co to? czy mnie wzrok nie myli?

I zasłaniając dłonią oczy od słońca, które oślepiającym blaskiem zalewało wszystkie przedmioty, rzekł:

— Chodźcie-no który, macie młode oczy, może lepiej zobaczycie.

A gdy Bolek do niego się zbliżył, wyciągnął rękę i, wskazując czerniejący w oddali las, zapytał:

— Co tam widzisz? — czy to nie kozacy humańscy?

W rzeczy samej, z lasu, zwanego Grekow, wysuwały

się strojne szeregi jakiegoś wojska konnego, a w grotach ich spis słońce błyskawiczne zapalało blaski.

— Jak są ubrani? — pytał pan Szafrański.

— Tak — odrzekł Bolek, który miał wzrok bystry i wszystko zdaleka doskonale widział — to są kozacy humańscy, mają żółte żupany, kontusze i szarawary błękitne, jołomy *) żółte z czarną opuszką **). To oni, przecie ich znam, widzę nawet pana Gontę na ich czele...

— Chwała Bogu! — zawołał z błyskiem radości w swych surowych oczach pan Szafrański — widno pan Gonta rozniósł hajdamaków Żeleźniaka i wraca spokojnie do miasta. A pułkownika Obucha nie widać?...

— Nie, nie widzę...

Wtem pan Szafrański chwilę zastanowił się, poczem uderzył się w czoło i zawołał:

— Żeby też zapomnieć! wszakci ja mam perspektywę...

To rzekłszy, skoczył do stołu, wyciągnął zeń gorączkowo szufladę i wydobył długą perspektywę, którą rozsunął i począł patrzeć na to, co się dzieje pod lasem Grekowa.

Bolek nie potrzebował perspektywy, bo doskonale własnemi oczami widział wszystko i wcale nie dzielił radości pana Szafrańskiego. Zauważył bowiem, że kozacy humańscy posuwali się pomieszani z tłumem chłopstwa, uzbrojonego w kosy, piki, pałki, że pan Gonta ściskał się z jakimś jeźdźcem, ubranym w czerwony jak rak żupan, że jego kozacy za pan brat zachowywali się z tłuszczą, czapki rzucali w górę i wogóle tworzyli z nią niesforną, co prawda, ale jednolitą bandę.

Gdy to wszystko pan Szafrański spostrzegł przez swoją perspektywę, pobladł, zaklął i zawołał:

---

*) czapki. **) brzegi, skrzydła czapki.

— Przepadliśmy! Gonta zdradził...

I rzucając perspektywę, z gorączkowym pośpiechem chwycił garłacz, garść grankulek wsypał do kieszeni swego żupana i wybiegł z izby.

Chłopcy na chwilę pozostali sami, a Juraś, zdjęty ciekawością, podniósł się z ławy, na której dotąd odpoczywał i poszedł do okienka, by także spojrzeć na to, co tak wzruszyło pana Szafrańskiego.

W rzeczy samej widok był przerażający. Z owego lasu Grekowa, niby z rojnego ula, wysypywał się nieustannie olbrzymi tłum, uzbrojony w kosy, rohatyny, topory, widły żelazne, pałki nabijane gwoździami, nawet w szczęki końskie, osadzone na kijach.

Tłum ten dziki, od którego płynęła przez pola ku Humaniowi jakaś głucha wrzawa, pomruk niby wezbranej fali wielkich wód, rozlewał się szeroko po polach i biegł ku Humaniowi, a raczej ku owej ogromnej, kilkutysięcznej gromadzie nieszczęśliwych zbiegów, szukających schronienia i bezpieczeństwa pod okopami miasteczka.

Tutaj spostrzeżono już hajdamaków; zauważono również, że kozacy humańscy z Gontą na czele, wysłani dla rozpędzenia rezuniów, połączyli się z nimi i teraz z nastawionemi do ataku spisami pędzą cwałem ku taborowi ludzi, zgromadzonych pod wałem.

Na ten widok podniósł się tam straszliwy, głuchy, okropny jęk, jednocześnie z kilku tysięcy śmiertelnie przerażonych piersi wyrzucony, jęk kobiet i dzieci; zrobił się trudny do opisania zamęt, wielu poczęło, jak oszalali, rozbiegać się po polu, inni bezładną masą tłoczyli się ku bramie Hajsyńskiej miasteczka.

Ale tu już był pan Szafrański ze swym garłaczem w ręku, kazał bramę zamknąć, działa rychtować, koło których z zapalonemi lontami w rękach ustawiał żydów i garść piechoty nadwornej wojewody kijowskiego.

A tam poza miastem wrzawa jękliwa rosła, rozlewała się w jakiś płacz i jęk nieludzki, bo hajdamacy już dopadli do taboru zbiegów i mordować ich poczęli. Chmury kurzu pokryły to straszne widowisko; od czasu do czasu tylko dostrzegał Bolek błysk nagły broni, niekiedy rękę jakąś rozpaczliwie do góry wzniesioną, lub spisę kozacką, na której tkwiło niemowlę drgające jeszcze życiem i broczące krwią.

Widok ten wstrząsnął nim do głębi. Odskoczył od okna i błędnym wzrokiem spojrzał dokoła, a obaczywszy stojące w kącie janczarki kozackie, schwycił z nich jedną i wołając do Jurka: „bierz drugą i za mną na wroga!“ wybiegł z izby; kroki jego, z szaloną szybkością dudniące po schodach, przeciągłem rozlegały się echem śród grubych murów baszty zamkowej.

ROZDZIAŁ III.

Jako Jurek wytłumaczył Bolkowi, że lepszy jest kij niż strzelba nienabita.

Wtem wypadającego z rozpłomienioną twarzą Bolka i niechętnie za nim biegnącego Jurasia spotkała na rynku pani gospodyni Złotareńkowa.

Była to kobieta ogromnego wzrostu, istny dragon w spódnicy, silna jak tur, prawdziwa Mazurka, która niczego i nikogo się nie boi, a w domu rządziła samowładnie, nie znosząc najmniejszego oporu. Pod tą jednak groźną i surową postacią kryło się serce jak najlepsze. O stojących u niej na stancji uczniów dbała jak o własne dzieci, których sama nie miała, opiekowała się nimi gorliwie, pilnowała starannie.

I teraz właśnie zaniepokojona przydłuższą nieobecnością w domu Bolka i Jurka, zwłaszcza wobec napaści hajdamaków na tabor nieszczęśliwych zbiegów pod miastem, wyszła szukać obu swych pupilów i oto spotkała ich na rynku, uzbrojonych w janczarki, mających widocznie zamiar uczestniczenia w rozpoczynającej się obronie wałów Humania.

Chłopcy bali się tej ostrej i surowej niewiasty, która żadnych pobłażań nigdy nie czyniła i groźną swą, napół męską postacią budziła w nich pewną obawę, choć wiedzieli, że najmniejszej krzywdy im nie zrobi i zawsze w niej znajdą prawdziwie macierzyńską opiekę. To też ujrzawszy ją teraz przed sobą, mierzącą ich surowem okiem, zatrzymali się z przestrachem, jak gdyby schwytani byli na jakim złym uczynku, i stali niemi, z oczami spuszczonemi, nie śmiejąc słowa wymówić.

— A co to? — zapytała grubym, męskim głosem pani Złotareńkowa — dokądże panicze tak biegną? i co widzę, rusznice? Skądże to takie uzbrojenie i na co? Cóż to, na żołnierzy chceta wyjść? Skąd macie te rusznice?

Bolek, śmielszy i bardziej rezolutniejszy, podniósł oczy na panią Złotareńkową, podczas gdy Jurek skulił się i krył poza jego plecami, i rzekł:

— To są janczarki kozackie, nie rusznice, proszę jejmości.

— Czy janczarki, czy rusznice, to wszystko jedno — odparła gospodyni — zawżdy to jest narzędzie do zabijania ludzi. Skądże to ichmoście dostali tych strzelb?

Bolek wskazał ręką na basztę domu gubernatorskiego i rzekł:

— Stamtąd, proszę jejmości.

— A któż to taki był mądry, że paniczom dał te nieprzezpieczne bronie?

— Nikt nam nie dał.

— Jakże to nikt?

— A nikt, samiśmy wzięli.

— Samiście wzięli? Panno Święta, cóż to ja słyszę? — zawołała pani Złotareńkowa, załamując ręce — godziż się to brać cudze rzeczy?

I swe duże zielonawe oczy wlepiła w Bolka z taką miną, jakby go uważała za duszę na zawsze zatraconą.

Stała niema, z wyrazem rozpaczliwym na swej groźnej twarzy, z rękami załamanemi, oddychajac głośno i ciężko, bo była kobietą tęgą, a tu na rynku słońce prażyło niemiłosiernie, zwłaszcza, że było samo południe i na wieży cerkwi Bazyljańskiej zegar dopiero co wydzwonił godzinę dwunastą.

Drżały jeszcze w powietrzu spiżowe jego dźwięki i mieszały się z głuchą, jękliwą wrzawą i hukiem samopałów, jaki aż tu dochodził z poza wałów, z taboru mordowanych przez hajdamaków kobiet i dzieci. Rynek był prawie pusty, bo wszystko, co żyło, pobiegło na wały, czasem tylko przebiegała jaka wystraszona kobieta, tuląc do piersi niemowlę, lub mężczyzna uzbrojony w rusznicę dążył ku bramie Hajsyńskiej, bo od tej strony tłuszcza rezuniów szła ku Humaniowi.

A pani Złotareńkowa stała wciąż przed obu chłopcami, łamała rozpaczliwie ręce i zdawała się wcale nie zważać na to, co się działo w mieście i poza miastem, jedynie zajęta swymi pupilami.

— Samiście wzięli? — powtarzała — śmiercionośne rusznice, samiście wzięli? godzi się to? przystoi to szlacheckim paniczom? Taki to przykład dajecie chamom i kołtunom miejskim? Panno Święta, nigdym się po was tego nie spodziewała!

Tedy Juraś, widząc, że Złotareńkowa uważa ich za jakichś przestępców, którymi przecież nie byli, nabrał odwagi i wysuwając się z poza pleców Bolka, począł opowiadać spotkanie swoje z panem Szafrańskim, jak ten ostatni obu ich zaprosił do swej izby na baszcie, jak stamtąd zobaczyli, że pan Gonta połączył się z rezuniami, jak pan Szafrański, ujrzawszy to, chwycił za garłacz i wybiegł bronić miasta, jak to samo zrobił Bolek.

— Ja wiem, poco Bolek wziął janczarkę, przecież żeby strzelać do rezuniów. Kazał mi też wziąć drugą,

ale jeżeli to takie przestępstwo, to odniesiemy sztrzelby na basztę i koniec.

Ale Bolek nie chciał się na to zgodzić. Z pewnem wprawdzie lękliwem drżeniem w głosie, bo pani Złotareńkowa mu imponowała, odezwał się:

— Jakże to, mamyż pozwolić, żeby hajdamacy rzezali niewinnych ludzi? a jak na nas napadną, to co będzie?

Ledwie skończył, gdy rozległ się potężny huk, od którego wszystkie domy w mieście zadrżały, a nawet w niektórych szyby z brzękiem z okien wypadać zaczęły. Pani Złotareńkowa, nadsłuchując, rzekła:

— To z harmaty strzelają.

W tejże chwili wzmogła się straszliwa palba z samopałów, a kule poczęły gwizdać po rynku, uderzać z głuchym trzaskiem o ściany domów, dudnić po dachach i po ubitej a wysuszonej przez upały ziemi rynku. Ogłuszająca wrzawa, krzyki, ryk jakiś ponury grzmiał od strony wałów, a od czasu do czasu dawały się słyszeć pojedyńcze wyrazy:

— Na pohibel Lachom! reży, koli!

Złotareńkowa stała nieruchoma, cała w słuch przemieniona, z oczami błądzącemi ponad dachami domostw, wpatrzona w kłęby wzbijającego się wysoko dymu i kurzu. Ocknęła się dopiero, gdy w cerkwi Bazyljańskiej uderzono w dzwony, których śpiżowy dźwięk mieszał się z hukiem strzelb, z wrzawą i jękiem ludzkim.

Z cerkwi tej zaraz potem wysunęła się procesja, na czele której z monstrancją w ręku, ubrany w kapę złocistą, szedł ksiądz Kostecki, rektor szkoły i przełożony oo. bazyljanów, i śpiewał drżącym głosem suplikacje. Obok niego postępował ks proboszcz farny, a za nimi posuwała się przerażona, rozmodlona gromada szlachty i szlachcianek, którzy zdołali wcześniej schronić się do Humania.

Wszyscy postępowali z odkrytemi głowami, choć słońce dopiekało mocno i zdawali się nic nie zważać na kule, które od czasu do czasu padały na rynek, lub więzły w ścianach i dachach. Żałośliwe suplikacje brzmiały jękliwym modlitewnym tonem wśród dźwięku dzwonów, huku strzałów i strasznej wrzawy jakby nieludzkiej, dochodzącej z poza wałów.

Pani Złotareńkowa patrzyła na tę procesję, patrzyła, wreszcie przeżegnała się nabożnie i nagle, zwracając się do chłopców, rzekła:

— Chodźcie do domu!

Bez oporu i sprzeciwiania się ruszyli za nią, bo przywykli byli słuchać zawsze tej groźnej niewiasty. Obeszli rynek, po którym od czasu do czasu warczały kule, i weszli w ciasną uliczkę, gdzie był dom Złotareńków; uliczka ta prowadziła ku rzece, płynącej pod miastem, teraz napół wyschłej od gorąca, ale zato obrosłej niezwykle gęstem sitowiem i wikliną, w której ogromne masy ptactwa wodnego gnieździło się i kryło. Szli mając przed sobą południowe słońce, poczynające już chylić się ku zachodowi, przesłonięte chmurą dymu i kurzu, i wyglądające z poza tej zasłony, jak ogromna, miedzianej barwy tarcza, co dziwnie przykre czyniło wrażenie.

Złotareńkowa szła przodem nic nie mówiąc, zamyślona jakaś, jakby ważyła w swej głowie jakoweś zamiary czy też plany.

W domu nie zastali samego Złotareńki. Warsztat jego, na którym ciągnął listki złote (bo od tego rzemiosła miał nazwę), stał pusty, w czem nie było nic dziwnego, bo przecie wobec napaści hajdamaków kto żył wyruszył na wały, by miasta bronić. W sieni spotkano tylko dziewkę służebną, zamorusaną, ciekawie wsłuchującą się w grzmot strzałów, wrzawę bitwy, głos dzwonów bazyljańskich i śpiewy nabożne chodzącej z procesją szlachty i szlach-

cianek. Złotareńkowa, zobaczywszy ją tak bezczynnie stojącą, wpadła w gniew i poczęła na nią krzyczeć napół po rusku, napół po polsku, wołając, że jeżeli jeszcze raz pojawi się w sieni, to „jej łba nakręci”.

Dziewka nic nie odrzekła, ale powolny jej odwrót do kuchni i rzucane złe wejrzenia na swą panią i na chłopców świadczyły wymownie, że i w niej ziarno buntu kiełkować zaczyna, że burza hucząca pod miastem i w jej hajdamackiej duszy odgłos znajduje.

Gospodyni patrzyła na jej chód powolny i niechętny z takim wyrazem w oczach i twarzy, jakby chciała rzucić się na nią, ale powstrzymała się, zęby tylko i pięście w kułak ścisnęła. Wpuściwszy chłopców do izby na prawo, gdzie była ich stancja, weszła za nimi, zamknęła ją starannie za sobą i rzekła, tłumiąc głos:

— Panicze kochani, nie możecie tu ostać. Trzeba uciekać.

Chłopcy ze zdziwieniem spojrzeli na nią, a ona, oglądając się po izbie i trwożliwie nasłuchując wzmacniającej się wrzawy i strzelaniny, mówiła dalej:

— Rodzice oddali was mnie w opiekę, muszę dbać o was. Musicie uciekać!

Bolek, który nie mógł zrozumieć ani widocznego wzburzenia na twarzy gospodyni, ani tych jej słów, odezwał się nieśmiało:

— A dlaczego proszę jejmości mamy uciekać?

— Dlatego — odrzekła żywo Złotareńkowa — że was rezunie mogą tutaj zabić.

— Nie może być — odparł Bolek — przecie do Humania się nie dostaną. Pan Szafrański z harmat strzela, to ich wszystkich wystrzela...

— Pan Szafrański z harmat! Boże miłosierny! — zawołała gospodyni — co mi tu panicz gada! a panicz nie wie, że nasi w Humaniu nie mają prochów, czemże będą strze-

lali? Postrzelają raz i drugi, a potem pas! Ja to wiem, bo Złotareńko wszystko spenetrował, jako należy, i mnie powiedział, com jest jego żoną, choć on chłop, kozak. Ale ja też mam kompasją nad krwią szlachecką, bom sama szlachcianka i nie mogę pozwolić na to, by was tu nikiej baranów te zbóje zarznęły. Mama oddała mi panicza pod opiekę i jam jej przysięgła, że strzec cię będę jak oka w głowie, jakbyś był synaczkiem moim. Pierwej sama trupem padnę, nim pozwolę włos z głowy tobie i paniczowi Jurasiowi wyrwać.

— To nas pan Złotareńko obroni — zauważył Jurek, któremu myśl podróży na taki upał i wśród tylu niebezpieczeństw wcale się nie uśmiechała — przecie on jest kozak, to się z hajdamakami zna.

Gospodyni załamała ręce, a zbliżywszy się do chłopców i oglądając się dokoła trwożliwie, szepnęła:

— Złotareńko, choć to jest mój mąż, jest taki sam zbój jak i oni. Zwąchał się on z nimi z tym rakarzem Gontą oddawna. Mało to tu dziadów po Humaniu się włóczyło, niby po proszonem, a toż to były szpiegi. Jać to wszystko wiem, bo mam dobre oczy i nic się przede mną nie ukryje. Chciałam ostrzec pana gubernatora Młodanowicza, że tu się niecna zdrada knuje, ale jakże to? pójdę skarżyć na własnego męża, któremum przed ołtarzem wierność i posłuszeństwo przysięgła? Złotareńko was obroni! Panno Przenajświętsza, on pierwszy was zarznie i naprowadzi na was zbójów...

Obejrzała się po izbie i rzekła:

— Dalej, szkoda czasu na próżne gadanie. Poczyńcie sobie lekkie zawiniątka z waszych szat, parę koszul, nic więcej, żeby paniczom nie ciężyło, dam wam chleba, kiełbasy, serków parę i jazda! Niech was Najświętsza Panienka Berdyczowska ma w swej opiece, bo ja tu nic nie poradzę.

— Ale gdzież my uciekniemy? — spytał Bolek, przerażony słowami gospodyni — przecie rezunie są wszędzie?

— Nad rzekę, tam jest sitowie tak gęste, że paniczów nikt nie znajdzie, jak się dobrze w niem zaszyjecie. Posiedzicie sobie tam dzień, dwa, aż rezunie precz pójdą. Ja będę nad wami czuwała. Tam rezuniów niema, bo tam trudno człekowi przejść, a cóż dopiero koniom... Tam będzie przezpiecznie.

— Długo tam będziemy siedzieli? — spytał Juraś, który, lubiąc wygódki, nie rad był przebywać w gęstwinie sitowia, spać bez poduszki, siennika i kołdry.

— Skądże mnie wiedzieć, jak długo ukrywać wam się trzeba? Na mój rozum, to rezunie niedługo w Humaniu zabawią, zrabują wszystko, ludzi wyrzną i pójdą dalej, bo się będą bali, by na nich wojsko nie napadło. Potrwa to może ze trzy dni, czy ja wiem?

— Wystarczy to nam jedzenia na trzy dni? — pytał Juraś, zawsze dbały o swój żołądek.

— Jak nie starczy, to ja paniczom doniosę.

— Znajdzie to nas jejmość, jak się dobrze zaszyjemy w sitowie? — zauważył Bolek.

— Prawda! — zawołała Złotareńkowa — że mi też to na myśl nie przyszło. Gdzie to szukać kogo w takim gąszczu, do tego pod strachem, żeby jaki hajdamaka nie obaczył. Prawda! prawda!

Zamyśliła się, mówiąc:

— Trzebaby jaki znak. Poczekajcie, jeno pomyślę...

Myślała, myślała, wreszcie rzekła:

— To tak będzie. Jak już zmiarkuję, że wam jedzenia brak, to se wyjdę nad rzekę, niby chusty prać i jak obaczę, że nikogo niema, coby na zdradzie stał, to poczę walić z całych sił kijanką. Usłyszycie mię, bo pod wieczór to głos po rosie idzie daleko. Trzymajta

się niedaleko uroczyska, co go Turkiem zowią, wiecie gdzie to jest?

— Wiemy, od wschodniej strony.

— To właśnie, tam się zaszyjcie w sitowie, bo tam jest ono najgęstsze i bagna też są. Jak mię usłyszycie, to niech który z was huknie jak pućka. Umiecie tak hukać?

— Ja umiem — odrzekł Juraś.

— Prawda, że to panicz wszystkie ptaki umie naśladować; prawda! małośmy się to naśmiali nieraz? A więc, co robiący, ja będę co jeno mam sił prała kijanką, a w tobołek, niby z brudną bielizną, zawinę chleb, masło, co się da, i jak usłyszę hukanie pućki, to będę wiedziała, gdzie was szukać. To będzie dobrze, a Matka Najświętsza nie da krwie szlacheckiej marnie zginąć. No! zabierajta się, panicze, póki czas. Boję się, żeby Złotareńko nie nadszedł, bo wtedyby wszystko przepadło. Ale też strzelają!...

W rzeczy samej nieustanna palba wzmagała się i rozgrzmiała straszliwie, a dzwony z Bazyljańskiej cerkiewki jęczały coraz żałośliwiej, mieszając się z wrzawą ludzką.

— To pan Szafrański się broni — szepnął Bolek z żalem, że on w tej walce udziału wziąć nie może.

— Niedługo będzie on strzelał, bo prochów nie ma. No, zapakujcie, panicze, trochę bielizny i miejcie się do drogi, ja skoczę po chleb i kiełbasę.

Wyszła, a chłopcy żywo zabrali się do wiązania tobołka. Juraś mówił:

— Co mi tam po bieliźnie, wezmę lepiej kołdrę, bo noce są chłodne.

Bolek nic na to nie odrzekł, zawinął parę koszul i zarzucił na plecy wraz z janczarką, którą przyniósł z izby pana Szafrańskiego.

— Jakto? — spytał Jurek — bierzesz tę strzelbę?

— A jakże, czemże będziemy się bronili, jak nas hajdamacy napadną, bo przecież mogą nas napaść.

— Czemże będziesz strzelał?

— Jakto czem?... prochem.

— Masz-że proch?

— Prawda! nie mam... prawda! bodajże cię...

— Nawet nie wiesz czy janczarka nabita.

— A nie wiem, ale trzeba zobaczyć.

Wyjął stempel i począł stukać nim w lufie i na wielkie swoje zniechęcenie przekonał się, że strzelba nie była nabita.

— A widzisz — rzekł Jurek — na cóż się taka rusznica przyda?... lepszy kij. Rzuć ją, bo jeno ciężyć będzie, a żadnego z niej pożytku.

— Cóż z nią zrobić? — pytał Bolek mocno zmieszany.

— Zostawić tutaj. Ja swoją zostawiam.

— To hajdamaki zabiorą.

— A niech zabierają! Jak wpadną do Humania, o czem ja zresztą wątpię, cała ta wyprawa do sitowia, widzi mi się, zgoła jest niepotrzebna...

— Mówisz tak, jakbyś był pewny, że hajdamaki nie wezmą Humania.

— Pewno, że nie wezmą, pan Szafrański, który jest mąż rycerski, nie da.

— Kiedy prochu nie ma, czemże będzie strzelał?

— Kto tam wie, czy nie ma! nie widzieliśmy to beczułki u niego w baszcie?

— Jejmość mówiła, że nie ma. Nie słyszałeś, czy co?

— Słyszałem, ale przecież widziałem, że w baszcie ma całą beczułkę...

— Co znaczy taka beczułka, to na jeden nabój do armaty.

— Co ty tam wiesz! niby ty się znasz na tem...

Rozmowę tę przerwało pojawienie się Złotareńkowej.

Niosła koszyk, a w nim dużą bułkę pszennego chleba, parę łokci wędzonej kiełbasy, serek suchy i miodu plaster.

— Nie mam więcej w domu — mówiła — co mam, to daję, i nie można brać dużo, boby paniczom ciążyło. To na dziś i jutro starczy, a wieczorkiem po rosie będę nad rzeką i przyniosę nowe zapasy. Zamknęłam Horpynę w izbie czeladnej, żeby nie szpiegowała i łba jej dobrze natargałam... No, gotowiśta, panicze?

— Gotowi.

— A więc w imię Boże jazda! Odprowadzę was krzynę nad rzekę.

Wyszli. Bolek był jak oszołomiony wszystkiem, co się stało; czynił, co mu przykazywała Złotareńkowa, bo przywykł jej był słuchać zawsze i trochę się też bał tej ogromnej a krzykliwej niewiasty, ale żal mu było opuszczać Humania, a nadewszystko bitwy, która koło bramy Hajsyńskiej wrzała na dobre i odgłos od niej szedł taki, że aż ziemia jęczała.

Jurek szedł też niechętnie, bo niebardzo mu się chciało wierzyć, że hajdamacy mogą go zarznąć, a perspektywa spoczywania przez parę dni w tatarakach i wiklinie, na powietrzu i wilgoci, bez wygodnego łóżka, zniechęcała go do reszty. Przytem widok suchego, jak kamień, serka i niemniej suchej kiełbasy, która miała na teraz stanowić jedyne ich obu pożywienie, napełniał go smutkiem i złemi przeczuciami. Ale nie śmiał się opierać, bo także miał pewien respekt przed ogromną figurą pani Złotareńkowej.

Na ulicy były prawie pustki. Przebiegało przez nią tu i owdzie kilku żydów, pędzących szybko i dążących do chederu, gdzie się zamknęli z zamiarem bronienia się do upadłego, w razie gdyby hajdamacy Żeleźniaka i Gonty wdarli się do miasta. Za nimi biegły z krzykiem przerażone żydówki, dźwigając bachurów i bety lub garnki ze strawą. Ulica spuszczała się powoli ku rzece, słońce



za chmurą kurzu i dymu błyszczało krwawo, huk strzałów grzmiał ciągle i dzwony cerkiewne ciągle jęczały. Jejmość Złotareńkowa oglądała się co chwila trwożliwie i nalegała o pośpiech.

Rzeczka, bystro płynąca tylko w czasie rozlewów wiosennych, teraz, wskutek panującej od paru tygodni suszy, ledwie sączyła się po kamienistym gruncie. Za nią, z drugiej strony szumiało istne morze sitowia, wikliny, rozłożystych krzewów olszowych, z których spłoszone hukiem strzałów zrywały się całe gromady ptactwa wodnego, krążyły jakiś czas i z krzykiem znowu zapadały w gąszcze.

Złotareńkowa nad brzegiem zatrzymała się, spięła na palcach, bacznie dokoła obejrzała i rzekła:

— Niema nikogo. Chwała Bogu. Ruszajcie panicze. a żywo, i niech was Najświętsza Panna ma w swej opiece,

— Dziękujemy jejmości za jej poczciwość dla nas — rzekł Bolek, całując gospodynię w rękę. — Więc się jutro zobaczymy?

Jurek to samo uczynił, czem wzruszona Złotareńkowa łzę z oka fartuchem otarła i popychając chłopców, dodała:

— Idźcie już, a bądźcie ostrożni i zachowujcie się cicho.

Chłopcy żwawo po wystających z wody kamieniach przeszli przez rzekę i zaraz za nią zanurzyli się w sitowie. Złotareńkowa ścigała ich wzrokiem, poznając po chwiejących się kiściach trzciny, dokąd idą, a gdy już całkiem znikli jej z oczów, westchnęła z widoczną ulgą, zrobiła za nimi znak krzyża świętego i wolno zawróciła do domu.

ROZDZIAŁ IV

w którym Jurek przekonał się, że jejmość Złotareńkowa dobrze poradziła.

Obaj chłopcy, przeszedłszy rzeczkę, zapuścili się w gęstwinę. Był to istny las trzciny, sitowia, tataraku i krzewów olszyny, rosnący tak bujnie, że przewyższał nawet głowę Bolka, który był smukły i nad wiek swój wyrośnięty. Można tu było w tym gąszczu, zamieszkałym jedynie przez wszelkiego rodzaju ptactwo wodne, ukryć się wybornie nawet przed hajdamakami, a umieli oni wyszukiwać swe ofiary w najskrytszych miejscach ze zręcznością wyżła myśliwskiego.

Jedno było tylko niedogodnem w tym lesie wodnej roślinności, że wybujała ona na gruncie bagnistym i grząskim. Wprawdzie susze panujące od paru tygodni i gorące wiatry południowe utworzyły na tych mokradłach rodzaj twardej skorupy, jednak tak cienkiej, że pod ciężkiemi krokami Jurasia łamała się i chłopiec wpadał po kostki w grząskie błoto. Tu i owdzie błyszczały wszystkiemi barwami tęczy kałuże gęstej czarnej wody, po której ścigało się i roiło mnóstwo robaczków o długich

nogach, muszek i t. p. istot. Trzeba było te zdradliwe kałuże omijać starannie, bo częstokroć pod tą migającą się pod słońce wodą kryło się bezdenne bagnisko.

Musieli więc chłopcy czasem skakać z kępki na kępkę, sterczącą do góry wśród moczarów, chwytać się krzaków olszyny, by ominąć albo kałużę cuchnącej wody, albo jakieś zbyt podejrzane bagnisko. Niezliczone mnóstwo komarów i much, lęgnących się w tych mokrych, słońcem silnie ogrzanych przestrzeniach, napełniało brzękiem bagniska i cięło nielitościwie chłopców, zwłaszcza Jurka, którego tłusta, rumiana twarz i ręce widocznie smakowity dla tych krwiżądnych istot stanowiły kąsek.

Opędzał się on od nich jak mógł, ale niewiele mu to pomagało. Dźwigając kołdrę i zawiniątko, sam tęgi i ciężki, stękał też, narzekał i zazdrościł szczupłemu Bolkowi, który na swych długich nogach skakał z kępki na kępkę i zdawał się wcale nie czuć zmęczenia i od zjadliwości komarów mniej cierpiał.

— Bój się Boga, Bolek, nie leć tak prędko, bo ja ci nadążyć nie mogę — wołał Jurek, zatrzymując się co czas jakiś, oganiając się przed dręczącemi go niemiłosiernie komarami i ocierając rękawem od żupanika twarz spoconą.

Bolek zatrzymywał się i patrzył, śmiejąc się, na zmęczonego swego towarzysza. W tych gęstwinach nie było nawet najmniejszego wiatru, powietrze zgęszczone i przesycone wilgocią i niezdrową wonią bagnisk, czyniło oddech trudnym, a słońce z niezamąconego żadną chmurką nieba piekło nielitościwie. Skwarzyły się w jego blasku bagniska, trzciny omdlewały w żarze południowym, chyląc żałośliwie swe bujne, żółte kiście, a kałuże mieniły się w szmaragd i złoto. Leżała tu senna, głęboka cisza, w której szemrały tylko brzęczące komary, dawał się słyszeć krzyk żórawi i innego ptactwa wodnego, zwłaszcza niezli-

czonej ilości czajek, które zrywały się co chwila, częstokroć z pod nóg chłopców i zataczając nad ich głowami kręgi, zapadały gdzieś znowu w gęstwinę. Zdala, od miasta dochodziła ich ciągle wrzawa, jękliwy głos dzwonu cerkiewnego, i strzały pojedyńcze i krzyki jakieś rozpaczliwe, świadczące, że bój tam trwa ciągle. Głosy te jednak, nie mogąc się z całą siłą przedostać przez gęstwinę wybujałej roślinności wodnej, przybrały tutaj jakiś stłumiony, zduszony w sobie ton, jakby szły z pod ziemi i tem przykrzejsze wrażenie robiły.

Nakoniec chłopcy natrafili na jakieś suchsze miejsce, rodzaj wzgórza porosłego bujną, twardą i ostrą trawą, wolne od trzciny i sitowia, na którem rosła samotna i dość wysoka olszyna, dająca jaki taki cień.

— Zatrzymamy się tutaj chyba — rzekł Bolek — nie trzeba się zbyt oddalać od rzeki, naprzód dlatego, żebyśmy mieli wodę do picia, a potem żebyśmy mogli usłyszeć jejmość Złotareńkową, gdy nam przyniesie jedzenie.

Jurek stanął, zrzucił z siebie kołdrę i zawiniątko, odetchnął głęboko, zdjął kapelusz, obtarł kroplisty pot ze swej zaczerwienionej twarzy, zgniótł z niepohamowanym gniewem biednego komara, który mu z pulchnego policzka krew ssał, i odrzekł:

— Chwała Bogu, bo już ledwie idę.

Usiadł na kołdrze, nogi mocno zabłocone wyciągnął i ciężko wzdychając, mówił:

— Co za szkaradne bagnisko! i żebym przynajmniej wiedział, poco myśmy tu przyszli i przed czem się kryjemy, niby jakie rozbójniki.

— Jakto przed czem? Czy nie wiesz?

— A nie wiem.

— Przed hajdamakami!

— Ej, głupstwo rozum zjadło. A cóż nam hajdamacy mogą zrobić?

— Sam mówiłeś, że Humań się przed nimi nie obroni.

— To pewna, że się nie obroni. Prochu nie mają.

— A więc?

— A więc nic. Ale to niepotrzebne.

Bolek ruszył ramionami i rzekł:

— Skoro Humań hajdamacy wezmą, to wszystkich rabować i rznąć zaczną.

— A niech rabują. I cóż z tego? cóż nam wziąć mogą? Parę poduszek, sienników, kołder, parę kontusików, dobrze wytartych... trochę książek, czego wcale żałować nie będę, bo mi już te rozmaite gramatyki i algebry kością w gardle stoją. Niech sobie je biorą, sambym im oddał z pocałowaniem ręki.

Bolek usiadł na trawie, oparł się plecami o olszynę, zdjął czapkę, obtarł czoło z potu, i rzekł, śmiejąc się:

— Widno dokuczyły ci mocno te gramatyki?

— Pewno, że dokuczyły.

— A może nie tyle gramatyki, ile ten sobotni obrachunek starego Hrycia.

— Niech jego hajdamacy uczciwie batogami obłożą, tego mu życzę...

— Bolek śmiał się, wiedział, że Jurek był tępy do nauki i że co sobota Hryć wydzielał mu swą cieżką ręką należytą nagrodę, co jednak jakoś nie wpływało ną poprawę Jurka.

— Hajdamacy! hajdamacy! Cóż nam, mnie i tobie, mogą zrobić? — mówił Jurek.

— Mówiłem ci, mogą nas zarznąć.

— Ej, babskie gadanie. Dlaczegóżby nas mieli zarzynać? Winniśmy im co?

— Nikt im nic nie winien, a dlatego ludzi rzną, jak baranów. I gwoli tego to jejmość nam tu ukryć się kazała.

— Nie widzi mi się, aby to było konieczne.

— Ba! tak gadasz, jakbyś nie wiedział, że hajdamaki ludzi rzną, bez upamiętania, czy im są winni, czy nie, a na szlachtę są strasznie zawzięci. Nie mówił to o tem Nieżywy?

— Nieżywy jest hultaj.

— To pewne, a jejmość dobrze zrobiła, że nam tu kazała się schronić. Wcale tu jest dobrze i nikt nas nie znajdzie. I byłbym zupełnie spokojny i rad temu, gdybym jeno wiedział, co tam z moją mamą się dzieje.

— Co się ma dziać, nic się nie dzieje.

— Bóg by to dał!

To rzekłszy Bolek, wyciągnął się, jak długi, pod olszyną, ręce podłożył pod głowę i patrzył na błękitne niebo, po którem od czasu do czasu przelatywały gromady ptactwa, nieustannie płoszonego wrzawą, dochodzącą od strony Humania.

Jurek, odpocząwszy sobie nieco, zwrócił uwagę towarzysza, że dzisiaj obiadu nie jedli, że jego żołądek głośno się upomina o pokarm, że zatem warto zajrzeć do koszyka, który jejmość im dała.

— Ty to zawsze jeno o jedzeniu myślisz — zauważył Bolek, zły, że mu Jurek tak prozaiczną rzeczą, jak obiad, zakłócił jego marzenia i błądzenie oczami po niebie, podobnem w swem błękicie do sklepienia z turkusów.

— Ba! mój kochany — odrzekł Jurek, zabierając się skwapliwie do koszyka — czy to człowiek może żyć bez jedzenia?

— Pewno, że nie może, ale żeby znów ciągle jeno o tem myślał, to mi się cale nie zdaje. A tybyś ciągle jadł!

— Cóż robić, kiedy mi się jeść chce, a skakanie po tych błotach i kępach w taki upał całkiem mię osłabiło. Przytem te szelmy komary tyle krwi ze mnie wypiły, żem omdlał prawie. Cóz robić? jeść przecie trzeba.

— Nie pamiętasz to, jak ksiądz rektor mówił, że człowiek nie samym tylko chlebem żyje?

— Pewno, i to jest prawda. Bo jakżeby to człowiek samym chlebem mógł wyżyć, gdyby nie jadł mięsa, grochu, kapusty i wszystkiego, co Pan Bóg dał? Dobrze też to mówił ksiądz rektor.

— Ale ty tego wcale nie rozumiesz. Tu nie idzie o kapustę i groch, ale o to, że do życia człowiekowi potrzebne są też inne rzeczy... jakby ci to powiedzieć... duchowe, niby nauki, religja, moralność... Rozumiesz?

— Niebardzo. Hm! kiełbasa wcale przednia, jeno mało w niej czosnku. Niema jak kiełbasa, którą u mego rodzica robiła stara klucznica Kownacka. Powiadam ci Bolek, palcebyś lizał.

— Ej! cebula jesteś i szkoda z tobą gadać! — zawołał Bolek.

— I położywszy się znowu nawznak, patrzał na niebo lazurowe i na kilka białych chmurek, które ni stąd, ni zowąd na niem się ukazały.

Jurek tymczasem ukrajał sobie kozikiem potężną kromkę białego chleba pszennego, nasmarował go masłem i zajadał łakomie z kiełbasą.

— Tylko ty dużo nie jedz — zauważył wkońcu Bolek — bo niewiadomo kiedy nowe jedzenie dostaniemy i czy będzie je mogła przynieść nam Złotareńkowa. Trzeba pamiętać o jutrze.

— Dlaczegóżby Złotareńkowa nie miała przynieść nowego prowjantu?

— Dlatego, że mogą jej hajdamacy na to nie pozwolić.

— Tobie to ciągle hajdamacy jeno w głowie. Dlaczego nie mieliby pozwolić? — mówił Jurek, mając zapakowane usta kiełbasą i chlebem.

Bolek nic na to nie odrzekł, ale słuchał.

— Dziwna rzecz, już nie strzelają.

W rzeczy samej strzały ucichły, ale mimo to wrzawa ludzka, krzyki i jęki, płacz i jakieś dzikie, okropne wrzaski, wprawdzie stłumione przez oddalenie i gąszcz sitowia, nieustannie dochodziły. Nie wzruszały one wcale Jurka, łakomie pałaszował chleb i kiełbasę. Ale Bolek był bardzo niespokojny, nie mógł uleżeć, wstał, wspinał się na palcach, jakby chciał co dojrzeć; ale trzcina była zbyt wybujała i od strony Humania chmury dymu i kurzu, oświecone czerwono od słońca, chylącego się już ku zachodowi, nie dawały nic widzieć.

— Pewno Humań hajdamacy już wzięli — rzekł Bolek.

— Pewno, skoro nie było prochu do strzelania.

Ale z chylącem się ku zachodowi słońcem zerwał się od południa lekki wiatr, zaszumiały trzciny i już nie było słychać ani krzyków, ani jęków, bo wiatr wiał ku, a nie od Humania. Zrobiła się cisza, tylko trzciny szumiały żałośliwie, żórawie krzyczały, i czajki, dostrzegłszy niezwyczajnych gości w swych dzielnicach, nieustannie nad głowami chłopców się unosiły. Zrobiło się chłodniej, powietrze dotąd zduszone i skwarzące się na słońcu, odświeżyło się i lżej było oddychać, a nadewszystko komary już nie tak zajadle cięły. Z bagnisk zaczęły się podnosić białe mgły i leniwie rozwłóczyły się ponad sitowiem.

Bolek, tą ciszą nieco uspokojony, zabrał się także do jedzenia, a widząc, że Jurek, nakarmiwszy się kiełbasą, rozścielił sobie kołdrę na trawie, położył się na niej i niebawem zasnął, to samo postanowił uczynić. Zjadłszy trochę chleba i kiełbasy, resztę starannie zachował w koszyku, ustawił go pod olszyną, poczem podłożył sobie pod głowę zawiniątko i legł na niem. Ale nie zaraz usnął. Wsłuchiwał się w szelest miotanej wiatrem trzciny, w jękliwe jakieś odgłosy, drżące wśród sitowia, w różnorodne krzyki ptactwa, przypatrywał się lotowi czajek, które unosiły się nad ich legowiskiem w trzcinie, spoglądał

w rumieniące się zachodem niebo, w białe chmurki, przesuwające się po niem, myślał o swej matce, wreszcie, zmęczony przygodami dnia tego, sam nie wiedział kiedy zasnął.

Sny miał niespokojne i burzliwe. To śniła mu się jego matka, gdzieś zawieszona na tych białych obłokach, które widział był na jawie, płynące po niebie błękitnem, to znów pani Złotareńkowa płacząca czegoś żałośliwie, to groźne wejrzenie pana Szafrańskiego, to ksiądz rektor, kiwający palcem na Jurka. Wszystko to mieszało się, plątało w jakiś nierozwikłany węzeł i męczyło go bardzo. Przewracał się i stękał, ale ręka snu ciążyła nad nim i obudzić się nie mógł. To znowu widział przed sobą gromadę strasznych hajdamaków, całych okrwiawionych, z nożami, z których posoka ludzka ciurkiem ciekła, jak go gonili, chcąc zarznąć, a jemu nogi wrosły w ziemię i ruszyć się nie mógł i śmiertelny pot oblewał go. Nagle usłyszał huk, powtarzający się ciągle raz po razu i zdawało mu się, że to pan Szafrański z armat strzela, a wtem ujrzał pana pułkownika Gontę, w żółtym żupanie i błękitnym kontuszu, jak leci, wytrzeszczywszy straszne oczy, ze spisą wprost na niego. Objął go nieopisany strach, rzucił się gwałtownie i obudził.

Zerwał się, usiadł, dygocząc cały w nerwowem podrażnieniu i spojrzał dokoła. Miało się już pod wieczór i słońce skryło się za kiście trzciny, mały tylko wycinek jego tarczy, czerwony, jakby go kto krwią oblał, wyglądał z poza chwiejącego się i szeleszczącego tęskliwie sitowia. Wierzchołki krzaków, trzciny i tataraku oblane jeszcze były ukośnemi, purpurowemi blaskami, ale tu na dole padał już mrok ponury, wilgotny i chłodny. Wielkie mgły białe kłębiły się śród gąszczu, wlokły powoli, ślizgały i rozłaziły się wszędzie. W powietrzu drżała ogromna cisza, tylko wiatr świszczał wśród trzciny, chwiał jej ki-

ściami, szeleściał smutnie, a gdzieś zdala, od strony Humania i rzeki rozlegał się donośny huk, raz po razu, jakby ktoś mocno uderzał czemś twardem.

Bolek słuchał, słuchał, nie mogąc narazie ze snu zdać sobie sprawy z tego huku, ale nagle przypomniał sobie umowę ze Złotareńkową.

— To jejmość bije kijanką! — zawołał — to hasło!

Skoczył ku chrapiącemu głośno Jurkowi i począł go trząść i szarpać, mówiąc:

— Jurek! wstawaj! jejmość daje hasło!

Jurek podniósł się, przetarł oczy kułakiem i zawołał:

— O laboga! co? cóż się stało?

— Nic się nie stało, tylko jejmość znak nam daje, że na nas czeka, czy nie słyszysz?

— Słyszę, co nie mam słyszeć?

Przeciągał się leniwie, oczy tarł i ziewał głośno.

— Wstawaj, trzeba iść do niej.

Jurek podniósł się wolno i otrząsł się:

— Brrr! zimno!

W rzeczy samej wraz z zachodem słońca, w tej bagnistej dolinie, przy coraz większej mgle robił się chłód przenikliwy, tem przykrzejszy po dniu upalnym.

Bolek tymczasem mówił:

— Śpiesz się, już oddawna bije kijanką.

— Pilno jej widać.

— Ale wprzód zahukaj, jak pućka.

— Prawda!

To rzekłszy, Jurek przyłożył obie dłonie do ust i huknął, naśladując puszczyka, a tak doskonale, że najwytrawniejszy myśliwy byłby się omylił. Powtórzywszy parokrotnie swoje hasło, Jurek rzekł:

— Chodźmy! jeno jakże? Zostawimy tu nasze rzeczy?

— Oczywiście, że ostawimy.

— A jak nie trafimy do nich z powrotem?

— Co nie mamy trafić? — Trafimy. Olszynę tę widać zdaleka.

— A nuż jejmość przyszła po nas, żeby wracać do miasta?

— Wątpię bardzo, ale chodźmy.

Ruszyli tedy, przedzierając się przez trzciny, łamiąc je i depcząc. Mrok już zupełny zapadł, mgły coraz bardziej gęstniały i droga z tego względu stawała się tak uciążliwą i niebezpieczną, że trudno było unikać bagien. Co chwila więc chłopcy zapadali po kostki w grząskiem błocie, lub w kałużach cuchnącej wody, a nawet Jurek, który był ciężki, parokrotnie przewrócił się i umazał straszliwie w błocie. Narzekał też i stękał, ale Bolek zalecał mu cichość, bo teraz w miarę zbliżania się do rzeki, dawały się słyszeć krzyki, dzikie wrzaski, gwar ogromny, płacze i jęki.

— Widno hajdamaki są jeszcze w mieście, trzeba cichość zachować — mówił Bolek.

Nakoniec przyszli nad rzekę. Po drugiej jej stronie, na wzgórzu czerniało miasto, tu i owdzie oświecone, a nawet z poza domów biła ogromna łuna, krwawemi blaskami oblewając dachy i wieżę cerkwi Bazyljańskiej. Wrzawa i krzyki rozlegały się donośnie, od czasu do czasu ktoś strzelił z samopału, co wszystko wśród szybko zapadającej nocy robiło przykre wrażenie.

Gdy obaj chłopcy zbliżyli się nad rzekę, zatrzymali się przez ostrożność opodal, zakryci wikliną, a Jurek, na rozkaz Bolka, jeszcze parę razy naśladował hukanie puszczyka.

Wtedy ucichło bicie kijanką i jakaś wysoka postać podniosła się na drugim brzegu, chwilę stała nieruchomie, a potem szybko przebiegła przez sitowie. Słychać było jak woda pluskała pod jej nogami. Postać ta, rysująca

się wśród mroku wieczornego i mgły bardzo niewyraźnie, zanurzyła się szybko w gąszcz, a po chwili dał się słyszeć stłumiony głos pani Złotareńkowej.

— Panicze, gdzie jesteście?

— Tutaj!

Gdy ich Złotareńkowa ujrzała, zdyszana ciężko, przysiadła na ziemi, szepcząc:

— O laboga! laboga! myślałam, że już paniczów rezunie zarznęli.

— Albo rzną ludzi?

— Oj rzną, rzną, wszystką szlachtę, wszystkich żydów wymordowali. Zabili pana Mładanowicza, jego siostrę i żonę, pana Szafrańskiego, wszystkich księży. O! Jezus, Marja, ratuj! Ale paniczom nic? — pytała jakby niedowierzając temu, że ich widzi całych i zdrowych przed sobą.

— Nic, cóżby nam być mogło, przecie byliśmy dobrze ukryci — odrzekł Bolek.

Złotareńkowa przyszła już do siebie, powstała i przykładając palec do ust, syknęła:

— Tsss... nie trzeba głośno mówić. Schronienie paniczów nie jest tak bardzo bezpieczne, bo przed zachodem słońca już kupa bab i młodych rezuniów bobrowała tutaj po trzcinie. W śmiertelnym byłam strachu, żeby was nie obaczyli. O Jezu, mój Jezu, co za straszne czasy, i że też to Bóg się nie zlituje nad nami! Wszystkich wyrznęli, dzieciątka niewinne brali na spisy, całą studnię na rynku zapełnili trupami, a teraz piją, hulają, komunikanty święte depczą. O Chryste! Chryste! zmiłuj się nad nami!

Obaj chłopcy słuchali tych skarg w ponurem milczeniu, a Złotareńkowa zawodziła ciągle. Nakoniec Jurek spytał:

— Więc, proszę jejmości, wracać nie możemy?

— A niechże Bóg broni! Wszystkich towarzyszy

paniczów, wszystkich uczniów wymordowali rezunie. Trzeba siedzieć w trzcinie, bo tu jedyny ratunek; przyniosłam wam trochę słoniny i pieczoną kurę, też bułkę chleba. Za dnia jutro nie będę śmiała do was pójść, bo rezunie szpiegują na wszystkie strony, a ich chłopaki i baby rozłażą się wszędzie. Może i wieczorem nie będę mogła przyjść, bo i teraz zrobiłam to pod wielkim strachem.

Podała im zawiniątko z jedzeniem, oglądała się ciągle, mówiła szeptem, nadsłuchiwała pilnie, wreszcie rzekła:

— Wracajcie, panicze, na trzęsawiska, ja tu chwilę jeszcze postoję i popatrzę, czy kto nie szpieguje. Jutro, jeżeli będę mogła, dam znak, tak jak dzisiaj, kijanką, niby prać będę bieliznę, a panicz niech huknie, jak pućka. Niech was Bóg prowadzi, niech Najświętsza Panienka strzeże! O laboga! laboga, tośmy się doczekali czasów! chyba to już koniec świata.

Chłopcy pięknie podziękowali poczciwej kobiecie i puścili się w gąszcz sitowia. Z trudnością im przyszło odszukać miejsce swego poprzedniego pobytu, bo ciemności były coraz większe, ale dzięki zmysłowi orjentacyjnemu Bolka, znaleźli je wreszcie, i zmęczeni, zabłoceni, przemokli, dygoczący z zimna, przerażeni do głębi tem, co usłyszeli od Złotareńkowej, padli na trawę.

Noc coraz czarniejsza rozpostarła swe ponure skrzydła nad nimi.

— Co będzie teraz? — narzekał Jurek — przecież w tych błotach nie możemy ciągle mieszkać, wilgotnie tu i zimno. Jeszcze się pochorujemy.

— Dzisiaj i tak nic nowego nie wymyślimy — odpowiedział mu Bolek — musimy poczekać do jutra, do świtu. Wtedy zobaczymy, co można zrobić.

— Ależ to okropne rzeczy, które nam opowiadała pani Złotareńkowa — szepnął Jurek — wszystkich wymor-

dowali! To straszne! Tak mi żal pana Szafrańskiego, taki dobry człowiek!

— I mnie żal wszystkich — wtórował mu Bolek — i księży i kolegów naszych i dzieci, które pomordowali; co oni im zawinili? co to za dzicz straszna! Że też im to tak uszło na sucho!...

Zamilkli i już tylko wzdychali.

ROZDZIAŁ V

Jak Jurek zrazu stchórzył, a potem bohatersko się spisał.

Noc przeszła spokojnie. Mimo to Bolek kilkakrotnie się budził, sam nie wiedział dlaczego. Być może, iż wskutek przejmującego chłodu, jaki na tych rozległych bagniskach panował, a może też, że był niezwyczajny takiego noclegu.

Obudziwszy się, słuchał jak wiatr szumiał wśród trzciny, jak dziwne jakieś, nieuchwytne, niezdecydowane głosy rozlegały się w tej nocy ukrainnej. Kiście sitowia drżały i jęczały żałośliwie, tłukły się o siebie, jakieś szepty, szmery, westchnienia unosiły się w powietrzu. Kiedy niekiedy derkacz, gdzieś w sitowiu ukryty, jęknął tęskliwie, to znowu ni stąd, ni zowąd zrywała się jakaś rozterka wśród tataraków, jakieś krzyki, czyjeś kroki, jakieś podejrzane stąpania dawały się słyszeć.

Bolek wówczas zrywał się, nadstawiał uszów, a gdy znowu po chwili wszystko ucichło, kładł się na mokrą trawę uspokojony. Nad sobą widział niebo czyste, bezchmurne, głębokie w swym ciemnym, prawie czarnym

błękicie, usiane gwiazdami, które tliły się i drżały nieustannie, podobne w swych barwach rozmaitych to do mieniących się opalów, to do szmaragdów i rubinów. Wiatr czasem powiał, zaszeleściał wśród sitowia, napędził mgłę i zakrył to cudowne widowisko nieba, nabijanego ćwiekami gwiazd, by znowu umilknąć i rozpłynąć się w omdlewającej ciszy, w nieskończonej ilości jakichś szeptów tajemniczych.

Od miasta dochodziły ciągłe krzyki i wrzawa i niebo od tej strony czerwieniało ponurą łuną ognia. Widocznie hajdamacy hulali po nieszczęsnym Humaniu, a ich krzyki, przekleństwa, wśród tej rozmarzonej nocy wiosennej przykre i przygnębiające robiły wrażenie. Czasem, gdy nagle i niespodziewanie wrzawa wzrosła, gdy ni stąd, ni zowąd huknął strzał z samopału, i huk ten, pochwycony przez wiatr, przez mgły, niósł się po stepie i trzęsawiskach daleko, powtarzany przez tysiączne echa, wtedy z pośrodka sitowia z przeraźliwym krzykiem zrywały się zbudzone ze snu gromady ptactwa wodnego i krążąc nad swemi legowiskami, zapadały w nie znowu z głośnym łopotem skrzydeł.

Bolkowi te nagłe wybuchy wrzawy hajdamackiej, świadczącej o jakichś między nimi sporach czy kłótniach, przez długą chwilę spać nie dały, nim nakoniec znużony, ukołysany następującą po nich ciszą, nie zmrużył oczów i w niespokojny sen nie zapadł.

Szczęśliwy Jurek, otulony w swą kołdrę, nic na to wszystko nie zważał, spał jak zabity, chrapał głośno i ani razu przez całą noc się nie obudził.

Nakoniec zorza poranna na wschodzie zajaśniała. Świtało. Niebo pokryło się bladym, smutnym blaskiem, chłodny ale rzeźwy wiatr powiał, zaszumiał wśród trzciny i sitowia, wstrząsł liściami olszyny, rozpędził mgłę i szedł dalej w stepy, by budzić naturę i ludzi do życia. Robiło

się coraz widniej. Powoli, nieznacznie białe lice wschodu zarumieniło się, zapłonęło, złocistą szatą przystroiło, a pod temi blaskami bagnisko zawrzało nagle bujnem, ogromnem życiem. Zabrzmiało tysiące głosów, śpiewów, krzyków. Żaby poczęły rechotać po kałużach, żórawie wzbijały się całemi kluczami pod rumieniące się, jak dziewczyna, niebo, i żałośliwym, smutnym krzykiem napełniały ciszę poranku wiosennego; dzikie gęsi i kaczki zrywały się z głośnym łopotem swych skrzydeł, by wykąpać się w powietrzu i w blaskach wschodzącego słońca; tysiące jaskółek unosiło się szybkim lotem nad chwiejącemi kiściami trzciny, szukając pożywienia. Nakoniec z poza tych kiści ukazała się czerwona tarcza słońca i dzień jasny i widny się zrobił.

W Humaniu tymczasem zaległa cisza. Widocznie po całonocnych hulatykach, pijatyce i bójkach, które tak zakłócały sen Bolka, hajdamacy zasnęli i odpoczywali po rzezi. Ogniska też zapewne pogasły, bo dym już nie unosił się nad domami, ale zato tu i owdzie z kominów kurzyło się długą, prostą smugą, zapowiadając dzień pogodny. Bolek, zziębnięty i mokry od wilgotnej trawy, rad był bardzo promieniowi jasnego słońca, które podnosząc się w górę powoli, oblało swym blaskiem i owo wzgórze, na którem chłopcy znaleźli schronienie i spoczynek.

Za tym ciepłym promieniem słońca, jakby przez niego urobione, pojawiło się mnóstwo much i muszek, które wciąż twardo śpiącego Jurka zawzięcie niepokoić zaczęły. A gdy wkrótce i jarzący promień słońca przedarł się przez gęstwinę tataraku i położył się złocistą, ciepłą plamą na jego pulchnej twarzy, to wreszcie i on obudził się, wytrzeszczył swe wypukłe oczy, i patrząc ze zdziwieniem dokoła siebie, widocznie nie mógł sobie zdać sprawy z tego, co widzi i gdzie się znajduje. Ale nakoniec przyszedł do siebie, ziewnął tak głośno, że aż

gdzieś w pobliżu ukryte stado kurek wodnych z krzykiem się zerwało, przeciągnął się i wstał, pytając Bolka:

— Co słychać?

— Nic, to tylko, czego tak głośno ziewasz?

— Ba! przecież hajdamaków tu niema?

— Ale mogą być.

— Gdzieżby im się tu chciało brodzić po tych bagnach!

— A nie mówiła nam wczoraj gospodyni, że mnóstwo bab i wyrostków hajdamackich włóczyło się tutaj?

— Ej, babskie gadanie. Brrr! zimno!

Potem zaczął oglądać Bolka i rzekł:

— Jakiś ty brudny!

— Zdaje się, że i ty nie jesteś czysty.

W rzeczy samej obaj chłopcy po wczorajszej wieczornej przeprawie do rzeki, dla zobaczenia się z p. Złotareńkową, wyglądali okropnie. Zabłoceni do kolan, obryzgani brudną wodą, która przyschła im czarnemi plamami na twarzy i rękach, z włosami rozczochranemi, zmęczeni niezdrowym snem wśród nocnej wilgoci i chłodu, czarni jacyś i zaniedbani, mieli miny hultajów jakichś. Gdyby z nich zdjąć zabłocone zresztą mocno żupaniki, a ubrać w świtki chłopskie, niczemby nie różnili się od rezuniów. A ci tam w Humaniu znowu poczęli hulać, wrzeszczeć, strzelać z samopałów, czego odgłos aż tutaj dochodził, bo wiatr teraz wiał od strony miasta.

Te krzyki i strzały niepokoiły mocno ptactwo gnieżdżące się w trzcinach i sitowiu. Zrywało się też co chwila z krzykiem, krążyło gromadnie nad trzęsawiskiem, by niebawem zapaść w nie i znowu na głośniejszy wrzask hajdamacki zerwać się w górę.

Wrzawa ta zaniepokoiła także mocno Jurka; stał, słuchał i nie odpowiedział wcale na uwagę Bolka, że wartoby się umyć i trochę oporządzić.

— Wyglądamy, jakbyśmy z szubienicy się urwali.

Ułamał trzcinę i począł ze swych butów zeskrobywać błoto, mówiąc:

— Chętniebym się umył, ale niema czem. W kałużach woda strasznie brudna i cuchnie, a do rzeki iść niepodobna.

Jurek tymczasem stał i słuchał wzrastającej od strony miasta wrzawy i pomimo brudu na jego pulchnej twarzy, widać było, że zbladł. Krokiem cichym, oglądając się trwożliwie, zbliżył się do towarzysza i szepnął, patrząc nań oczami szeroko rozwartemi, śmiertelny przestrach wyobrażającemi:

— Bolek, czy słyszysz?

— Słyszę — odrzekł tenże obojętnie, zajęty oskrobywaniem błota ze swych butów.

— Tam się coś strasznego dzieje!

— Zapewne to samo, co i wczoraj.

— Może dalej rzną ludzi?

— Z pewnością, choć chyba wczoraj już wymordowali, kogo mieli wymordować.

— A jak tu do nas przyjdą?

— Cóż znowu? skądżeby?... Wprawdzie mówiła wczoraj jejmość, że łazili po bagnach, ale sam powiedziałeś, że to babskie gadanie, że gdzieby im się też chciało brodzić po błocie.

Spojrzał na Jurka i, zdziwiony jego postawą, wyrażającą nieopisaną trwogę, spytał:

— Cóż to, boisz się?

— Boję się. Dla Boga Bolek, uciekajmy!

— Gdzie? dokąd? i dlaczego mamy teraz uciekać?

— Czy nie słyszysz? głosy się zbliżają, trzcina trzeszczy, jakby ją ktoś gniótł.

Oglądał się trwożliwie, łamał ręce z rozpaczą.

Bolek, zaniepokojony tą jego postawą, wyprostował się i począł słuchać.

W rzeczy samej trzcina trzeszczała gdzieś z prawej strony, ale powodem tego mógł być wiatr, który wzmagał się coraz więcej, szumiał po sitowiu, giął jego kiście i uderzając pojedyncze łodygi o siebie, mógł wydobywać to głuche trzeszczenie. Z tem wszystkiem, pomyślał sobie Bolek, może być inaczej i należy się przekonać o przyczynach tego podejrzanego trzasku, tem więcej, że jakieś głosy, jakby rozmowa ludzka, dochodziły wyraźnie.

Bolek był chłopiec odważny i nie tracił przytomności ducha, i teraz odrazu powziął postanowienie wdrapania się na olszynę, która rosła obok dość wybujała i górująca nad całą przestrzenią trzęsawiska. Wprawdzie drzewina była dość cienka, chwiała się i gięła pod naciskiem wiatru, ale Bolek liczył na to, że był szczupły i chudy, niewiele zatem zaważy, a gęste liście, jakiemi było drzewo okryte, zasłonią go doskonale przed szpiegowskiem okiem rezuniów, jeżeli w rzeczy samej bobrują oni po bagnie.

Nie namyślając się długo, zrzucił z siebie żupanik i czapkę, i jednym skokiem znalazł się na drzewie. Chwycił się za dość wysoko rosnącą gałąź rękami i zręcznie a szybko wdrapał się do góry. Olszyna ugięła się i zachwiała, ale dzielny chłopiec utrzymał się na niej i rozsunąwszy ostrożnie liście, wysunął głowę nazewnątrz.

Z tej wysokości bagno leżało przed nim jak na dłoni, widać było miasto i rzekę doskonale. Nad tą ostatnią kręciło się kilkunastu hajdamaków, a mnóstwo bab i wyrostków myło się w jej płytkich ale bystrych wodach, zapewne ze krwi, bo woda przybierała burakową barwę.

Bolek od tego przykrego widoku odwrócił oczy i spojrzał po szeroko rozkładającem się trzęsawisku. Wiatr szalał po tej nieosłoniętej niczem przestrzeni, chwiał trzciną,

która kładła się pod jego podmuchami, podnosiła się znowu i falowała jak wielka woda.

Ale prócz ptactwa, wznoszącego się nad tą smutną i melancholijną pustynią gąszczu błotnistego, żywej duszy nie było widać. Napróżno Bolek rozglądał się bacznie na wszystkie strony, a wzrok miał bystry, nic podejrzanego nie ujrzał.

Już miał zsunąć się z drzewa, które chwiało się i gięło pod nim, gdy rzuciwszy jeszcze raz okiem w kierunku rzeki i miasta, zauważył, że w jednem miejscu trzcina zanadto gwałtownie się ugina, a ugiąwszy się nie powstaje więcej. Zatrzymał się więc na drzewie i począł się pilnie przypatrywać temu podejrzanemu ruchowi sitowia; po chwili, na wielkie swoje przerażenie, ujrzał wysuwające się do góry dwa kapelusze słomiane i zaraz niknące.

Niewątpliwie byli to hajdamacy, którzy ukazali się oczom zdrętwiałego ze strachu chłopca właśnie w chwili, gdy przeskakiwali z jednej kępki na drugą. Dojrzał ich jeszcze parę razy i przekonał się, że są to dwa wyrostki bezwąse, z łbami rozczochranemi, nakrytemi słomianemi kapeluszami. Że wyszli na poszukiwania w bagnie, to nie ulegało wątpliwości, bo jeden z nich był uzbrojony w szczękę końską, osadzoną na krótkim kiju, a drugi w proste drewniane widły od wyrzucania mierzwy. Bolkowi nawet zdawało się, może przez imaginację, że tak szczęka końska, jak i widły umazane były krwią. Posuwali się oni wolno, ale w kierunku wzgórza, na którem obaj chłopcy się znajdowali.

Niebezpieczeństwo więc było groźne, tem groźniejsze, że młodzi hajdamacy byli uzbrojeni, a obaj chłopcy nawet kija nie mieli. Jakże żałował teraz Bolek, że posłuchał niemądrej rady Jurka i nie zabrał z sobą janczarki; byłby mógł teraz straszyć nią hajdamaków, a przynajmniej kolbą jej bronić się przeciw ich widłom i szczęce. Ale nie czas

było na próżne żale i skargi; za dziesięć minut najdalej rezunie dotrą do wzgórza, trzeba więc coś radzić i myśleć o tem, jak ocalić swe poważnie zagrożone życie, bo w tem spotkaniu szło istotnie o życie. Bolek szybko zsunął się z drzewa.

— I cóż tam widziałeś? — pytał Jurek, widząc wielkie przerażenie na twarzy Bolka. — Gadajże!

Rezunie tu idą.

— Rany Boskie! uciekajmy!

— Nie czas na ucieczkę i zresztą dokąd uciekniemy? Wszędzie są ci zbóje, nie tu, to gdzie indziej nas zamordują.

Więc co? co myślisz robić? — pytał Jurek, a głos mu się co chwila urywał i z trudnością z gardła dobywał.

— Trzeba się bronić — odrzekł Bolek spokojnie — mam plan.

— Masz plan? jaki?... co za plan?... chyba lepiej uciekajmy!...

— Cicho bądź, i słuchaj mnie pilnie, bo za kilka minut oni tu już będą.

Mówił to spokojnie, zwykłym swym głosem, a w jego chłodnych stalowych oczach tyle było męstwa, pewności siebie i postanowienia, że Jurek uczuł jakby jakąś opiekę nad sobą i mimowoli uległ wpływowi silniejszego charakteru.

— Schowaj się tu w trzcinie — mówił Bolek — połóż się na ziemi i leż nieruchomie, tając dech w sobie. Ja tam to samo zrobię. Ich jest dwóch, jak wejdą na tę górkę, spostrzegą nasze zawiniątka i zajmą się niemi; my tymczasem wyskoczymy nagle i za łeb obudwóch. Są to jacyś chłopcy, nie starsi od nas i z pewnością nie silniejsi. Obalimy ich i...

— I co?

— Zobaczę, mam plan. No, idź się ukryć i rób tak, jakem powiedział, ale nie rzucaj się wprzód, dopóki ja nie zawołam. Pan Bóg nam pomoże.

Głosy rozmawiających rezuniów zbliżały się coraz bardziej, pojedyncze nawet słowa można było rozróżnić, a łamana przez nich trzcina ze złowrogim trzaskiem odzywała się w duszach chłopców, którzy po obu stronach wzgórza ukryli się w gęsto rosnącym tutaj tataraku i położyli się na mokrej, uginającej się pod niemi ziemi. Serca biły im w piersiach jak młotem, oddychać nie śmieli, całą duszę przelali w oczy i w słuch.

Dwaj hajdamacy zbliżali się wolno, ale stale. Rozmawiali ze sobą. Jeden z nich miał głos ochrypły i chwalił się, że swoją szczęką końską zabił żydówkę i dwoje żydziąt i zrabował jej złote kolczyki.

— Jaby — mówił miejscowem narzeczem — mnoho jeszczo wział, ale ten... żeby jeho... Semen... nie dał. Wszystkie czerwieńce żydówki wydarł mi z ręki i w kark mię jeszcze zwalił. Żeby jeho na pal zato wbili!... proklatyj!...

Szli ciężko, więzgli w błocie i klęli strasznie, a trzcina trzaskała głośno pod ich nogami. Drugi mówił:

— Taj co my tu szukamy? W błocie jeno brniemy.

— A nuż tu jaki Lach albo Laszka, albo żyd niechrestny się schował. Iwaszka przykazał, coby my bagna przejrzeli, taki trzeba przejrzeć, a jeżeli Lacha zdybiemy, to go w łeb proklatego...

— A jak on nam da w łeb?

— Nu... to krzyku narobimy, przyjdą inni i ich zareżą. Na pohibel Lachom!...

Nakoniec ukazali się, i Bolek, rozsunąwszy nieco sitowie, mógł im się dobrze przypatrzyć. Byli to dwaj chłopcy, wyrostki, mogący liczyć po piętnaście lub szesnaście lat, wcześnie zaprawieni w rzemiośle mordowania

ludzi i w rabunku. Twarze ich brudne, z wyrazem zwierzęcej dzikości, o oczach głęboko osadzonych i łby skołtunione straszne robiły wrażenie. Jeden był ubrany w chłopską, szarą świtkę, a drugi miał ją zarzuconą na ramię; obaj byli przepasani rzemiennemi pasami, ze śladami krwi na połach i ożydlach *) kapot, zabłoceni, czarni, wstrętni.

Wszedłszy na wzgórze, natychmiast spostrzegli kołdrę Jurka, rozciągniętą jeszcze na ziemi i zawiniątka, leżące pod drzewem, oraz koszyk, z którego sterczała bułka chleba i koniec serka. Zdziwienie ich było tak wielkie, że przez chwilę stali nieruchomi, wpatrzeni w to, zgoła dla nich niespodziewane widowisko. Ale zaraz wyższy z nich, ten, co niósł szczękę końską na kiju osadzoną, której białe wyszczerzone zęby, jak to zauważył Bolek, krwią były zaczerwienione i garście jakichś płowych włosów miały na sobie, ten, który miał głos chrypowaty, krzyknął dość głośno:

— Lachy tu były!

Obejrzał się podejrzliwie dokoła, ale dobrze ukrytych chłopców nie dojrzał, cicho było i tylko wiatr świszczał wśród trzciny.

Jeden zbliżył się do zawiniątek i zaczął je pilnie oglądać, a za nim podszedł jego kompan, położywszy świtkę na ziemi. Obaj przytem nachylili się nisko i tyłem byli obróceni do czyhającego na nich Bolka i Jurka. To też Bolek skorzystał z tego położenia i, krzyknąwszy:

— Jurek, dalej na nich!

Jednym skokiem rzucił się na wyższego, który stał po jego stronie. Jednocześnie Jurek, nabrawszy w niebezpieczeństwie jakiejś zaciętej odwagi, skoczył na niż-

---

*) część ubrania na piersiach; klapy na piersiach u sukmany.

szego, zajętego rozwiązywaniem tobołków i jednem uderzeniem kamienia, którym się nagle uzbroił i całym ciężarem swego pulchnego ciała obalił go twarzą do ziemi, tak, że ten nosem zarył w zawiniątko. Właśnie powalonemu spadł pas i wysunięta koszula osunęła mu się na głowę, z czego Jurek skorzystał i w jednej chwili tą koszulą omotał mu kudłaty łeb.

Hajdamaka bronił się i rzucał rozpaczliwie, lecz ogłuszony przez Jurka, ciągle walącego go kamieniem w głowę, ucichł wreszcie.

Niemniej szczęśliwie powiodło się Bolkowi: powalił on także swego przeciwnika, niespodziewającego się tak nagłego napadu, ale, że to był chłopak starszy i widocznie przytomniejszy, począł się rzucać, choć Bolek, chwyciwszy go oburącz z przodu za skołtunowane włosy, mocował się i walił nim o drzewo co miał mocy. Hajdamaka, szarpiąc się, stoczył się ze wzgórza i padł w kałużę gęstej wody, przyczem Bolek nie puścił jego czupryny, ale ciągle ją trzymał i teraz raz po razu wydobywał głowę rezunia z bagna i znowu w nie zanurzał, tak że ten, mając zalane, a raczej zalepione oczy i usta, jęczał tylko i wołał:

— Pomyłujte pane!

— A rakarzu! — wołał Bolek, tłukąc kudłatym łbem hajdamaki o bagno — a rzezałeś ludzi, niewiniątka brałeś na spisy!

— Ja ne rezał pane!

W tem szamotaniu się wypadł z kieszeni łotra pęk sznurów, co widząc, Bolek zawołał:

— Jurek! trzeba ich związać!

— Ja już swego związałem jego własnym pasem, leży tu, jak baran.

W rzeczy samej niższy hajdamaka stękał pod drzewem, z głową silnie omotaną koszulą, a rękami związanemi

ztyłu silnie własnym paskiem rzemiennym. Widząc to, Bolek syknął:

— To chodźże tu prędzej i pomóż mi związać tego zbója!

We dwóch powiązali sznurami ręce i nogi rezunia, który wydobyty z bagna był raczej podobny do bryły błota, niż do człowieka, lepka bowiem ziemia przylgnęła mu do twarzy i włosów, zatkała usta, nozdrza i oczy. Ledwie dyszał i stękał, ale bo mu też Bolek porządnie łba natargał i natłukł. Broń zbójów, widły i końską szczękę chłopcy odrzucili na bok.

Dokonawszy tak niespodzianie zwycięstwa, dumni byli z triumfu, zwłaszcza Jurek nabrał otuchy, śmiał się i gadał:

— A łotry, chcieli nas zarznąć, a tymczasem są w naszym ręku! Hi! hi! hi!

I zbliżając się do stękającego hajdamaki, pytał:

— A co, będziesz, hultaju, ludzi rzezał?

Po niedawnym strachu był teraz spokojny, pewny siebie, to też przechadzał się po wzgórzu podparty pod boki i mówił:

— Ani słowa, tęgośmy się spisali!

Ale Bolek nie był spokojny i nic nie mówił, tylko stał i słuchał, a w jego chłodnych oczach widać było obawę i zamyślenie. Nie odpowiadając wcale na przechwałki Jurka, szybko wdrapał się na olszynę i począł przepatrywać bagna, zapewne w tym celu, by się przekonać, czy nowe niebezpieczeństwo im nie grozi.

Widząc to, Jurek odrazu stracił swą fantazję i podszedłszy pod drzewinę, pytał z obawą:

— A co tam? czy znowu jacy idą?

Bolek, obejrzawszy starannie całe trzęsawisko, zsunął się zręcznie z drzewa i rzekł:

— Chwała Bogu, nie widać nikogo. Ale nie trzeba na to liczyć, nie teraz, to później mogą przyjść inni.

— Bój się Boga, więc co zrobimy?

— Chodź na bok, żeby hultaje nas nie słyszeli, naradzimy się. Mam plan, może się uda.

ROZDZIAŁ VI

w którym Jurek przyszedł do przekonania, że prochu nie wynajdzie.

Jurek, zaniepokojony mocno, bo sam to teraz spostrzegł, że pokonanie i ubezwładnienie dwóch hajdamaków nie usuwa wcale grożącego niebezpieczeństwa, poszedł z nosem na kwintę spuszczonym za Bolkiem na skraj wzgórza, gdzie powiązani rezunie ich rozmowy słyszeć nie mogli.

— Bolek! — szepnął — więc boisz się nowych rezuniów?

— Oczywiście, że się boję. Przecież za przykładem tych dwóch mogą inni przyjść, i to kupą, a wtedy co zrobimy? Przytem jak ci dwaj nie wrócą prędko, to może inni zaczną ich szukać.

— Prawda! prawda! na myśl mi to teraz nie przyszło... ach! mój Boże, co robić?

— Ja mam pewien plan.

— Masz plan? jaki? gadajże!

— Cicho! nie tak głośno... te łotry mogą nas usłyszeć.

— Już będę cicho, jeno gadaj.

— Słuchaj-że! my tu nie możemy zostać, musimy stąd uciekać, bo, jak powiadam, jeno patrzeć jak inni zaczną po bagnie bobrować, a wtedy przepadliśmy.

— Ja to zaraz mówiłem — jęczał Jurek — że trzeba uciekać, aleś ty się uparł i teraz jest gorzej, bo jak inni przyjdą i znajdą powiązanych kamratów, to nas schwycą i zarzną. Trza ich rozwiązać i puścić!

— Zgłupiałeś, czy co? Strach ci rozum pomieszał!

— Wcale mi rozumu nie pomieszał, jeno tyś narobił bigosu! Ratuj, Panie Jezu! bo ja już nie wiem, co czynić.

— Ale ja wiem i powtarzam, trzeba uciekać.

— Trzeba to było zaraz zrobić, a nie wdawać się w bójkę z hajdamakami.

— Wtedy ucieczka byłaby głupstwem i na śmierć by nas niechybnie naraziła, a teraz jest co innego.

— Jakto co innego? całkiem nie widzę nic inszego. Widzę tylko, że zginęliśmy, przepadliśmy.

— Cicho—że bądź, cebulo jakaś, i nie jęcz, a słuchaj mnie, zobaczysz, wszystko będzie dobrze.

Jurek spojrzał na Bolka, a widząc w jego oczach spokój i siłę, nabrał jakoś otuchy i rzekł:

— No, słucham.

— Trzeba zabrać tym skórczybykom świtki.

— Na co?

— Żeby się w nie ubrać.

— Jakto? my się mamy ubierać w ich świtki, na których krew ludzką widać? — zapytał Jurek z oburzeniem i zdumieniem.

— Jest to nieprzyjemne, ale cóż robić? Gdzie idzie o życie, tam nie można być wybrednym. Ubierzemy się w ich świtki, zabierzemy ich hajdamacką broń i wyruszymy stąd bezpieczni. Każdy będzie nas miał za rezuniów i nikt nie zaczepi.

Jurek patrzył, patrzył na Bolka, myślał, a wreszcie rzucił mu się na szyję i zawołał:

— Bolek, ty masz ogromny rozum. Wiwat! Ocaleliśmy! Jak ty to mądrze wymyśliłeś! Ślicznie będzie! Z pewnością wezmą nas za rezuniów, bo gęby mamy brudne i nikt nas nie pozna. Możemy więc wrócić do Humania!

Śmiał się, podskakiwał, zacierał ręce. Z rozpaczy, która go przed chwilą ogarniała, przeszedł nagle do wesołości. Skoczył do hajdamaków i krzyknął:

— Dalej, skórczybyku, dawaj kapotę, bo inaczej to cię na te widły zasadzę i do piekła poślę, żeby cię Lucyper na patelni djabelskiej usmażył.

Mówiąc to, zabierał leżącą świtkę niższego rezunia, podczas gdy Bolek ściągał kapotę ze swego pokonanego. Czem prędzej obaj ubrali się, nie bez pewnego wstrętu, w te brudne świtki i nadziali hajdamackie kapelusze na głowę. Wyglądali jak prawdziwi rezunie.

— Zawiążmy im gęby chustkami, żeby nie krzyczeli — zawołał Bolek i w mgnieniu oka wydobywszy swą chustkę z kieszeni, przewiązał gębę swojej ofierze.

— Ja mojemu nie potrzebuję zawiązywać — rzekł Jurek, — ma on i tak łeb omotany.

— A teraz przywiążmy tych hultajów do drzewa i niech tu siedzą, aż ich tacy sami zbóje uwolnią.

W mig uskutecznili ten zamiar: skrępowanych mocno sznurami, ale broniących się jeszcze hajdamaków przywlekli i przywiązali do drzewa i wziąwszy z koszyka bułkę chleba, kurę pieczoną, dar imcipani Złotareńkowej, oraz resztki kiełbasy, uzbroili się, Jurek w widły, a Bolek w szczękę końską i ruszyli.

— No! teraz do Humania! — rzekł Jurek.

— Nie, Juraś, do Humania nie pójdziemy, lepiej będzie trzymać się zdala od tych djabłów. Nużby nas

kto ze znajomych spotkał w Humaniu, choćby sam Złotarenko, który jest kozak i z pewnością z hajdamakami się połączył. Pójdziemy w przeciwną stronę, za Siniuchę na Dzikie pola... Zresztą zabaczymy, ale teraz trzeba nam jak najprędzej się stąd oddalić, bo jeno patrzeć jak nowa wataha zbójów może nam spaść na kark.

— Niechże nas Bóg broni od tego — odezwał się Jurek, oglądając się trwożliwie dokoła. — Ale zrób jak uważasz Bolek, ty to porządnie urządziłeś i ja cię we wszystkiem słuchać będę. Mnieby to nawet na myśl nie przyszło!

— A więc w drogę!

To rzekłszy, Bolek zeskoczył ze wzgórza i zaszył się w trzcinę, a Jurek, pogroziwszy pieścią powiązanym wyrostkom hajdamackim, rzekł:

— Siedź tu grzybie, aż cię kto zdybie!

Poczem puścił się za swym towarzyszem. Brnęli więc znowu po bagnach, więźli w grząskiem błocie, płoszyli gromady ptactwa, przeskakiwali z kępki na kępkę, gdy im drogę zagrodziła kałuża brudnej wody. Bolek zalecał, żeby jak najmniej łamać trzciny i deptać sitowie, by śladu za sobą nie zostawiać.

— Czy myślisz Bolek, że nas mogą ścigać?

— Mogą i z pewnością będą ścigali, ale ja sobie drwię z tego, byleśmy śladu nie zostawiali i byle inni nie zaraz natrafili na powiązanych tam na wzgórzu rezuniów.

— Może i nie zaraz na nich natrafią, bo przecież nie było widać nikogo na bagnie.

— I mnie się widzi, że nikt tam o łażeniu po błotach teraz nie myśli. Ale czy słyszysz jakie krzyki te łotry wyprawiają w Humaniu?

W rzeczy samej wiatr, który dzisiaj wiał od miasta, przynosił nieustanną dziką z niego wrzawę. Widocznie

hajdamacy hulali teraz po rzezi, pili zapewne i dzikie tańce wyprawiali.

Krzyki te oddziaływały na obu chłopców, jakby ich kto biczem podcinał. Śpieszyli, ile mogli, by jak najprędzej oddalić się od Humania, by dokonawszy tyle, nie wpaść w ręce zbójów, którzy zapewne strasznieby się pomścili na dzielnych chłopcach.

To też wkrótce przebyli bagna, które zresztą tworzyły dość wąski pas wzdłuż rzeczki Humanki; dalej poza niemi rozciągał się głuchy step, pusty zupełnie, niezamieszkały prawie aż do nędznego miasteczka Targowicy, położonego nad pograniczną rzeczką Siniuchą, inaczej Siną Wodą zwaną, niebawem mającego w historji naszej smutną zajaśnieć sławą.

Tu i owdzie, po jarach, po tak zwanych „bałkach“, czyli w zapadlinach głębokich w gładkim, jak stół, stepie, kryły się pojedyńcze futory i pasieki, ale i te były rzadkie i nieraz tak ukryte, że trudno je było odszukać, bo cały ten kraj, aż do Bohu prawie, wystawiony był do niedawna na napady Tatarów i hajdamaków od Siczy Dnieprowej.

Bolek o tem trochę wiedział, bo nieraz słuchał opowiadania Złotareńki, który zamłodu jeździł z solą i rybą do Siczy, i lubił o tych swoich podróżach wieczorami dużo rozprawiać. Na to też głównie liczył Bolek, że nikogo na stepie nie spotka, ani hajdamaków, którzy wszyscy zbiegli się do Humania, ani Tatarów, którzy, przyciśnięci przez rosyjskiego jenerała Potemkina, myśleli już tylko o własnej obronie, a nie o napadach na Polskę.

— W stepie — mówił Bolek do Jurka — będziemy mogli się ukryć, bo wiosna w tym roku jest wczesna, ciepła już chwyciły i step pewno pokrył się bujną trawą, a bywa ona tak wysoka, że człowiek nie tylko pieszy, ale nawet na koniu jadący, może w niej się schować.

— Dałby to Pan Bóg! — odpowiedział Jurek.

— W tej chwili idzie tylko o to, by się jak najprędzej i jak najdalej od Humania odsunąć — dodał Bolek.

Znalazłszy się nakoniec na stepie, obaj chłopcy odetchnęli swobodniej, bo przypuszczenie Bolka, że trawy, dzięki gorącej wiośnie, wybujały wysoko, okazało się prawdziwem. Zakryły ich one zupełnie przed okiem ludzkiem i Jurek, zmęczony szybkim i uciążliwym pochodem przez trzęsawiska, dzięki swej otyłości, spocił się mocno. To też rzekł:

— Odpocznijmy trochę, bo już iść nie mogę.

— Dobrze, odpocznijmy — odpowiedział Bolek, który miał dobre serce i żal mu było koleci — ale powinieneś przygotować się na to, że musimy teraz przejść duży kawał drogi i o spoczynku myśleć nie możemy.

Jurek wyciągnął się zaraz na bujnej trawie, odetchnął ciężko, ręce podłożył pod głowę i patrząc w niebo, po którem wiatr pędził białe chmurki, spytał:

— Dokąd my teraz pójdziemy? Ja myślę, że najlepiej przesiedzieć tu kilka dni w stepie, a potem wrócić do Humania.

— Wrócić do Humania? Co też ty pleciesz, Juraś? chyba po to chcesz wrócić do Humania, żeby cię hajdamaki zaraz zarznęły?

— Przecie hajdamaki wiecznie nie będą siedzieli w Humaniu. Nie dziś, to jutro, choćby za tydzień przyjdą chorągwie wojskowe i rozpędzą tych zbójów na cztery wiatry.

— Bywało tak dawniej, ale nie teraz.

— Dlaczegóż teraz ma być inaczej?

— Dlatego, że wszystkie chorągwie, pilnujące granic, przeszły albo do konfederatów, albo przeciw nim. Nigdzie, w całem województwie bracławskiem niema ani jednego żołnierza i dlatego to ośmielili się hajdamacy

napadać, rznąć i rabować, bo kto im się oprze? Nie słyszałeś to, jak o tem mówili wszyscy w szkole i jak Złotareńko gadał?

— Słyszałem, ale mi się to nie widzi. Ale dajmy na to, że tak jest, to powiedzże mi, cóż my teraz robić będziemy i dokąd pójdziemy, bo przecież ta bułka chleba, ta kura i odrobina kiełbasy nie na długo nam starczy, ile że ja, po tej bójce z hajdamakiem i tych wszystkich wzruszeniach, jakieśmy przeszli, czuję taki apetyt, żebym konia z kopytami zjadł.

— Więc posil się trochę, ale pamiętaj o jutrze, bo tu w stepie możemy i przez dwa dni żywej duszy nie spotkać.

— Otóż to właśnie! Więc cóż będzie? czy z głodu zamrzemy?

— Nic nam nie będzie, Pan Jezus nami się zaopiekuje, jak się dotąd opiekował.

Jurek nic na to nie odrzekł, odkrajał sobie właśnie pajdę chleba i począł ją łakomie zajadać z kiełbasą. Step szumiał, słońce prażyło mocno, choć tutaj na otwartej przestrzeni, po której wiatr mógł swobodnie hulać, wśród świeżego, aromatem wiośnianej roślinności przepojonego powietrza, gorąco nie było ani tak dokuczliwe, ani tak duszne, jak tam na bagnach. Bolek z rozkoszą wciągał w swe młode płuca czyste, rzeźwe powietrze stepu.

To też obaj chłopcy spoczywali w milczeniu, Jurek zajęty jedzeniem, Bolek zasłuchany w szum stepu, zapatrzony w błękit niebieski.

Nakoniec Jurek spałaszował chleb i kiełbasę i czując się znacznie pokrzepionym na siłach, rzekł:

— Bolek!

— Co?

— Widzisz... bo to... ja wiem, żeś ty mądry. Mnieby to nigdy do głowy nie przyszło, tak się gracko spisać

z tymi dwoma zbójami tam na bagnie i tak wszystko pięknie wykalkulować. Widzę teraz, że masz rację, że to nawet byłoby głupio, gdybyśmy, przeczekawszy parę dni, wracali do Humania. Widzę to ze smutkiem, że ksiądz Arytmetyka miał rację, kiedy mówił, że Jurek Świderski prochu nie wynajdzie.

— Nie potrzebujesz go wynajdywać, bo już jest wynaleziony — zaśmiał się Bolek.

— To się wie, że jest wynaleziony, ale jednak Bolek, chciałbym wiedzieć, dokąd my pójdziemy, bo przecież tu w stepie siedzieć, jak susły, albo li też dropie, nie możemy.

— Ja mam zamiar dotrzeć do Sokołówki i dowiedzieć się, co się z moją mamą dzieje, no, i póty nie spocznę, póki się nie dowiem.

— Do Sokołówki? bój się Boga, przecież to za Humaniem, trafimy to do Sokołówki?

— To też Humań okrążymy zdaleka.

— A nie pobłądzimy?

— Co mamy pobłądzić? Będziemy się kierowali wedle słońca.

— Wedle słońca?

— A nie pamiętasz, jak nas uczył ksiądz Astronomja?

— Coś to tam mi się przypomina, ale niewiele, bom tego jakoś w żaden sposób zrozumieć nie mógł.

— Ale ja zrozumiałem, bądź spokojny, nie pobłądzimy.

— Ha! mówiłem ci, żeś ty mądry, więc rozporządzaj, ja pójdę za tobą jak pacholik, ale jak tam iść wedle słońca, tego sobie nie przypominam. Widzę, żem do niczego.

— No, Jurek, nie trzeba siebie tak znowu lekceważyć. Jesteś poczciwy i dzielny chłopiec i z tym hajdamaką tam na bagnie załatwiłeś się należycie. Uszy do góry! Ale trzeba nam wstać i ruszać dalej, bo jeszcze

za blisko jesteśmy Humania i niebezpieczeństwo wpadnięcia w ręce rezuniów nie minęło.

W tej chwili jakiś silniejszy podmuch wiatru przyniósł stłumiony wprawdzie, ale wyraźny krzyk, zapewne z miasta. Jurek zerwał się i zawołał:

— Dla Boga, uciekajmy!

Ale Bolek stał, pilnie wsłuchiwał się w ów krzyk, który po raz wtóry się powtórzył. Przestraszony tem Jurek zapytał gorączkowo:

— Czego stoisz? o czem myślisz?

— Bo zdaje mi się, że to nie z Humania ten krzyk słychać.

— A skąd?

— Może się mylę, ale widzi mi się, że to nasi dwaj hajdamacy tak krzyczą.

— Rany Boskie, co mówisz?

I pewno, że to tak. Musieli hultaje oswobodzić łby i gęby i teraz krzyczą o pomoc. Musieliśmy im źle zawiązać gęby.

— Zdało mi się, że doskonale!... Ale czego my czekamy, krzyczą obwiesie, jakby ich kto ze skóry obdzierał.

Wistocie krzyki urywane raz po razu się powtarzały, jakby wzywano kogoś na pomoc. Nakoniec Bolek ruszył się i rzekł:

— Nie mamy tu czego czekać, dalej w drogę! Nieprędko, co prawda, usłyszą ich tam w Humaniu, bo wiatr jest przeciwny, przyczem tam także jest wrzask okrutny, który głuszy wszystko. Ale zawsze trzeba stąd ruszyć, im dalej będziemy od Humania, tem lepiej.

Teraz Jurek, któremu skóra cierpła na myśl spotkania się z hajdamakami, nabrał dziwnej lekkości w nogach, biegł przodem, nie zważał, że słońce, wzbiwszy się już wysoko, prostopadłemi promieniami przygrzewało mocno.

Bolek, który ledwie mógł za nim nadążyć, zawołał nakoniec:

— Czego tak pędzisz?

— Ale! czego pędzę... Śpiesz się i ty!

— Pamiętasz Francuza w przeszłym roku, co nas tak męczył swym językiem?...

— Ej, mnie teraz nie Francuz w głowie.

— Ale go pamiętasz?

— Co nie mam pamiętać! mało mi to skóry napsuł Hryć przez tego obiboka Francuza?

— No, nie nazywaj go obibokiem, bo to było wcale grzeczne Francuzisko.

— A niech go tam kule biją. Skąd ci znowu do głowy przyszedł w tak niecnotliwym momencie, jak teraz, ten Francuz.

— Bo on zawsze gadał: wolno, wolno mloda Polaka, *qui va piano va sano*, co znaczyło, kto idzie powoli, ten idzie pewno. A ty lecisz jak kot, kiedy mu pęcherz do ogona przywiążą.

— Bo się boję hajdamaków.

— Bać się znowu niema czego. Choćby nawet zaczęli nas ścigać, co jest bardzo wątpliwe, to w tej trawie nieprędko nas znajdą.

Jurek, spocony od przyśpieszonego biegu, przytem dość ciężko ubrany, bo na swój żupanik włożył jeszcze świtkę, zabraną hajdamace, dźwigał przytem dość ciężkie widły i kołdrę pod pachą, zatrzymał się nieco i rzekł:

— Tak mówisz?

— A tak.

— Zawsze bezpieczniej nie czekać.

— To też my nie czekamy, tylko idziemy, ale śpieszyć się niema czego, bo tu niebezpieczeństwo tak nam nie grozi. Nim tam w Humaniu usłyszą krzyki tych rezuniów, nim ich odszukają, nim nakoniec puszczą się za nami

w pogoń, co jest rzeczą wątpliwą, to my będziemy daleko. I kto tu nas może znaleźć w stepie, w takiej trawie, że człowiek z koniem się w niej może schować. Bądź spokojny, nie znajdą nas i lecieć na złamanie karku niema czego.

Więc szli wśród bujnych traw i burzanów stepu, kopiąc się przez nie jak przez morze, z niebem błękitnem nad sobą, pod palącemi promieniami słońca południowego, wśród szumu, jaki sprawiał wiatr, miotając trawą i roślinami stepowemi, które gięły się i falowały, jak wielkie wody. Pod skwarem południa step dyszał wonią tysiąca rozkwitających roślin; niezliczona ilość much i muszek brzęczała, pszczoły zwieszały się na kwiatach, wysysając z nich słodycz; wielkie z żółtemi lub czerwonemi przepaskami na tułowiu trzmiele napełniały step brzęczeniem swojem jakby półsennem. Niekiedy na turkusowem niebie zaczerniał orzeł, przez chwilę wisiał nieruchomy, zapewne upatrując zdobyczy, a lecąc rzucał od swych szeroko rozpostartych skrzydeł ruchliwy cień na bezmiar traw stepowych. W żarze południowego słońca drzemała niby wielka, jakby rozmodlona w sobie cisza, a jednak step grał tysiącem odgłosów nieuchwytnych, niezdecydowanych, ale świadczących jak bujne życie w nim kipi...

Obaj chłopcy szli, gwarząc między sobą, ale powoli umilkli, zasłuchani w rozgwar tajemniczej przestrzeni.

ROZDZIAŁ VII

Jak Bolek i Jurek spotkali w stepie czumaka i co z tego wynikło.

Szli ciągle, nie zatrzymując się nigdzie, a Bolek tak się kierował, żeby mieć słońce przed sobą, bo tylko na zachodzie mógł znaleźć pomoc; wiedział o tem, że hajdamacy szli od wschodu, od Dniepru i Taśminy. Rozumował więc sobie, że gdyby szedł, mając słońce za sobą, toby dostał się w okolice Śmiły i Czehrynia, czyli wpadłby w sam środek buntu chłopskiego. Dążył więc w kierunku południowo-zachodnim, ku rzece Siniuchą zwanej i ku Bohowi, gdzie nie słychać było, żeby hajdamaczyzna grasowała, gdzie zresztą były rezydencje takich możnych panów, jak Szczęsny Potocki i inni.

Ale Jurek nalegał o pośpiech, bo w każdym szumie wiatrów, w każdym bodjaku, wystrzelającym wyżej nad inne, widział już rezuniów. Bolek śmiał się z niego i zapewniał go ciągle, że bać się niema czego, że tu, w stepie są bezpieczni. Po kilku godzinach takiego pochodu Jurek uspokoił się nakoniec zupełnie, ale natomiast począł się skarżyć na upał słoneczny, na głód i pragnienie.

— Czy my tu nigdzie nie napotkamy jakiej wody, język mi przysechł i pragnienie mię pali! Żeby choć kropelkę...

— Prawdopodobnie, że spotkamy jaką rzeczkę — odpowiadał na to Bolek, chcąc natchnąć towarzysza otuchą, choć sam wątpił o tem, lubo dużoby dał, by i on mógł ugasić dręczące go pragnienie.

Słońce paliło mocno, a step nie dawał żadnego cienia, wiatr nawet, który szumiał wśród traw i burzanów, był gorący i suchy, wzmagając cierpienie. Dopiero nad wieczorem, gdy ogromna tarcza słoneczna napół skryła się za bujne trawy stepowe, ujrzeli przed sobą wielką mogiłę, jedną z tych, jakie bardzo często spotyka się w tych stronach, będących odwiecznym szlakiem wędrówek różnych ludów: Gotów, Alanów, Hunnów, Chazenów, Tatarów i Turków.

Jurek już ledwie się wlókł. Ciężyła mu świtka hajdamacka, nadziana na żupanik, ciężyły widły, które niósł, wszystko ciężyło.

— Bój się Boga, Bolek — mówił — jeżeli nie napotkamy wody, to ja chyba padnę i zamrę. Mniejsza o głód, byle ugasić pragnienie. W piersiach mię tak piecze, jakby mi kto w zanadrze rozpalonych węgli nasypał.

— Odwagi, odwagi, Juraś! wdrapiemy się na tę mogiłę i obejrzymy stamtąd okolicę, może dostrzeżemy gdzie wodę.

— Oj, mój Boże! — jęczał Jurek, — z pewnością nam przyjdzie zamrzeć tu z głodu i pragnienia w tym stepie. Już lepiej było siedzieć w bagniskach.

— I doczekać się tego, żeby nas hajdamacy zamordowali.

— Lepsza śmierć prędka pod nożem hajdamaków, niż takie powolne konanie.

I tak narzekał ciągle, ale wreszcie widok majestatycznie wznoszącej się mogiły, pokrytej bujną, zieloną trawą i mnóstwem różnobarwnego kwiecia, ożywił go nieco. Na mogile, na samym jej szczycie rósł ogromny, stary, pokrzywiony od wiatrów stepowych dąb, który przynajmniej obiecywał cień i chłód. Zachodzące słońce ukośnemi promieniami ozłacało i mogiłę i dąb odwieczny, na którym siedziało mnóstwo wron, głośnem krakaniem i swarami swemi napełniających ciszę wieczorną okolicy. Bo wraz z chylącym się dniem wiatr ustał zupełnie i powoli na s ep zapadała ogromna cisza, senna w sobie i rozmarzona.

Obaj chłopcy szybko wdrapali się na mogiłę i podczas gdy Jurek zmęczony padł zaraz pod dębem i leżał tak oddychając ciężko, Bolek począł się rozglądać dokoła. Z tej wysokości widać było bardzo daleką przestrzeń, a zachodzące słońce złotem i purpurą zalało wszystko, i trawy i burzany, teraz stojące nieruchomie wśród ciszy wieczornej, jakby padł na nie sen jakiś czarodziejski. Nic tej ciszy nie przerywało. Spłoszone pojawieniem się ludzi wrony zerwały się z dębu i z głośnem krakaniem uleciały; tylko w trawach i burzanach ćwierkały koniki polne, przepiórki i kuropatwy. Step dyszał omdlewającą zadumą.

Nigdzie bystry wzrok Bolka nie mógł dojrzeć śladu człowieka; niebo tylko spływało gdzieś w oddali i łączyło się z mgłami, powoli wznoszącemi się w górę. Mrok zapadał szybko.

Jednakże Bolek, nie przestając błądzić wzrokiem, dostrzegł w niewielkiej odległości, jakby odblask słońca zachodzącego, jakgdyby się ono odbijało w tafli jakiejś wody. Zrazu nie wierzył temu, przypuszczał, że go wzrok myli, ale niebawem usłyszał najwyraźniej głośne rechotanie żab. Usłyszał je i Jurek i, zrywając się ze swego siedzenia, zawołał:

— Słychać żaby. Woda! woda!

— A widzisz, jest woda — odrzekł Bolek.

— Gdzie? daleko?

— Niedaleko, tam — i wskazał ręką — chodźmy!

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać Jurkowi. Odzyskał w jednej chwili siły i pędem zbiegł z mogiły. W odległości może tysiąca kroków płynęła w dość płytkim jarze rzeczka, rozlewająca się tu i owdzie w szerokie kałuże, porośnięte tatarakiem, wśród którego niezliczona ilość żab rechotaniem swojem napełniała ciszę wieczorną. Sama rzeczka, a raczej strumyk miał bieg dość bystry i woda w nim była czysta i zimna, więc Jurek, położywszy się nad nią na brzuchu, czerpał kapeluszem ożywczy płyn i pił, pił chciwie. Każda kropla, którą połykał, wracała mu siły i energję. To też od czasu do czasu pokrzykiwał wesoło: — Doskonała, wyborna! — podnosił się na kolana, oddychał pełną piersią i znowu pił.

Gdy się już obaj nasycili i ugasili dręczące ich pragnienie, Bolek rzekł:

— Wartoby się umyć i wykąpać, bośmy brudni, jak cyganie lub hajdamacy.

Wprawdzie nie było się w czem kąpać, bo strumyk był dość płytki, jednakże pierwszy Jurek usłuchał tej rady, wmig się rozebrał i o tyle o ile było można, zanurzył w bystrej i chłodnej wodzie. Sprawiło mu to niewymowną rozkosz, pluskał się, mył twarz pokrytą błotem i kurzem i czuł, jak mu wraca rzeźwość, elastyczność zmęczonych drogą członków.

Gdy się już wymył i opłókał należycie, wyskoczył na brzeg i zawołał:

— A teraz jeść! dawaj konia z kopytami, to go zjem!

Niebardzo było co jeść, gdyż z zapasów, przyniesionych im na bagnisko przez Złotareńkową, dość nieoględnie zabrali tylko resztki kiełbasy, kurę pieczoną

i bułkę chleba. Tę ostatnią i kiełbasę spałaszowali już w czasie swej podróży po stepie, zostało tylko nieco chleba i kura pieczona.

— Szkoda — mówił Bolek — żeśmy wszystkiego nie zabrali.

Ale stało się i nie było o czem myśleć. Ubrali się i wrócili na mogiłę, gdzie pozostawili szczupłą tę żywność i broń, zdobytą na hajdamakach. Podzielili się chlebem i kurą, a Bolek mówił:

— Należałoby coś zostawić na jutro.

— Co tu zostawiać? — odpowiadał Jurek, ogryzając dość chudą kurę — i tem, co jest, nie nasycimy się jak należy.

— A jak jutro nie napotkamy nikogo, to co będzie?

— Niepodobna, żebyśmy nie napotkali jakiejś wsi albo futoru.

Bolek nic na to nie odpowiedział, bo sam był głodny straszliwie i nie był w stanie przemóc się, by z tej szczupłej żywności, jaką mieli, jeszcze coś oddzielić na jutro.

Tymczasem cicho, nieznacznie, jakby ukradkiem zapadała noc głęboka. Słońce dawno skryło się za bezbrzeżny horyzont stepu. Niebo poczerniało, tylko na zachodzie bielało jeszcze kilka chmurek jaśniejszych, ale i te powoli gasły i nikły. Na całą roztocz stepową kładła się cisza senna i mrok nieprzejrzany; świat zdrzemnął się nagle. Niebo powoli przybrało barwę ciemno-szafirową, a na tem tle migotać i drżeć zaczęły gwiazdy, zadumane na niebie nad zadumaną ziemią. Upajającej ciszy nocy wiosennej, zdawało się, że nic nie zakłóci; tymczasem nagle, ni stąd, ni zowąd step grać począł niezliczoną ilością tajemniczych głosów, szeptów, szmerów, jęków i westchnień. Powiał lekki wiatr, zaszeleścił wśród traw i burzanów, zakręcił się na mogile, wstrząsnął obwisłemi

dotąd liśćmi starego dębu i poleciał gdzieś daleko bujać po gładkiej powierzchni stepu.

Na to hasło tysiące nieuchwytnych, niepodobnych do określenia głosów rozdźwięczało w nocnych ciemnościach, i cały step zagrzmiał chórem dziwnym, niby niejednolitym, a jednakże tworzącym przedziwną harmonję, kojącą duszę muzyką wszechświata. Kładła się ona, niby balsam słodki na dusze obu chłopców, wstrząśnięte do głębi wypadkami dni ostatnich, budziła w nich dreszcz tajemniczy przed tą naturą, taką ogromną i taką wspaniałą. Step grał ciągle, a oni słuchali tej muzyki; ciemności coraz większe ich ogarniały, obawa rosła, poczucie osamotnienia i bezsilności wśród tego ogromu ciążyło im na duszy.

Jurek, mniej wrażliwy na objawy zewnętrzne, zrazu słuchał z pewną trwogą tej niezliczonej ilości głosów, dzwoniących w stepie, potem przywykł do nich szybko i niebawem zasnął mocno. Ale Bolek, którego dusza nastrojona była niby struny skrzypiec naciągnięte do najwyższego tonu, nie mógł zasnąć długo i odczuwał najmniejsze, najdrobniejsze nawet drgnięcie tego tajemniczego, nocnego życia stepu. Świat grał, grała i dusza Bolka, utopiona w niemym zachwycie, przejęta czcią, rozmodlona w niepojętym, nieuchwytnym wszechbycie. Powoli jednak brało górę znużenie i chłopiec sam nie wiedział kiedy zasnął.

Obudzili się, kiedy słońce już było dość wysoko, a promienie jego, przedzierając się przez koronę liści dębu, drażnić ich poczęły i gromady much i muszek obsiadały ich twarze, zwłaszcza pucułowate oblicze Jurka, który się kręcił, oganiał, ale nie wstawał. Bolek zerwał się jednak zaraz, przetarł oczy, pobiegł do strumienia, umył się, napił wody, która stanowić miała jedyne jego śniadanie, choć z przyjemnością zjadłby choć kawałeczek chleba. Ale nie było co o tem myśleć, ani też czekać

tu na mogile zmiłowania Bożego, jeno trzeba było iść dalej i szukać śladów człowieka w tej pustyni stepowej.

Wróciwszy na mogiłę, Bolek obudził Jurka, a sam począł się bacznie rozglądać dokoła, czy teraz przy jasności dziennej nie ujrzy gdzie jakiej wioski lub futoru. Ale napróżno wzrok wytężał. Gdzie tylko rzucił okiem, nic nie było widać, tylko trawy bujne i burzany falowały niby woda; na niebie kołysały się orły, ciągnęły klucze żórawi lub dzikich gęsi. Step szumiał głucho, a w tym szumie były wszystkie głosy, prócz głosu ludzkiego.

Jurek pozbierał starannie okruszyny z wczorajszej wieczerzy, ale, oczywiście, żadnego mu to nie przyniosło pożytku, był głodny i narzekał mocno. Słysząc to, Bolek odezwał się tonem surowym i ostrym, jakiego dotąd nigdy względem towarzysza nie używał:

— Wstydź się, żeby tak jęczyć, jak baba! Co z ciebie będzie w przyszłości za rycerz, za wojak, jeżeli dziś nie potrafisz znieść trochę głodu. Może myślisz, że umrzesz nie jedząc pierwszy raz w życiu śniadania, barszczu ze skwarkami i jagланą kaszą? Nie bój się! nic ci nie będzie! Przypomnij sobie, co opowiadał ksiądz Rokicki, że człowiek może trzy dni, a nawet i dłużej wyżyć bez jedzenia, zwłaszcza jeżeli ma wodę do picia...

— A kiedy my właśnie, wyruszywszy stąd, i wody mieć nie będziemy — zauważył Jurek — a jak sobie przypomnę, com wczoraj przecierpiał z pragnienia, to mi się słabo robi.

— Mylisz się, bo już ja wiem mniej więcej, gdzie jesteśmy. Czy uważałeś, że ta rzeczka, która nas wczoraj wybawiła od udręczeń pragnienia, płynie ku południowi. Otóż ona wpada do Siniuchy i stąd niedaleko powinny być dwa stawy, a za niemi takie same inne rzeczki.

— Ciekawym, skąd ty to wiesz! byłeś tu kiedy?

— Nie byłem, ale przez ciekawość przysłuchiwałem

się opowiadaniom Złotareńki, który do tych stawów jeździł z innymi mieszczanami humańskimi na połów ryb, a potem z czumakami puszczał się, wioząc suszone ryby na Sicz i dalej jeszcze. Ale szkoda czasu na gawędy, dalej w drogę! Teraz trzeba uważać, żeby słońce było ciągle za nami.

Przed wyruszeniem jednak Jurek, mając na uwadze wzrastający upał, zaproponował, ażeby zdobyte na hajdamakach świtki, które swemi krwawemi plamami wstręt w nim budziły, zrzucić z siebie i zostawić tutaj na mogile, razem z bronią, t. j. widłami i szczęką końską, które tylko ciężą, a żadnego pożytku teraz przynieść nie mogą. Bolek jednak po krótkim namyśle nie zgodził się na to.

— Nie! — rzekł — jeżeli dojdziemy do stawów, o których ci już mówiłem, możemy tam spotkać się z kozakami, lub z czumakami, którzy zapewne wiedzą już o tem, co się działo w Humaniu. Lepiej więc będzie, gdy zachowamy postać hajdamaków.

— A gdy nas się spytają, skądeśmy się tu wzięli?

— Odpowiemy, że ścigając uchodzących Lachów, pobłądziliśmy w stepie.

— Hm! ty masz na wszystko odpowiedź. Ha! rób, jak chcesz, przyrzekłem, że będę ciebie słuchać.

Ruszyli więc w drogę, kierując się ciągle na zachód, brodząc wśród wybujałych wysoko traw, płosząc przepiórki i jaszczurki wygrzewające się na słońcu, wsłuchując się w żałośliwe krzyki żórawi lub gęsi, w ćwierkanie koników polnych. Powoli dzień robił się skwarny i słońce przypiekało mocno; trawy pod tym żarem więdły, pochylając swe kiście, rozpalone powietrze migotało srebrzyście, a niezliczone ilości dokuczliwych much i muszek dręczyły zmęczonych wędrowców, zwłaszcza Jurka, który się pocił niemiłosiernie. Szedł on coraz wolniej, bo go głód ściskał mocno, stękał, wzdychał, ale głośno nie śmiał narzekać,

bo się wstydził Bolka, którego słowa, wypowiedziane dziś rano, utkwiły mu w pamięci. Parę razy tylko prosił, ażeby się zatrzymać i odpocząć nieco, na co się Bolek chętnie zgadzał, acz odpoczynek ten bez cienia, pod skwarem słonecznym, męczył tylko i obezwładniał więcej.

Wlekli się więc dalej, lecz i Bolek, który był cienki i szczupły, stąd żar słoneczny mniej go wyczerpywał, czuł jednak, że z powodu głodu coraz bardziej słabnie. Przytem pragnienie zaczęło ich dręczyć, a tu nigdzie wody, nigdzie cienia, słońce na bezchmurnem, czystem, jak łza, niebie, niby rozpalona kula toczyło się wolno i oblewało biednych wędrowców swemi promieniami.

Coraz czarniejsze myśli opanowywały Bolka, coraz większe zwątpienie ogarniało jego, dotąd mężną duszę. Co chwila wspinał się na palcach, żeby rzucić wzrokiem ponad falujące morze traw i bodjaków, i ciągle nic nie dostrzegał, coby świadczyło, że albo woda, albo człowiek znajduje się gdzieś w pobliżu.

Nakoniec Jurek, wyczerpany, potknął się o jakiś kamień i upadł.

— Nie! nie mogę — zawołał — nie pójdę już dalej, niech się, co chce, dzieje. Nie mam sił i wolę już zamrzeć tutaj, niż tak się męczyć.

Bolek z rozpaczą w duszy spojrzał na swego towarzysza w milczeniu, potem podniósł głowę i patrzył w niebo, jakgdyby wzywał stamtąd pomocy. Wtem zdało mu się, że gdzieś przed nim wzbija się w górę coś, niby mgła szara, niby dym.

— Jeżeli to dym — pomyślał — to i ludzie gdzieś niedaleko być muszą!

Nie odrazu jednak uwiadomił o tem Jurka, nie chcąc w nim budzić może złudnej nadziei. Spiął się na palcach, a dostrzegłszy w pobliżu lekkie wzniesienie gruntu, pobiegł tam i spojrzał przed siebie.

— Tak! — szepnął, przejęty niezmierną radością — to dym, a nawet widać wierzchołki drzew. Z pewnością stawy są niedaleko.

Pełen otuchy i nowej energji, poskoczył do jęczącego i wciąż leżącego na ziemi towarzysza i zawołał:

— Wstawaj, Jurek, stawy są już blisko!

Jurek zerwał się i usiadł, a w jego oczach zajaśniał blask nadziei, na ustach, spalonych gorączką, ukazał się uśmiech.

— Co mówisz? czy się nie łudzisz czasem?

— Nie! dym nawet widać i drzewa. A skoro są drzewa, to i woda być musi.

— Dym? skądżeby tu dym?

— Muszą tam być jacyś ludzie, którzy ogień palą.

W jednej chwili Jurek był gotów do drogi i zawołał z energją w głosie:

— Chodźmy!

Bolek poprowadził go na wzgórze i ukazał mu kolumnę dymu, bijącego słupem prostym w górę, oraz wierzchołki drzew, wystających ponad trawą. Jurek popatrzył i znów zawołał:

— Śpieszmy więc! śpieszmy!

I puścił się naprzód w kierunku widzianego dymu, że ledwie Bolek mógł za nim nadążyć. Nie zastanawiali się nad tem, że człowiek w tych pustynnych stepach mógł być równie niebezpieczny, jak hajdamacy w Humaniu, ale biegli naprzód, bo czuli, że od tego zawisło ich życie. Niech się, co chce, stanie, byle mogli ugasić pragnienie, zaspokoić głód i spocząć na chwilę pod cieniem drzew. W miarę zbliżania się, coraz wyraźniej widać było dym, kłębiący się w górę, wiatr widocznie od dużej wody przynosił jakąś orzeźwiającą świeżość, wierzchołki drzew coraz lepiej się wysuwały.



Niebawem dało się słyszeć zawzięte szczekanie psów i już teraz obaj chłopcy byli pewni, że mają przed sobą jakieś siedlisko ludzkie. Grunt stawał się wilgotniejszy, bujne, twarde, stepowe trawy rzedniały i malały, a ziemia tu i owdzie pokryta była zieloną murawą, by wkrótce zmienić się w przepyszną łąkę, wabiącą świeżością.

Szczekanie psów wzmagało się i w chwili, gdy nasi wędrowcy wysunęli się na łąkę, dwa ogromne, kudłate jak niedźwiedzie, podobne do wilków brytany z głośnem ujadaniem rzuciły się naprzód.

Chłopcy zatrzymali się na miejscu i spojrzeli dokoła. Przed nimi roztaczała się srebrzysta fala dużego stawu, na pół zarosłego trzciną i sitowiem, napół czysta i gładka, błękitna od błękitnego nieba. Nad stawem rosło kilkanaście dębów i wierzb rosochatych, oraz mnóstwo krzaków olszyny.

Pod temi dębami sterczała dość duża buda, sklecona z gałęzi, trawy stepowej i gliny, a przed nią gorzało wielkie ognisko, wydające z siebie masę dymu. Nad ogniskiem, przymocowany do dwóch poprzecznych patyków, wisiał kociołek żelazny, w którym się jakaś strawa warzyła. Nieopodal rozpięta na kołkach suszyła się duża sieć, leżały wędki, podrywki i t. p. narzędzia rybackie. Cuchnąca woń zepsutych ryb unosiła się dokoła.

Na odgłos zawziętego ujadania psów z budy wysunęła się dziwaczna postać. Był to człowiek ogromnego wzrostu, zarosły, jak dziki, w kapeluszu słomianym na skołtunowanej głowie, w koszuli dziegciem nasyconej i czarnej, jak ziemia, boso, przepięty pasem rzemiennym, u którego wisiał kapciuch, krzesiwo i hubka. Wyszedł, dzierżąc w ręku starożytnego kształtu flintę, o długiej lufie, i, przyłożywszy od słońca dłoń do oczów, patrzył wzrokiem przykrytym krzaczastemi brwiami, na nieznanych sobie gości.

— Batku! — zawołał po rusku Bolek — zawołajcie psów, bo nas rozszarpią.

Chłop głosem grubym, chrapliwym huknął na psy, które posłuszne przybiegły mu do nóg, ale warczały ciągle, i zwracając się do chłopców, zapytał:

— A wy co za jedni?

— Podróżni.

Chłop patrzył na widły, na szczękę końską, na świtki i spytał:

— Czego chcecie?

— Batku! — mówił Bolek — pozwól nam napić się wody i posil nas czemkolwiek, bo umieramy z głodu i pragnienia.

— Hm! — mruknął chłop — albo to w stepie, latem umiera kto z głodu i pragnienia? Wy Lachy?

— Lachy — odezwał się niespodziewanie Jurek.

— A co to za broń nosicie i na co wam ona?

— Wzięliśmy ją, żeby się bronić, gdyby nas hajdamaki napadli.

— Et, co wam się zdaje, że się obronicie, gdy was napadną. Co zrobicie przeciw trzem, czterem? No, połóżcie — no te widły i tę szczękę końską i chodźcie tutaj. Lachy! Lachy! a skąd tu Lachy się wzięły?

Ostatnie zdanie wyrzekł pół głośno, raczej do siebie, niż do młodych wędrowców.

ROZDZIAŁ VIII

W którym Jurek oświadcza, że wszystkie nieszczęścia go prześladują.

Bolek był mocno niezadowolony z Jurka, że się niepotrzebnie wyrwał i przyznał się do pochodzenia polskiego, co w tym czasie i w tych okolicach nie było bezpiecznem, dlatego też idąc ku budzie, szepnął:

— Najlepiej zrobisz, gdy będziesz milczał. Zostaw mnie z nim rozmowę.

Ale na szczęście nie wywołało to żadnych złych następstw. Okazało się bowiem, że te stawy i rybołówstwo w nich, oraz potężny kawał stepu należał do imcipana Adama Mieleszki, wojskiego bracławskiego, który o parę mil stąd mieszkał samotnie w swym futorze, a człowiek, z którym się wędrowcy spotkali, był jego sługą i stawów pilnował.

— Wy może chcecie iść do jasnego pana Mieleszki? — pytał chłop — to niedaleko, będzie ze dwie mile. On tam sam siedzi, bo jest samowity i na ludzi patrzeć nie chce. Ale skąd wy wzięli się w stepie? bo to u was i białe liczka i ręce białe, jak u paniczów.

— Pobłądziliśmy.

— Taj ja to widzę, co wy pobłądzili. Ale czemu wy w świtki chłopskie się przybrali i widły też macie, jak Tatarzy albo hajdamaki? A może wy hajdamaki, bo ja słyszał, co wedle Humania i Śmiły chłopy reżą szlachtę i panów. Może wy przed nimi uciekli? co? Tam mołojcy wsich Lachiw wyrezały.

Chłop, siedząc wśród głuchego stepu, rad był widokowi ludzi i gadał ciągle, jakby sobie chciał wynagrodzić długie dni milczenia. Na Bolka i Jurka spoglądał podejrzliwie i wypytywał się ostrożnie, kołując zdaleka.

Bolek niebardzo chciał się przed nim spowiadać, bo nie wiedział, co on za jeden i czy czasem jakich konszachtów nie ma z rezuniami, dlatego przerwał tę indagację, mówiąc:

— Przedewszystkiem, batku, dajcie nam jeść i pić, bośmy od wczoraj nic w ustach nie mieli i zmęczeni jesteśmy bardzo.

— Taj u mnie niebardzo jest co jeść. Ot w saganku warzą się krupy, ale jeszcze nie gotowe. Mam trochę ryby suszonej i sucharów. Chcecie, to wam dam, bo to i chrześcijańską jest rzeczą głodnego nakarmić.

Wyrzekł to po polsku i skrzywił się, ukazując szereg zdrowych zębów, co miało oznaczać uśmiech.

— Dajcie, ojcze, co macie — odparł Bolek także po polsku.

— Mnie Matwiej na imię — mruknął i poszedł do budy.

Jakkolwiek miał wygląd dziki, zarosły był jak niedźwiedź i oczy z pod krzaczastych brwi groźnie spoglądały, jednakże Bolek dostrzegł w nich pewien wyraz sympatyczny i nabył przekonania, że ten Matwiej w gruncie rzeczy musi być dobrym człowiekiem.

Jakoż niedługo wysunął się z budy, niosąc dużą

romkę czarnego chleba i kilka ryb uwędzonych, oraz dzban czystej wody. Położył to wszystko na ławie obok budy i rzekł:

— Woda w stawie jest niedobra, ale tu w dzbanie jest ze źródła, które tam oto płynie.

Wskazał ręką i dodał:

— A teraz jedzcie i pijcie.

Usiadł w pobliżu na wielkim głazie, który niewiadomo skąd się wziął w tym głuchym stepie, oparł się brodą na ręku i patrzył na chłopców, którzy pałaszowali skromny pokarm. Siedział, czasem rzucał okiem na sagan nad ogniskiem, który poprawiał długim kijem i gadał:

— Widzę, co wy dobrze głodni byli. A dawno nie jedli?

— Od wczoraj wieczór — odrzekł Bolek.

— No to niedawno. Ja, bywało, nieraz po dwa i trzy dni nic nie jadł i nie pił, a taki żyję. Człowiek wszystko zdzierżyć może. Tak już Pan Bóg dał i dobrze dał. A co, dobra woda? Oj dobra ona, i to jest najmocniejszy na całym świecie napitek, tamy rwie, domy obala, korabie topi. Tak! tak!

Umilkł, pogładził swą siwą, mocno skołtunowaną brodę, posunął ożogiem nieco badyli na ognisku i znowu gadał:

— To wy od Humania?

— Nie doczekawszy się odpowiedzi, bo Bolek udał, że jej nie słyszy i niby wyłącznie zajęty był obgryzaniem ryby, Jurek zaś, zgromiony przez towarzysza, postanowił sobie nawet słówka nie pisnąć, prawił dalej:

— Tak, ja słyszał, co tam kole Humania mołojcy riżut panów i żydów! A niech sobie riżut! co ja na to poradzę? Tylko ja sobie tak dumaju, co one, te mołojcy, są strasznie durne. Oni dzisiaj riżut i hulajut, co ne daj Boh, a jutro przyjdzie pan Potocki, albo pan Lubomirski,

albo inny pan z wielkiem wojskiem i prykazem od korola i co będzie wtedy? Oj durne! durne! Będą ich brali, ręce, nogi i łby ucinali, na szubienicach wieszali, na pale wbijali i ot im wesele i reźnia! Ja to już nie raz i nie dwa razy widział, bo ja już bardzo stary, mam może sto lat, albo i więcej. Gdzie mnie to znać, ile ja mam lat? Żyję, taj żyję, aż pomrę! Prawda, harne panycze?

Jurek, który już zdołał połknąć połowę czarnego chleba, twardego jak kamień, ale który w jego ostrych zębach tylko trzeszczał, i ze trzy ryby, przyczem ze dzbanka wypił prawie wszystką wodę i czuł się znacznie lepiej, odrazu odzyskał dobry humor, rzekł więc:

— Prawda, co niema być prawda. Wiadomo, że każdy umrzeć musi.

— Wiadomo, wiadomo! — mruknął stary — to i jest co wiadomo, a no nie każdy o tem myśli i zastanawia się nad tem. Ja sobie tu siedzę w stepie jako palec sam jeden i jeno z pieskami czasem pogadam, a czasem to czumaki zajadą i z nimi też pogadam, a czasem to i niema z kim gadać, więc siedzę i słucham jak wiatr płacze w stepie i dumaju, o! dumaju o wszystkiem, o gwiazdach, ziemi i trawkach, o tem, co ja widział i co słyszał w życiu. A ja dużo widział i dużo słyszał. Ja jeszcze pominaju jak Tatarzy chodzili na Ukrainę, a teraz nie chodzą, bo, słyszę, imperatorowa, carowa prykazała ich przydusić i całkiem ich zawojowała. Teraz można w stepie siedzieć jak u Pana Boga za piecem i jeno wilków się bać. Ale ja się ta wilków nie boję, bo mam dwa pieski, które i z wilkiem się wezmą za kudły i wilka zawdy stłamszą.

— Co to znaczy „stłamszą?" — spytał Bolek.

— A? panycz nie ponimajet? Hi! hi! hi! to niby znaczy, że zaduszą. To nie po tutejszemu, ale ja też nie tutejszy. Ja Mazur, pod Łomżą się rodził, ale siedzę tu w stepie już będzie czterdzieści roków i ze mnie Macieja zrobili

tu Matwieja, i ja zapomniał już mowy mazurskiej, jeno czasem to mi się przypomni. Hej! hej! gdzie ja, a gdzie Łomża!

Zamyślił się znowu i grzebał ożogiem w ognisku i mruczał coś do siebie, a potem nagle podniósł głowę i spytał:

— A co? najedli się?

— Trochę — odrzekł Jurek — przydałoby się więcej.

Stary wstał, zajrzał do sagana, zamieszał w nim czysto ostruganym kołkiem i rzekł:

— Zara będzie warza, to se panycze podjedzą.

Usiadł na kamieniu i mówił:

— A co? do pana Mieleszki pójdą? To niedaleko, hen tam za górką i za stawem. Jeho futor nazywajut Czernoje bołoto; hi! hi! hi! kiej tam niema nijakiego bołota. Ot! durne ludi i po wszystkiem.

Węstchnął, wyjął z zanadrza fajeczkę na krótkim cybuszku, napełnił ją z kapciucha skórzanego tytoniem, wziął w palce węgiel rozżarzony z ogniska i począł głośno pykać, puszczając kłęby dość nieprzyjemnie pachnącego dymu, przyczem mówił:

— Pan Mieleszko! Adam mu na imię. Dobryj pan, ale samowity. Nijakich ludi nie lubit, tylko sam siedzi, jak wilk pod borem. „A na co mnie ludi? — gada — mnie nie trzeba ludi, ludi tylko nieszczęście przynoszą. — Ha! może to i prawda. Co mnie i panu Mieleszce po ludziach? Albo to step nie gada i nie gra po nocach? I jak gra! Spasi hospodi ludi twoi!

Przeżegnał się trzema palcami po błahoczestiwemu, splunął potem i gadał:

— Jasny pan Mieleszko, dobry pan. Albo my to nie chodzili z nim na hajdamaków? Nie raz chodzili! Bywało weźmiem ich pięciu, dziesięciu i zara pan Mieleszko kryczyt: wieszać tych zbójów rezuniów. Ha! to my ich powiesili, a pan Mieleszko gada: to majete za

moju żinku i za moi detyny! — bo rezunie jemu, dawno już temu, może będzie dziesięć, może dwadzieścia roków, zarznęli żonkę i detyny. To on tak płatyt rezuniom.

Tak prawił stary Matwiej, napół po polsku, napół po rusku, a z tej mowy Bolek przekonał się, że ma przed sobą nie hajdamakę, ale poczciwego człowieka, wprawdzie zdziwaczałego wśród samotności stepowej. Niemniej pocieszającą była wiadomość, że gdzieś niedaleko stąd „za górką i za stawem“, jak mówił Matwiej, mieszka jakiś pan Mieleszko na swym futorze, wprawdzie „samowity“, co znaczy niespełna zmysłów, ale zawsze Polak i szlachcic, który bił i wieszał hajdamaków, a zatem sam nie hajdamaka i ich nieprzyjaciel.

Do tego pana Mieleszki postanowił Bolek się udać i jego pomocy zażądać w odszukaniu matki, o której wprawdzie nic nie mówił, ale zato ciągle o niej myślał i dręczył się mocno. Tymczasem uspokojony co do teraźniejszości siedział na ławie i słuchał gawędzenia Matwieja, któremu usta się nie zamykały, plótł trzy po trzy, a choć jedno drugiego się nie trzymało, zawsze przedstawiało pewien interes.

Jurek zato, najadłszy się suszonych ryb i chleba, ugasiwszy pragnienie czystą, kryniczną wodą, poszedł pod krzak olszyny i, ułożywszy się na miękkiej trawie w cieniu, słodko odpoczywał, a nawet powoli, sam nie wiedział kiedy, zasnął. Niski, chrapliwy, jednostajny ton mowy starego Matwieja kołysał Jurka do snu wybornie. Step skwarzył się w żarze południowego słońca, przepiórki ćwierkały w burzanach, tysiące muszek brzęczało nieustannie, a poza tem wielka cisza leżała na tej ogromnej, płaskiej roztoczy stepowej.

Wśród tego wszystkiego warza, jak mówił z mazurska Matwiej, ugotowała się zupełnie. Podniósł się on ze swego kamienia, starannie wytrząsnął z fajki popiół, prze-

dmuchnął ją i schował za pazuchę, poczem krokiem wolnym, ciężkim powlókł się do budy, coś tam w niej grzebał, nakoniec ukazał się, niosąc dużą miskę glinianą i trzy łyżki drewniane, oraz duży bochen chleba razowego. Z ognia zdjął żelazny sagan i warzę z niego wylał na miskę. Była to kasza gryczana, ugotowana na wodzie, w której dość rzadko pływały kawałki mocno pachnącej sperki.

— No — mówił — warza już gotowa. Siadajte, panycze, i jedzcie, co Bóg dał. Czem chata bogata, tem rada.

Jurek, który leżał pod drzewem i, jak się zdawało, spał, teraz, może zbudzony mocną wonią słoniny, zerwał się i przysiadł skwapliwie do miski. Matwiej zaś kozikiem, przywiązanym do pasa na rzemyku, ukrajał trzy kromki chleba, dał po jednej chłopcom, poczem przeżegnał się trzema palcami i zabrał się do jedzenia. Jedli w milczeniu, bo Matwiej mazurskim obyczajem tak poważnej i uroczystej czynności, jak jedzenie, nie śmiał zakłócać próżną gawędą i nie zamącał jej też wcale. Krupy znikały piorunem, trzy szczęki pracowały zawzięcie i niebawem ukazało się dno miski. Matwiej wstał, usta obtarł rękawem kubraka, zwrócił się twarzą ku wschodowi, trzykrotnie się przeżegnał i trzy pokłony uczynił, widocznie bowiem oderwany od wczesnej młodości od swej ziemi rodzinnej, zapomniał swej wiary i nieświadomie przyjął miejscowy obyczaj religijny.

Bolek pięknie mu podziękował za posiłek, poczem rzekł do Jurka:

— No Juraś, zabierajmy się! Trzeba nam do pana Mieleszki jeszcze przed nocą się dostać. Matwiej nam drogę pokaże.

— Na co tu pokazywać? prosto jak strzelił!

— Możemy znowu pobłądzić.

— Ha! i to wasza prawda. Stepu nie znajetie,

a w stepie diw czasem chadza i ludi wodyt... Nu, czemu nie! pokażę drogę.

To mówiąc, spojrzał na słońce i rzekł:

— Tak i czas w drogę!

Ale Jurek się temu oparł.

— Poco my mamy zaraz dziś chodzić? Czy to nie lepiej odpocząć sobie, a jutro świtaniem wyruszyć? W drodze może nas noc schwycić i znowu pobłądzimy. Niebezpieczeństwo nam tutaj nie grozi, nic nas nie nagli, zmęczeni jesteśmy bardzo i widzi mi się, że najlepiej będzie przenocować, a rankiem jutro wyruszyć. Pan Matwiej nas przecie nie wypędzi, co?

— Jakże jaby mógł wypędzić? Gość w dom, Boh w dom, jak toj gadaw. Spać chcecie, ot w budie jest miejsce i siano jest.

Bolek zrazu nie chciał się na to zgodzić, mówił, że jemu o to idzie, by jak najprędzej dostać się do Sokołówki i dowiedzieć się, co się z jego mamą dzieje, że do tego dopomóc mu może pan Mieleszko, o którym tyle ciekawych rzeczy właśnie co naopowiadał im Matwiej! Na to mu Juraś odrzekł:

— Wiem ja to dobrze, żeś ty mądrzejszy ode mnie, ale widzisz, Bolek... ja nie mogę zrozumieć, czego się ty tak napierasz do Sokołówki. Przecie tam twojej mamy z pewnością niema.

— Kto to wie?

— Miałaby siedzieć i czekać na hajdamaków aż przyjdą? Zresztą czy nie mówił Nieżywy, że wyjechała do Lisianki?

Bolek nic na to nie odrzekł, bo nie było co mówić, zwłaszcza, że wdał się w to stary Matwiej, który od niejakiego czasu, paląc fajeczkę, przypatrywał się bacznie niebu i rzekł:

— At panycz dobre radi. Ostańcie na nockę u starego Matwieja, bo niedługo będzie burza. Widzita te tucze?

W rzeczy samej od zachodu podnosiła się powoli jakaś szara, mętna mgła, która wolno ale ciągle rosła i przesłoniła niepokalaną dotąd czystość błękitu. Słońce, które już chyliło się ku zachodowi, za tą mgłą poczęło przybierać ponurą, miedzianą barwę; od czasu do czasu zrywał się nagły wiatr, zakręcił się po stepie, wstrząsł burzanami i liśćmi na drzewach i zniknął.

Zaraz potem zapadała taka cisza, że najmniejsza trawka nie zadrgnęła, żaden listek nie zachwiał się; zdawało się, że bajeczna czarownica sen-ziele rozrzuciła po stepie. Powietrze stało się parne, zduszone i Jurek, który ciągle leżał nieruchomy, pocił się jednak mocno. Żórawie i dzikie ptactwo, gnieżdżące się po szuwarach na stawie, z niepokojem i krzykiem zrywało się, a gromady jaskółek unosiły się tuż nad wodą, która leżała martwa, niby tafla lustrzana i najmniejszą zmarszczką nie zdradzała życia. Gdzieś w głębi horyzontu coś się kotłowało i kipiało; słychać było głuche, dalekie pomruki; niszczące siły natury zbiegały się na umówioną schadzkę, a wszystkie te oznaki zapowiadały, że lada chwila zerwie się na stepie jedna z tych burz szalonych, które na gładkiej powierzchni płaszczyzny nie napotykają żadnego oporu, hulając z wściekłością niczem niepohamowaną.

Stary Matwiej patrzył na to, a potem chwycił dzban z wodą i zalał gorejące ognisko, a zapytany przez Bolka dlaczego to czyni, odrzekł:

— Wiater porwie głownię i rzuci na suchą trawę i step, ne daj Boh, zagoreje, a wtedy co będzie?

I gasił starannie ognisko, mrucząc:

— Budet buria! budet!

Wobec tego wszystkiego Bolek ostatecznie zdecy-

dował się przenocować u Matwieja, boć, oczywiście, w taki czas niebezpiecznie było puszczać się w drogę.

I dobrze zrobił. Z poza owej szarej mgły, otulającej sobą zachodnią część nieba, nagle wypłynęła czarna, jak smoła, chmura i wnet zakryła słońce, którego promienie okrasiły jej brzegi ponurym, krwawym blaskiem, co przygnębiające czyniło wrażenie. Zaraz też panująca dotąd martwa cisza zakłóconą została zrazu lekkim wiatrem, który powiał po stepie, zaszeleścił między burzanami, zmarszczył drzemiące wody stawu i nagle zmienił się w szalony wicher. W jednej chwili szamotać począł drzewami, które aż jękły żałośliwie, ugiął wszystkie trawy na stepie i zawył, jak stado zgłodniałych wilków. Z budy zerwał garść zeschłych badyli, zakręcił niemi w powietrzu i poniósł gdzieś daleko; w innem miejscu, jakby się bawił, uchwycił trochę piasku z brzegu stawu i w wirujący wprawił go taniec.

Jednocześnie grzmieć poczęło, błyskawice gzygzakami pruły ową czarną chmurę, która rosła z szaloną szybkością i pół nieba sobą pokryła; huknął piorun jeden i drugi, rozlegając się po szerokim stepie, i rzęsisty deszcz lunął z szumem, trzaskiem i świstem przeraźliwym.

— Uciekajmy do budy! — krzyknął Juraś, dotąd spoczywający pod drzewem. I jednym skokiem wsunął się do niej.

Za jego przykładem poszedł i Bolek, nie chcąc zmoknąć, choć rad był patrzeć na wspaniałe i groźne zjawisko burzy stepowej, ale Jurek krzyczał z szałasu na niego, by się śpieszył.

— Czy nie słyszysz, jak pioruny biją? — wołał. Sam schronił się w najgłębszy kąt budy, zagrzebał się w sianie i przerażony jęczał, a za każdym razem, ilekroć jasna błyskawica rozświetliła ciemne wnętrze szałasu, szeptał:

— A słowo stało się ciałem i mieszkało między nami!

Jeden tylko Matwiej został na dworze, za każdym hukiem piorunu żegnał się dwoma palcami, bił pokłony i mruczał:

— Spasi Hospody ludi twoi!

Wreszcie wlazł do budy, siadł u jej wejścia i usłyszawszy jękliwą modlitwę Jurka, gadał:

— Taj wszystko jest w ręku Boskiem, ja się jeno boję, żeby wicher nie obalił mi budy.

— A czy się to może stać?

— Wszystko jest w ręku Boskiem — powtórzył — buda jest słaba a wicher mocny.

W rzeczy samej szałas się chwiał i trzeszczał, co Jurka w większy jeszcze postrach wprawiło; wołał więc coraz:

— Dla Boga, Matwieju, buda się wali!

— Jeszcze się nie wali, ale zwalić się może — odpowiadał tenże — taj i co? czy to ja nowej nie wystawię? Moja buda to nie pałac pana Potockiego w Tulczynie, biedy nie będzie...

Mówił jeszcze coś, ale słowa jego zagłuszył wstrząsający huk piorunów i szum ulewy, wzmagającej się co chwila. Jurek napół nieprzytomny ze strachu wkopał się głębiej w siano, jęcząc ciągle, aż go Bolek musiał napominać. Ale buda wytrzymała, bo widocznie była dość mocno zbudowana, a jej dach przyciśnięty był kamieniami, które zwycięski opór stawiły wichrowi. Zresztą burza niedługo trwała i niebawem ustawać zaczęła. Gromy cichły, oddalały się, tylko deszcz lał ciągle i wiatr, acz znacznie mniejszy, świszczał wśród trzcin, na trawie i w burzanach na stepie. Po skwarnym dniu zrobiło się chłodniej i przyjemniej, co orzeźwiło wszystkich, a szczególnie Jurka. Poczuwszy chłód, wylazł on z budy i ode-

tchnął pełną piersią. Odzyskał też zaraz dobry humor i odwagę.

— A co, czy nie dobrze radziłem, żeby nie iść na noc do tego pana Mieleszki, pięknie byśmy wyglądali gdzieś w stepie lub w jakim jarze! Ale my w tej naszej ucieczce z Humania wszystkiego użyjemy dowoli: i głodu i pragnienia i skwaru i zimna!

Bolek nic na to nie odpowiadał, milcząco przyznawał słuszność towarzyszowi.

Jednak deszcz nie ustawał, ale padał całą noc, i wędrowcy przepędzili ją w budzie, na sianie, w cieple i wygodzie, jakiej od kilku dni nie zaznali. Jurek wyspał się za wszystkie czasy, za nieprzyjemne noce na bagnach i na mogile.

ROZDZIAŁ IX.

Jako Bolek i Jurek nazwani zostali hajdamakami.

Po nocy burzliwej i dżdżystej rozwidnił się prześliczny, wiosenny poranek. Jeszcze przed świtem deszcz ustał i chmury popłynęły gdzieś daleko, a niebo nad stepem zajaśniało niepokalanym błękitem. Słońce weszło wspaniale i przeglądało się w obfitych kroplach dżdżu, drżących na trawach, burzanach i liściach drzew. Jakaś zdrowa, rzeźwa świeżość szła od stepu, który brzmiał tysiącem odgłosów budzącego się i radosnego życia. Obaj chłopcy, wyszedłszy z dusznej budy, z rozkoszą oddychali tem powietrzem czystem, upajali się wonią stepu, wsłuchiwali się w jego rozgwar niemilknący nigdy.

Stary Matwiej, wydobywszy z głębi budy garść suchych badyli i gałęzi, rozpalał ognisko i klęcząc na piasku, dmuchał zawzięcie, by ogień rozgorzał, podnosząc się zaś od czasu do czasu, spoglądał na chłopców i mówił:

— Uwarzę znów kaszy, panycze zjecie i potem w drogę, żeby przed skwarem dostać się do futoru jasnego pana Mieleszki. Wyprowadzę was za staw, a potem to już ścieżka jak strzelił, sami traficie.

Bolek wolałby nie czekać na śniadanie, zwłaszcza, że ogień nie chciał się rozpalić i wobec tego kasza nieprędko obiecywała się uwarzyć, ale Jurek tęskliwem okiem spoglądał na saganek i mruczał swoje:

— Jeść mi się tak chce, żebym konia z kopytami połknął.

Nie chcąc narażać Jurka na cierpienia głodu, Bolek postanowił czekać na ową kaszę, a tymczasem przechadzał się ponad stawem, umył się w jego wodzie, przyglądał się niezliczonej ilości kaczek i kurek dzikich, których gwar i krzyki rozlegały się wokoło. Gęste sitowie, obrastające staw, co minuta wyrzucało z siebie gromady tego ptactwa, które biegnąc przez chwilę niskim lotem, zapadało gdzieś dalej w tatarak i trzcinę. Bujne życie wrzało, kipiało tu wszędzie nad gładką powierzchnią obszernego stawu.

Tymczasem kasza się ugotowała i Jurek zawołał Bolka na śniadanie. Gdy je chłopcy spożyli, Matwiej wstał, obtarł ręką usta, przeżegnał się trzykrotnie i trzy pokłony zrobił, a potem rzekł:

— Komu w drogę, temu czas, jak tot gadan.

Wyruszono więc pod jego przewodnictwem dokoła stawu, który okrążyć należało, żeby wydobyć się na ścieżkę, prowadzącą do futoru pana Mieleszki. Idąc, Matwiej nic nie mówił, tylko głosem ochrypłym, ni stąd ni zowąd począł śpiewać:

„Ta piliż pili kozaczeńki, ta wże i napilisia
Osidłali konyczeńkiw, taj w step podalisia...“

Przy jego starym, dygoczącym głosie, pieśń ta o smutnej, żałośliwej nucie dziwnie przykre robiła wrażenie. Nie umiał jej całej, a może zapomniał, bo ciągle powtarzał jedną i tę samą zwrotkę.

Szli koło stawu, przepełnionego gwarem ptactwa wodnego, po ziemi rozmokłej od wczorajszej burzy i desz-

czu nocnego, a stary Matwiej, ciężki, wiązgł w błocie w swych postołach z lipowego łyka. Nakoniec okrążyli staw i wydobywszy się z gęstego sitowia, nagle znaleźli się na dość szerokim gościńcu, czarnym jak smoła, na którym znać było koleje wozów, teraz napełnione wodą i liczne ślady kopyt zwierzęcych i bosych nóg ludzkich, ale widocznie dość dawnych, bo w wielu miejscach deszcz je spłukał.

— A któż tu jechał? — spytał Bolek, trochę zaniepokojony.

— Taj chto? zwisno chto — odrzekł po rusku Matwiej — toż czumaki z rybą jechali tędy.

Szedł z chłopcami jeszcze jakiś czas gościńcem, mroczny jakiś i milczący, wreszcie zatrzymał się i wyciągając swą pomarszczoną, grubą, opaloną słońcem rękę, rzekł po polsku:

— Dalej ja nie pójdę, bo i poco? Tym gościńcem idźta, panycze, prosto, prosto, aż napotkacie steczkę na prawo. Tą steczką dojdziecie do futoru jasnego pana Mieleszki. Pokłońcie się jemu od starego Matwieja. Nu, z Bohom! szczęśliwej drogi!

Zdjął z głowy wyszarzaną czapę, pokłonił się nisko raz i drugi, przeżegnał się trzykrotnie dwoma palcami i zawrócił, mrucząc coś niechętnie pod nosem.

Bolek pobiegł za nim, by się pożegnać i podziękować mu serdecznie za gościnę i za pomoc, jaką ten z pozoru zdziczały, a w gruncie rzeczy poczciwy człowiek im podał. Bo przecież gdyby szczęśliwym wypadkiem nie byli natrafili na jego budę, to wobec znużenia, głodu i pragnienia, jakie ich męczyło, czekałby ich straszny koniec w tej pustyni stepowej, a niby tak pełnej życia. Gdyby wreszcie byli w budzie nad stawem nie spotkali zacnego Matwieja, tylko jakiego hajdamakę, to kto wie jakby byli przyjęci i jakby się z nimi obszedł. Wszak byli

wyczerpani, głodni, zmęczeni i bezbronni. Było więc za co dziękować poczciwemu Matwiejowi.

Dogoniwszy szybko starego samotnika, chwycił go za rękę i powiedział:

— Mój Matwieju, chcę wam podziękować za to wszystko, coście dla nas zrobili, nim się rozstaniemy, może na zawsze.

Matwiej stanął, spojrzał z pod oka na Bolka i mruknął:

— To pewna, że na zawsze, chociaż, jak ten gadan, góra z górą się nie zejdzie, ale czełowik z czełowikiem może. Ne uwidymsa! ono to i tak. Ja mam więcej jak sto lat, nażył ja się dosyć. Pomrę niedługo — z Bohom, panyczu, z Bohom!

Nacisnął czapę na głowę i posunął się parę kroków naprzód. Ale Bolek jeszcze raz go zatrzymał i począł mu gorąco dziękować.

— Za co tu dziękować? — mówił z niechęcią Matwiej, wyrywając rękę — gość w dom, Bóg w dom. A i mnie było miło, żem miał z kim pogadać. Nieraz to i całe miesiące nie widzę czełowika, jeno ze stepem i mojemi pieskami gadam. Idźcie już, idźcie, bo słońce pali jak z gorącego pieca! Z Bohom!

I tym razem już się zatrzymać nie dał, ale przyśpieszywszy kroku, zanurzył się w sitowie i znikł z oczu Bolka. Tylko jeszcze jakiś czas było słychać wesołe naszczekiwanie psów witających powracającego Matwieja i jego dygoczącą piosnkę o „kozaczeńkach“, co się „napilisia“ i „w step podalisia“.

Bolek smutny zawrócił także, mile zdziwiony obejściem tego samotnika i milcząc ruszył dalej czumacką drogą. Jurek kilkakrotnie próbował zawiązać rozmowę ze swym towarzyszem, ale ten odpowiadał mu monosylabami, więc dał pokój, ile że słońce, wzbijając się coraz wyżej, w rzeczy samej zaczęło mocno dokuczać. Tu na

drodze czumackiej, osłoniętej po obu stronach wysokiemi burzanami, pełnej pomiotu bydlęcego, roiło się od mnóstwa much, które obu podróżnych cięły nielitościwie. Jurek, który z powodu swej tuszy prędko się męczył i pocił, był głównym przedmiotem napaści tych gryzących istot. Narzekał też, stękał i niebawem począł się użalać to na gorąco, to na pragnienie, a nawet znów na głód.

Bolek ruszał na to ramionami.

— Już ci się chce jeść? — mówił.

— A już. Cóż w tem dziwnego?

— Nie jadłeś kaszy, czy co?

— Cóż że jadłem, ale mało, przytem słonina była stara i strasznie woniejąca. Ja nie lubię takiej słoniny.

— Mój Jurku — odrzekł na to Bolek — w naszem położeniu nie można grymasić. Trzeba to jeść, co Pan Bóg dał.

— Ja to wiem, ale trudno, żebym miał mówić, że słonina świeża, kiedy ona ma co najmniej z pięć lat. Przytem kasza była bardzo słona i pić mi się chce, a w tym zaklętym stepie o wodę ciągle trudno. Przypomina mi się, co ksiądz Geografja opowiadał w klasie o pustyni Saharze w kraju murzyńskim. To zupełnie tak samo, jeno tam mają lepiej, bo jadą na wielbłądach, a my od trzech dni piechotą maszerujemy i nogi sobie popodbijałem. Ach żeby już jak najprędzej dostać się do tego pana Mieleszki, bo dłużej nie wytrzymam.

— To z ciebie, Jurek, jęcząca baba. Przecież bądźże mężczyzną! Nie pamiętasz to, jak ksiądz Historja opowiadał nam o dawnych rycerzach, którzy umieli znosić głód i pragnienie, albo o naszym hetmanie Żółkiewskim...

— Pamiętam, co nie mam pamiętać? ale cóż mi z tego dzisiaj przyjdzie?

— Przypomnij sobie — mówił dalej Bolek, zagłębiając się we wspomnienia i nie zważając wcale na uwagi

Jurka — co nam opowiadał Historja o hetmanie Chodkiewiczu, o Czarnieckim, o królu Janie III-im! Cóż my jesteśmy warci, jeżeli trochę głodu lub pragnienia z nóg nas zwala. Dawni rycerze polscy wszystko mężnie znosili i za ojczyznę do ostatniego tchu walczyli.

Słowa te i przykłady, przytaczane przez Bolka z zapałem, nie wpłynęły jednak wcale na Jurka, który szedł utykając i co chwila wzdychał żałośliwie:

— Gdzież nakoniec jest ta steczka, o której nam ten mrukliwy dziad mówił? Idziemy już Bóg wie jak długo, słońce piecze, muchy i komary gryzą, głód dokucza, nogi ustają, a steczki owej nie widać. Ach Boże! kiedy my nakoniec spoczniemy i kiedy najemy się do syta!

Bolek śmiał się z tego narzekania, a szczególnie z ostatniego okrzyku i karcił surowo towarzysza za taką zniewieściałość.

— Widzę, że z ciebie nie będzie nigdy rycerz wytrwały i mężny! Zawsze będziesz piecuchem.

Na szczęście ukazała się po prawej ręce podróżnych owa zapowiedziana przez Matwieja i tęskliwie oczekiwana ścieżka. Była ona wąska, widocznie jedynie przez pieszych uczęszczana, zarosła trawą, co dowodziło, że nie często po niej chodzono. Wiła się zygzakowato śród bujnie rozrosłych traw i burzanów. Jurek bardzo się ucieszył jej widokiem, bo obiecywała mu ona spoczynek i pokarm w futorze pana Mieleszki, zaraz też na nią skręcił i żwawiej po niej posuwać się zaczął.

Ale długo jeszcze musieli iść, słońce już przebiegło swój zenit południowy i poczęło się chylić ku zachodowi, gdy jeszcze przed oczami wędrowców ciągnęła się owa wąska ścieżka wśród traw i burzanów do nieskończoności. Jurek znowu począł narzekać i stękać, a nawet posądzał starego Matwieja, że ich oszukał, że żadnego futoru pana Mieleszki niema na stepie i t. p.

— Cóżby miał w tem — odrzedł Bolek — żeby nas chciał zwieść tak niegodziwie?

— Czy ja wiem? — odparł Jurek — stary to hajdamaka, może nie mogąc nas inaczej zgładzić z tego świata, postanowił nas w tej pustyni głodem zamorzyć.

Bolek śmiał się z tego przypuszczenia, ale udając nazewnątrz pewność siebie, w głębi duszy, zmordowany głodem, znużony śmiertelnie, począł także tracić odwagę. Co chwila wspinał się na palce, chcąc przejrzeć step, ale za każdym razem, jak okiem mógł sięgnąć, nic nie widział prócz kołyszącej się trawy i nieskończonej płaszczyzny pustej, zlewającej się gdzieś w oddali z horyzontem.

Całe szczęście jeszcze, że ich pragnienie nie dręczyło, gdyż parokrotnie napotkali łączki, a na nich dość duże kałuże wody, pozostałe po wczorajszej burzy. Co prawda, woda była ciepła i mętna, ale bądź co bądź gasiła ich pragnienie; zato głód coraz bardziej im dokuczał i była chwila taka, że Bolek zaczął poważnie zastanawiać się nad tem, czyby nie lepiej było zawrócić do stawów, do budy Matwieja i zażądać od niego, by z nimi poszedł i doprowadził ich do futoru pana Mieleszki. Przypuszczał bowiem, że musieli pobłądzić; idą już blisko cały dzień, a śladu człowieka nie widzą. Wszakże porzucił ten zamiar, bo naprzód wątpił, czy byliby w stanie wobec zmęczenia i wyczerpania sił dowlec się dziś do budy starego rybaka, a potem, że przecież ścieżka jest i musi gdzieś prowadzić.

I dobrze zrobił, że nie zawrócił. Szli bowiem może jeszcze z ćwierć godziny, gdy nagle, gdzieś bardzo blisko usłyszeli szczekanie psów i ryk bydła, nawet głosy ludzkie; a gdy weszli na lekkie wzgórze, przez które ścieżka biegła, dostrzegli wysoki słup dymu, bijący w górę, dzięki suchemu i pogodnemu powietrzu. Nie ulegało więc wątpliwości, że nakoniec dobili się do futoru pana Mieleszki. Ale po-

mimo oglądania się na wszystkie strony, spinania się na palcach, samego futoru nigdzie dostrzec nie mogli. Przed nimi, jak okiem sięgnąć, rozścielał się podawnemu step głuchy i płaski, tylko nieco na bok od siebie zauważyli ogromny łan zielonej jeszcze pszenicy. Świadczyło to wraz z dymem, szczekaniem psów i rykiem bydła, że mieszkanie ludzkie jest gdzieś blisko, ale gdzie, tego nie wiedzieli.

Właśnie kiedy się tak nad tem zastanawiali i dziwili, dało się wyraźnie słyszeć skrzypienie tak zwanego żórawia; czerpano widocznie wodę, może dla bydła, bo słońce miało się już ku zachodowi i ukośnemi promieniami złociło step i niebo.

Ale ponieważ ścieżka szła dalej i wiodła koło łanu pszenicy, puścili się więc nią. Nie uszli jednak pięćdziesięciu kroków, gdy nagle zatrzymali się zdziwieni widokiem, jaki niespodzianie przed nimi się odkrył. Stanęli bowiem nad ogromnym wąwozem, tak zwanym w miejscowem narzeczu „jarem", do którego owa ścieżka spuszczała się stromo i gwałtownie. Jar ów był dość szeroki i cały dyszał wonią kwitnących wiśni i jabłoni, których kwiecie różowe i białe pokrywało prawie zupełnie zielone liście. Drzewa te tworzyły duży sad, z pośrodka którego sterczał dach strzechą kryty, a z komina na tym dachu wzbijał się wysoką kolumną dym i rozpływał gdzieś po stepie. Psy naszczekiwały wesoło, bydło ryczało, żóraw skrzypiał, słychać było głosy męskie i kobiece, ale oprócz drzew i dachu nad nimi, nic więcej widać nie było.

Obaj chłopcy przez jakiś czas stali, przypatrując się temu widokowi, wsłuchując się w dochodzące ich głosy, wreszcie zdecydowali się spuścić się ową stromą ścieżką do jaru. Ścieżka ta wiła się teraz po urwistym brzegu wąwozu, i z trudnością przyszłoby znużonym wędrowcom na niej się utrzymać, bo gliniasta ziemia po wczorajszej

ulewie dzięki cieniowi nie wyschła jeszcze i była nadzwyczajnie śliska, gdyby nie to, że po obu jej bokach rosły gęste krzaki jałowcu, malin, karłowatych śliw, porzeczek i agrestu.

Chwytając się gałęzi, ślizgając się, przyczem Jurek kilkakrotnie się potknął i zjeżdżał na dół, tak że jego ubranie dolne, i tak już mocno zniszczone i zabłocone, oblepiło się grubą warstwą miękkiej gliny, zeszli nakoniec na dół jaru i znaleźli się jakby w sadzie, w alei drzew wiśniowych, pokrytej całkowicie różowemi płatkami kwiecia. Aleja ta przecinała cały sad nawskroś; na jej końcu widać było białe ściany domu i duży ganek przed nim, z którego otwarte naoścież drzwi prowadziły do wnętrza W miejscu, na które z góry wąwozu spuścili się obaj chłopcy, stał krzyż drewniany, a obok niego była ławka, na którą Jurek, poturbowany nieco przy zjeżdżaniu ze stromego wzgórza, padł zaraz i szkaradnie ją zawalał gliną mokrą i lepką.

Bolek zgromił go za to i kazał mu wstać, co Jurek niechętnie zrobił, tak był zmęczony; poczem obaj chłopcy poszli ku domostwu.

Nie przebyli jeszcze i połowy alei wiśniowej, gdy na ganku ukazało się dwóch mężczyzn, rozmawiających o czemś bardzo żywo. Tworzyli oni ze sobą zupełny prawie kontrast co do powierzchowności. Jeden z nich wysoki, nadzwyczajnie chudy, z głową nienakrytą niczem i łysą jak kolano, z ogromnemi siwiejącemi i opuszczonemi po kozacku na dół wąsami, ubrany był w kitel z szarego płótna, skrojony formą żupana polskiego, ujęty starym, mocno wyszarzanym, niegdyś zapewne bogatym pasem. Wysokie juchtowe buty uzupełniały ten strój wcale niewykwintny.

Drugi zato mężczyzna także wysoki, ale tęgi i okazały, o wiele młodszy od swego towarzysza, z wąsem

czarnym, zawadjacko do góry zakręconym, miał na głowie konfederatkę aksamitną zieloną, obramowaną kasztankiem. Ubrany był w krótki kontusik karmazynowy, pokryty na piersiach blaszanym, złocistym ryngrafem z Matką Boską. Przez plecy zwieszała mu się piękna, srebrem wykładana ładownica, a u pasa wisiała krzywa szabla w czarnej pochwie. U wysokich butów bronzowej barwy, przepasanych pod kolanami rzemykiem ze sprzączkami, dzwoniły ostrogi. Cały wyglądał na rycerza, gotowego do boju, postawę miał dumną, minę dzielną i pańską.

Zbrojny ten mąż stał na ganku i coś mówił z mocną gestykulacją do ubranego w płócienny żupan jegomościa, który, jak się domyślał Bolek, musiał być gospodarzem tutejszym, czyli panem Adamem Mieleszką. Słuchał on z uwagą, z głową spuszczoną, na której nagą czaszkę kładły się ruchliwe plamy słońca, przedzierającego się przez gąszcz drzew, słów zbrojnego męża i od czasu do czasu poważnem kiwnięciem głowy potakiwał jego słowom.

Obaj chłopcy doszli już do połowy alei wiśniowej i do uszów ich dochodziły słowa wygłaszane głosem niskim i męskim owego zbrojnego męża, gdy nakoniec pan Mieleszko, wypadkiem podniósłszy głowę, spostrzegł ich, posuwających się wolno i nieśmiało. Musiało się na twarzy jego wyrazić zdziwienie, czy też jakieś inne uczucie, dość, że mąż zbrojny przestał mówić i także spojrzał w stronę podróżnych, popatrzył na nich pilnie i zawołał:

— A to co za hajdamaki?

W rzeczy samej dwaj młodzieńcy wyglądem swoim zewnętrznym zasługiwali w zupełności na to miano. Kilkodniowe przebywanie dniem i nocą na bagnach i w stepie odbiło się w sposób dotkliwy na ich ubraniu i na ich twarzach. Porządne, czyste, a nadewszystko całe ich kontusiki i szarawary zmieniły się w brudne, zabłocone, zaplamione, niewiadomej barwy łachmany, poszarpane, podarte,

świecące szpetnemi dziurami. Buty, których cholewy u Bolka [były niegdyś czerwone, teraz straciły zupełnie kolor i pokryte były grubą warstwą błota i kurzu, obcasy szkaradnie się wykrzywiły, a nawet Jurek pokrycie lewej nogi miał w palcach rozdarte, haniebnie rozdziawione. W dodatku kapelusz hajdamacki, który zdobył w bagnach pod Humaniem, zginął mu gdzieś w stepie i szedł teraz z gołą głową, rozczochraną niegodziwie. Twarze obu, ogorzałe od słońca, zmęczone, pokryte potem i kurzem, wychudzone i zbiedzone, nie wzbudzały zaufania. Szli utykając, onieśmieleni powitaniem zbrojnego męża i wystraszonemi rozgorączkowanemi oczami patrzyli na panów, stojących na ganku. Zbliżywszy się do niego, zatrzymali się i stali tak zmieszani mocno i milczący.

Nakoniec mąż ubrany w płócienny kontusz zeszedł po paru schodach z ganku, zbliżył się do chłopców i głosem surowym zapytał:

— Co wy za jedni? czego tu chcecie?

Bolek jakby stracił przytomność, milczał, mnąc w rękach swą nędzną kapelusinę, tak go ten surowy głos, ostre wejrzenie i zawiędła postawa pytającego przeraziły; ale Jurek niewiadomo skąd wziął na odwagę i rzekł:

— Idziemy zdaleka. Jeść nam się chce okropnie, może tu co dostaniemy?

— Co wy za jedni?

— Ja, proszę jegomości, jestem Jerzy Świderski, a mój kolega nazywa się Bolesław Wróblewski z Sokołówki, podle Lisianki.

— Z Sokołówki? a skądże się tu wzięliście?

— Idziemy z Humania, jesteśmy uczniami szkoły ojców bazyljanów, proszę jegomości. Nas wszystkich rozpuścili. Jesteśmy ogromnie głodni i zmęczeni.

— Z Humania? — zawołał zbrojny mąż, dotąd milczący — a toż przecie w Humaniu podobno są rezunie?

— My też przed rezuniami uciekli.

— *Mater Dei!* — zawołał zbrojny mąż — a toż dziwy!

Tymczasem Bolek odzyskał już pewność siebie i odezwał się:

— Nas tu przysłał do jaśnie wielmożnego pana Mieleszki stary Matwiej, co nad stawami w budzie siedzi.

— Hm! hm! — mruknął pan Mieleszko — byliście u Matwieja?

— Byliśmy i on tu nas przysłał.

— Więc jak się nazywacie?

— Ja jestem Bolesław Wróblewski, a on Świderski — odrzekł Bolek.

— Hm! widzi mi się, że ja niegdyś znałem pana strukczaszego Marcina Wróblewskiego z Sokołówki.

— To mój ojciec, ale już nie żyje.

— Proszę ja waćpana, panie rotmistrzu, toż tym biedakom trzeba jeść dać przedewszystkiem, bo widzę, że się ledwie na nogach trzymają. *Mater Dei!* — wtrącił mąż zbrojny.

Pan rotmistrz Mieleszko popatrzył na chłopców i po chwili rzekł:

— Dobrze mówisz, panie wojski. No, chłopcy, chodźcie za mną! — dodał, obracając się do młodych podróżników.

ROZDZIAŁ X

Jak Bolek postanowił naśladować króla Łokietka.

Pod przewodnictwem pana domu Bolek i Jurek poszli do wnętrza dworu, przebiegli jedną i drugą komnatę, bardzo skromnie umeblowaną, i nakoniec znaleźli się w dużej sieni, prowadzącej na dziedziniec, pełen ludzi i koni. W sieni tej pan Mieleszko zatrzymał się i głosem donośnym począł wołać:

— Jejmość! hej! jejmość!

Musiał jednak kilkakrotnie powtórzyć to wezwanie, nim ukazała się, a raczej wtoczyła do sieni, z trzaskiem otwierając jedne z bocznych drzwi, kobieta niemłoda, ogromnej tuszy, prawie siwa, z zieloną umbrelką na oczach, w czepcu z wstążkami czerwonego koloru. Człapiąc przydeptanemi pantoflami na dużych, opuchłych nogach, posuwała się naprzód wolno i ciężko, opierając się na lasce, stękając i obcierając obfity pot ze swej nadmiernie tłustej twarzy.

— Czegój jegomość znowu krzyczy? — zapytała, postąpiwszy parę kroków w sieni i podnosząc ostrożnie umbrelkę na czoło, żeby lepiej widzieć.

— Masz tu jejmość dwóch smyków. Trzeba im dać jeść, pić i oporządzić z błota, brudu i kurzu, rozkazuję!

Jejmość podniosła jeszcze wyżej umbrelkę, i choremi, mocno zaczerwienionemi oczami bacznie obejrzała obu młodzieńców, smykami nazwanych przez pana rotmistrza Mieleszkę, co, nawiasem powiedziawszy, ogromnie się nie podobało Bolkowi; ale zamilkł, postanawiając sobie przy sposobności przekonać surowego gospodarza, że już nie jest smykiem. Tymczasem jejmość, obejrzawszy tak zarekomendowanych jej młodzieńców, plasnęła nagle w pulchne ręce i zawołała:

— O laboga! cóż to za oberwańcy.

— To nie są żadne oberwańcy, jeno szlacheckie dzieci — rzekł pan Mieleszko.

— Ale skądże znowu jegomość ich wziął?

— Znikąd nie brałem, sami przyszli, uciekli przed hajdamakami z Humania.

To rzekłszy, spojrzał groźnie na chłopców i na jejmość i krokiem ostrym wyszedł z sieni. Jejmość znowu plasnęła w swe pulchne, jak poduszki, ręce i zawołała:

— Laboga! przed hajdamakami? z Humania? o! moje robaczki, niebożęta! i dlatego to takie oberwane i zasmolone. Jezu Nazareński! I piechotą ciągiem szliście?

— Piechotą! — odrzekł Bolek.

— Jezu, Jezusieńku! piechotą! patrzcie państwo... a toć z Humania tutaj do futoru pana rotmistrza jest sześć mil opętanych golusieńkim stepem! I takie młode, szlacheckie dzieci? Jeść wam się chce?

— Chce i bardzo chce! — jęknął Jurek.

— Niebożęta!

To rzekłszy, poczęła stukać laską o podłogę, a raczej o ubitą glinę sieni i głosem piskliwym wołać:

— Horpyna! Horpyna!

A gdy na to wezwanie owa Horpyna się nie zjawiała,

jejmość, ciągle stukając swą laską, podeszła ku drzwiom, prowadzącym na podwórze i coraz głośniej wołać poczęła, dodając:

— Gdzie ta klempa się podziała? Horpyna! Horpyna! Skaranie Boskie z tym latawcem! Horpyna! Pewnikiem gdzie do konfederatów szczerzy zęby! Horpyna! Horpyna!

Nakoniec ukazała się owa Horpyna, dziewka gruba jak pień, brudna, brzydka, z głową rozczochraną, z nogami bosemi, ubrana w koszulę zasmoloną, wyszywaną niebieskiemi i czerwonemi nićmi, w kusej spódniczynie, do kolan jej ledwie sięgającej, i stanąwszy we drzwiach, mruknęła:

— Oce tak kryczyte pani?

— Hm... oce! oce! — poczęła przedrzeźniać z gniewem jejmość — gdzie się włóczysz, ty kocmołuchu? Nigdy cię niema! czekaj, jeno powiem jegomości!...

Dziewka widocznie nie lękała się tej groźby, bo się zaczęła śmiać, co w większy jeszcze gniew wprawiło jejmość, energiczne stukanie laską rozlegało się, wymysły sypały się jak grad, wreszcie, spojrzawszy na stojących skromnie chłopców i przysłuchujących się tej scenie, jejmość nagle uspokoiła się i rozkazywała:

— Ruszaj mi do czeladnej, niech Nastka przygrzeje barszcz, co został z obiadu, żywo! na jednej nodze!

Gdy dziewka, ciągle śmiejąc się, znikła, jejmość poczęła czegoś szukać koło siebie, szepcąc:

— Skaranie Boskie, gdzie mi się znowu klucze podziały?

Nakoniec znalazły się klucze, zawieszone na samym wierzchu u fartucha i chłopcy zostali zaproszeni, by poszli za jejmością do niewielkiej izby wprost z sieni, o jednem oknie, wychodzącem na podwórze i zastawionem doniczkami z geranjum kwitnącem i rozmarynem. Przy jednej ze ścian stało ogromne łoże, zaslane pod samą powałę poduszkami i pierzynami, nad niem wisiał

jaskrawo malowany przez domorosłego artystę obraz Matki Boskiej Berdyczowskiej, a za obrazem sterczała utkwiona gromnica, różową wstążeczką przewiązana i pęk ziół napół zeschniętych. Obok łóżka mieścił się duży fotel, niegdyś skórą kryty, dziś wyszarzany, wysiedziany, ze strzępiącym się tu i owdzie włosiem. Na stoliczku przy fotelu leżała gruba książka do nabożeństwa, wydana przez oo. karmelitów berdyczowskich, zasmolona od częstego używania, pełna zakładek i wiszących tasiemek z krzyżykami na końcu. Oprócz tego był tu jeszcze duży stół pod oknem, na którym wielki żółtawy kot wygrzewał się na słońcu i mrukiem dawał znać o swem zadowoleniu, szafa i parę krzeseł prostych, drewnianych.

Wszedłszy do tej izby, jejmość prosiła młodzieńców, by usiedli i spoczęli sobie, a sama z kluczami w rękach skierowała się ku drzwiom, w nogach łóżka będącym, otworzyła je i zniknęła za niemi. Chłopcy zostali sami i poczęli rozglądać się po tej izbie cichej, w której tylko mruczenie kota dawało się słyszeć, oraz dochodzący głuchy gwar z podwórza przez okno zamknięte.

Bolek spojrzał przez to okno i ujrzał na wielkie swoje zdziwienie dwadzieścia koni, stojących rzędem przy płocie, z torbami na łbach zawieszonemi, okulbaczonych i moderunkiem swoim jednakowych, wyglądających na żołnierskie. Jakoż niebawem zobaczył i żołnierzy, z których część leżała, drzemiąc pod rozłożystym dębem, jaki rósł w rogu podwórza, część włóczyła się po dziedzińcu, rozmawiała i lulki kurzyła.

Wszyscy byli jednakowo ubrani i uzbrojeni. Mieli tedy na głowach zielone konfederatki kasztankiem obszyte, krótkie z węgierska szamerowane, granatowe żupany, rajtuzy szare, skórą podszyte i wysokie czarne buty z ostrogami. Uzbrojeni byli w pałasze i janczarki, a przy płocie sterczały w piramidę ustawione spisy, z chorągiewkami

biało czerwonemi. Na koniach, w olstrach kulbak błyszczały kolby pistoletów. Słowem, było to jakieś wojsko.

Bolek tak się zapatrzył na tych żołnierzy, że nie uważał jak jejmość powróciła do izby. Dopiero na jej głos się odwrócił i ujrzał, jak kładła na stole rozmaite specjały, bardzo pożądane dla głodnego chłopców żołądka. Więc naprzód był to potężny, łokciowy kawał kiełbasy, wprawdzie twardej i suchej, niemniej przeto w smaku doskonałej, cały wędzony półgęsek, garnuszek przedniego masła i bułka chleba białego. Staruszka, umieściwszy to wszystko na stole, usiadła sobie na fotelu, ciężko oddychając, widocznie mocno zmęczona, i rzekła:

— Jedzcie, robaczki, i niech wam będzie na zdrowie, Zara barszcz przyniosą.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać wygłodzonym chłopcom, zwłaszcza Jurkowi, który rzucił się na kiełbasę i chleb, i nie jadł, ale połykał ją chciwie.

Jejmość tymczasem, odpocząwszy sobie na fotelu, poczęła szczegółowo wypytywać się swych gości, skąd są, co za jedni i czy to prawda, że w Humaniu hajdamacy rzną ludzi.

— Gadali tu o tem onegdaj czumaki, co z suszoną rybą do Siczy jechali, ale można to głupim chłopom wierzyć? Co prawda, to i pan pułkownik Denisko, ot ten z żołnierzami, co ich tam widzicie na dziedzińcu, jedzie podobno od Turek czy Tatarów, to samo gada.

— A nie wie jejmość pani, co to za żołnierze? — spytał Bolek, którego głównie wojacy, kręcący się po podwórzu, zajmowali.

— A kto ich tam wie? Konfederaty podobno, czy coś takiego. Skądże ja mam wiedzieć? Gadałam to z nimi, czy co? Jegomość pan rotmistrz Mieleszko zamknął się z panem Deniską w kancelarji, a mnie przykazał, żeby dla tych wojaków nagotować barszczu z grochem

i ze sperką, tom i nagotowała, i tyle. Pono wojna będzie, a te konfederaty jadą z Turek czy od Tatarów, żeby naszym pomagali. Ale godzi się to pogan na pomoc wzywać, żeby krew chrześcijańską przelewali? Ale cóż, jakem to usłyszała od starszego nad tymi żołnierzami, co oto tam stoi kole studni, z takiemi strasznemi wąsiskami jak wiechcie... widzicie go?

— Widzimy.

— No, to on mi powiadał, że wracają z rotmistrzem Deniską z Turek czy Tatar, i chana tatarskiego prosili o pomoc. Jakem to usłyszała, tom się tak zalterowała, że choć mię nożyska bolą i popuchły mi od chodzenia, tom zaraz pokuśtygała do pana rotmistrza i pedam mu uczciwie, że nie po katolicku wzywać pogan na krew chrześcijańską. Ale bo to teraz kto słucha starych ludzi? Oburknął się na mnie i huknął:

— Asani nie wtrącaj się, co do ciebie nie należy, idź pilnuj kur i gęsi, a w politykę się nie wdawaj, bo to nie babska rzecz i język mi trzymaj za zębami...

— Więc to są konfederaci? — przerwał Bolek tę przydługą gadaninę.

— Podobno jakieś tam konfederaty, czy ja wiem, ale z poganami mają spółkę, to im Pan Jezus nie poszczęści.

— A widzisz, Bolek — wtrącił Jurek, mając usta zapchane kiełbasą — nie mówiłem ci, że konfederację szlachta zawiązała? Nie chciałeś mi wierzyć...

W tejże chwili Horpyna wniosła całą miskę barszczu, a raczej żuru ze skwarkami, poczem wyszła i wróciła zaraz z drugą miską, pełną grochu, którą też postawiła na stole. A jejmość zaraz zapytała:

— Horpyna, cóż te wojaki nie jadą sobie?

— Ta chto że ich znaje.

— Ty o niczem nigdy nie wiesz, durna dziewko!

Durna dziewka wyszczerzyła zęby, co miało oznaczać uśmiech, zabrała się i poszła, a Jurek co żywo począł pałaszować groch z barszczem.

W tej chwili doszedł uszów chłopców rozkazująco brzmiący głos:

— Rozkulbaczyć konie, przenocujemy tutaj!

Usłyszawszy to, jejmość plasnęła w tłuste ręce i zawołała:

— Masz tobie! będą nocowali. Znowu im gotuj jedzenie! Skaranie Boskie, czy co?

Podniosła się ciężko z fotelu i stukajac laską dość żwawo, mimo, że „nożyska jej popuchły“, wybiegła z izby. Zaraz dał się słyszeć jej krzykliwy głos:

— Horpyna! zatracona dziewko, chodź tu!

Chłopcy zostali sami i znów zaległa cisza, tylko słychać było mruczenie kota, wygrzewającego się na oknie na słońcu i łakome chlipanie barszczu przez Jurka. Bolek patrzył przez okno i widział jak konfederaci rozkulbaczają konie i zdejmują z nich cały rynsztunek, jak wielu z nich odpasuje szable, ściąga z pleców janczarki, a nawet niektórzy poczęli rozbierać się z żupanów. Zabierali się widocznie do dłuższego odpoczynku. Wśród nich chodził ów starszy, ze strasznemi, jak mówiła jejmość, wąsiskami i coś mówił i rozkazywał. Wszyscy zresztą ci wojacy byli wąsacze, opaleni od słońca, zawiędli na wietrze i mieli miny takie, że w same piekło z szablą w garści by poszli.

Bolkowi, patrzącemu na nich, aż dusza rosła i rwała się do szabli i konia. Nakoniec, zwracając się do Jurka, który obrabiał teraz zawzięcie półgęsek, rzekł:

— I cóż, Jurek? cóż my teraz będziemy robili? Najedliśmy się, napili, trzeba coś postanowić, boć przecie bezczynnie siedzieć tu nie możemy, prawda?

— Juścić prawda, ale widzisz, Bolek... szczerze mówiąc, ja nie wiem, co nam teraz należy zrobić. Ty jesteś mądrzejszy ode mnie, co postanowisz, to ja zrobię.

— Jednakże coś myślisz?

— Właściwie... hm!... to ja nic nie myślę. Jakoś mi nic do głowy nie przychodzi, zdaje mi się tylko, że do Humania wracać nie mamy po co, bo przecie i szkołę rozpuścili ojcowie bazyljanie i hajdamaki tam są...

— Oczywiście, że do Humania wracać nie możemy. Jużeśmy o tem gadali.

— Więc widzisz, że dobrze mówię, nie taki ja głupi, jak się tobie zdaje.

Śmiał się, wygodnie rozpierając się na krześle, bo najadłszy się do syta, wpadł w dobry humor, nabył pewności siebie i rad był pogawędzić.

— Czyż ja ci powiedziałem kiedy, żeś głupi? — spytał Bolek.

— No, juścić nie powiedziałeś, ale z pewnością tak myślisz.

— Mniejsza z tem, mówmy o tem, co nam należy teraz robić — przerwał Bolek.

— Cóż, kiedy ja nie wiem, co mamy zrobić, myślę tylko, że do Sokołówki niełatwo nam się będzie dostać, a zresztą Nieżywy gadał, że twojej mamy tam niema, ale zato z pewnością tam są hajdamaki, a ja wcale nie mam ochoty wpaść im w ręce. Przytem, czy my wiemy, którędy trzeba iść, żeby do tej Sokołówki się dostać.

— A od czegóż język?

— To prawda, od czego język... przepytać się można, ale piechotą drałować Bóg wie ile mil... hm! hm!... buty mam podarte, nogi mię bolą potężnie...

— Ja też do Sokołówki nie myślę chodzić.

— A to masz wielką rację — zawołał wesoło Jurek —

bo i poco? chyba żeby wpaść w łapy rezuniów, a te szelmy żywcem-by nas upiekły.

— Zwłaszcza z ciebie mieliby tłustą pieczeń! — zaśmiał się Bolek.

— Śmiej się, śmiej, ale ja nie chcę wpaść w ręce tych zbójów. Mówisz, żem tłusty... schudłem już, przecież widzisz. Niedługo zostanie ze mnie skóra i kości.

Sam śmiał się i kontent był z siebie, Bolek zaś milczał, patrzył przez okno na żołnierzy i myślał o czemś, wreszcie rzekł:

— Do Łuczyniec też nie mamy poco chodzić.

— Oczywiście! w Łuczyńcach ojca mego niema. Nie mówił to nam pan Szafrański, że ojciec przystał do konfederatów? A przytem z pewnością i w Łuczyńcach są hajdamaki.

— Więc cóż zrobimy?

— Nie wiem, tyś mądrzejszy, to radź!

Bolek spojrzał znowu w okno, zawahał się chwilę wreszcie rzekł:

— Podług mnie nic nam nie pozostaje, jak przystać do tych tam oto konfederatów.

I wskazał ręką na podwórze.

— Do konfederatów? — zawołał Jurek wielce zdziwiony.

— Tak, do konfederatów. Byle nas tylko chcieli przyjąć, ale ja myślę, że jak poprosimy ich grzecznie, to nas przyjmą.

Ale cóż my będziemy u nich robili?

— Jakto co? będziemy się bili, jak przystało na rycerzy polskich.

— Jezus Marja! Bolek, co ty mówisz! chyba żartujesz?

— Wcale nie żartuję, mówię na serjo. To jedyne dla nas wyjście. A nawet, jeżeli nie będą nas chcieli przyjąć na żołnierzy, żeśmy to jeszcze młodzi, to w każdym

razie może zgodzą się na to, byśmy z nimi jechali i tym sposobem bezpiecznie dostaniemy się w okolice Berdyczowa, lub gdziekolwiek bądź, a stamtąd już łatwiej nam przyjdzie przepytać się o moją mamę lub o twego ojca. No powiedz, czy nie mam racji?

— Juścić, masz rację. Mądrześ wymyślił, ani słowa... tylko, czy oni nas przyjmą?

— To też trzeba się ich o to spytać. Chodź! pójdziemy do tego starszego, ze strasznemi wąsiskami, jak mówiła jejmość, i pogadamy z nim.

— Iść możemy, dlaczego nie? ale zastanów się, Bolek, oni mają konie, a my nie. Przypuśćmy, że się zgodzą nas przyjąć, abyśmy razem z nimi podróżowali, to jakże będzie? Oni na koniach, a my piechotą. Nadążymy im to? jeszcze w takich podartych butach?

— Poprosimy ich, żeby nam dali koni.

— A skądże ich wezmą? Ja tu widzę dwudziestu ludzi i tyleż koni, ani jednego luźnego.

— Ha! zobaczymy. Może pan Mieleszko jakiemi szłapakami nas obdarzy.

— Nie widzę, żeby pan Mieleszko miał konie, a jeżeli ma, to czy je nam da? Przytem on ma takie straszne oczy, że ja go się boję i za nic w świecie gadać z nim nie chcę.

— To już ja pogadam. Ale co będzie, to będzie, chodźmy naprzód do tego starszego i z nim pomówmy. Zobaczymy, co on nam powie.

— Ha! chodźmy, choć mnie wstyd w takich butach pokazywać się ludziom. Ot! na co nam przyszło!

— Uszy do góry, Jurek! Nie pamiętasz, jak to ksiądz rektor nieraz powiadał, że prawdziwe męstwo okazuje się dopiero wśród przeciwności i że Polak nawet wtedy, kiedy już nie ma żadnej nadziei, powinien mężnie stać i wytrwać. Przypomnij sobie, jak to za króla Jana Kazi-

mierza cały kraj był w ręku Szwedów, a pan Czarniecki jednak nie stracił serca i póty bił najeźdźców, aż ojczyznę od nich oswobodził. A król Łokietek?

Tak mówił Bolek, a oczy mu się na te piękne wspomnienia świeciły zapałem i męstwem.

— Ja sobie postanowiłem naśladować króla Łokietka i żadne nieszczęście, żadna przeciwność mnie nie powali. Tak mi, Boże, dopomóż! Ale chodźmy!

Wyszli na podwórze, gdzie żołnierze, rozkulbaczywszy konie, zaczęli je czyścić, a nawet nosili kubłami wodę i z kurzu i błota je obmywali. Starszy ich, ten z wąsiskami, przechadzał się po dziedzińcu, z rękami na tył założonemi i pilnował porządku.

Podwórze otaczał wał z ziemi, na którym rosło kilka drzew, a dalej poza nim roztaczał się gładki step, ginący i zlewający się z firmamentem, oświecony zachodzącem słońcem. W chwili, gdy obaj chłopcy stanęli na progu futoru, na stepie tym ukazała się ogromna kurzawa, powstała stąd, że dwóch parobków na koniach pędziło przed sobą kilkanaście sztuk bydła i tyleż koni, widocznie wracających z pastwiska.

Widok ten uratował Bolka.

— Patrz! — zawołał do Jurka — widzisz, co tu koni. Już teraz jestem pewny, że pan Mieleszko nie odmówi nam i da parę źrebców.

— Bóg-by to dał! Ale wątpię.

— Ja nie wątpię. Zobaczysz, że tak będzie. Ale chodźmy do starszego.

Starszy ten, o twarzy surowej i ogorzałej, z ogromnemi sumiastemi wąsami, w tej chwili zwrócił się twarzą do chłopców [illegible] na nich swym wzrokiem ostrym i przenik[illegible] ku niemu nieśmiało, krokiem wahającym się i gdy się zbliżył, jeden z żołnierzy podszedł

do niego i mówił doń coś, nazywając go panem wachmistrzem.

Skorzystał z tego Bolek i, pokłoniwszy się grzecznie, rzekł:

— Panie wachmistrzu, my dwaj chcemy przystać do panów konfederatów.

Pan wachmistrz spojrzał groźnie na obu chłopców, zmierzył ich od stóp do głów, zatrzymał dłużej wzrok na nieszczęsnych butach Jurka (przyczem ten zarumienił się mocno ze wstydu i radby był pod ziemię się schować) i rzekł:

— A cóżeście wy za jedni?

Więc Bolek począł mu opowiadać swe przygody, wymienił nazwisko swoje i Jurka, oświadczył, że byli uczniami szkoły Bazyljańskiej w Humaniu, że udało im się uciec z tego miasta przed hajdamakami, że wędrują od paru dni po stepie i szczęściem zaszli do futoru pana Mieleszki, że radziby dostać się do swych rodziców do Łuczyniec pod Białą Cerkwią, lub do Sokołówki pod Lisianką.

— Gdzie Rzym, gdzie Krym a gdzie karczmy Babińskie! — zawołał pan wachmistrz — gdzie Białocerkiew, a gdzie Lisianka! Zresztą my stąd pomaszerujemy do Berdyczowa, nie po drodze więc wam będzie. Przytem, o ile wiem, podle Białocerkwi i Lisianki hulają rezunie, jakże więc wam tam jechać.

Ale Bolek zaczął mu tłumaczyć, że zawsze z Berdyczowa będzie im bliżej do Białocerkwi i Lisianki, jak stąd; że sami nie mogą się tam dostać, bo i nie mają o czem i niebezpieczeństwo życia może im zagrażać, o gdyby pan wachmistrz raczył ich wziąć pod swoją opiekę, to cało i zdrowo pod osłoną takich walecznych żołnierzy przedostać się do swoich będą mogli.

— Jużcić, mosanie, mądrze mówisz, mój zuchu — odrzekł po chwilowym namyśle pan wachmistrz — i ja nie mam nic przeciw temu, byście z nami jechali, ale to ode mnie nie zależy. Mam ja nad sobą przełożonego pana pułkownika Dzierżka. Idźcie do niego, jak on da przykaz, to was zabierzemy. To kawaler zowiesz się Wróblewski?

— Tak.

— Znałem ja różnych Wróblewskich, ale to w Rzeczypospolitej pełno jest szlachty tego nazwiska. Miałem nawet brata, co był żonaty z Wróblewską, ale ona szła z Podlasia, bo to i ja jestem Podlasiak i zowię się Socha Bagiński. No! niema co gadać, mosanie, ruszajcie do pana pułkownika Dzierżka, a jak mnie się spyta, co zawsze zwykł był czynić, bom to ja jest stary żołnierz, to się za wami wstawię. Podobasz mi się kawaler, mości Wróblewski. Czołem!

Odwrócił się i poszedł wolnym krokiem ku swoim żołnierzom właśnie w chwili, gdy wpędzano na dziedziniec futoru stadninę pana Mieleszki. Stanąwszy więc z boku, zaczął się jej przypatrywać.

— Hm — mruczał — niezłe szkapy ma pan gospodarz, niektóre przydałyby się i nam.

ROZDZIAŁ XI

Jak Jurek o mało nie zapoznał się z bizunem wachmistrza Sochy.

Na radość Bolka wszystko się jak najlepiej ułożyło. Pułkownik Dzierżek, wysłuchawszy szczegółowej relacji chłopców o ich przygodach i pochodzeniu, chętnie się zgodził na zabranie ich ze sobą, nakazując tylko, by nazajutrz, skoro świt, byli gotowi do drogi, bo on jeszcze przed tem, nim słońce zacznie dokuczać, pragnie dotrzeć do Hajsyna, tam spocząć i przeczekać południowe gorąco, by nad wieczorem wyruszyć dalej i zanocować w okolicy Lipowca.

Bolek był gotów całą noc nie spać i czekać na chwilę upragnionego wyruszenia.

Na szczęście chłopców i ku zadowoleniu p. wachmistrza, pan Mieleszko ofiarował konfederatom ze swej stadniny pięć doskonałych koni, obaj więc chłopcy mieli na czem jechać. Pan Mieleszko darował im też dwie wprawdzie stare i nieco wyszarzane terlice, w każdym razie mogące jeszcze jakiś czas służyć, oraz uzbroił ich w parę pistoletów i tak zwane czarne szable, w skórzanych pochwach, używane zwykle przez dawnych Polaków do boju.

Byli więc uzbrojeni, mieli konie i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie zniszczone i podarte ich ubranie, a głównie opłakany stan butów Jurka.

Zaradzono i temu w części. Pan Mieleszko dał Jurkowi parę juchtowych butów, wprawdzie starych, z wykrzywionemi obcasami, nieco za dużych na nogę chłopca, ale bądź co bądź całych, a jejmość gospodyni, pani Katarzyna Kudelska, bo takie nazwisko nosiła, zajęła się możliwem oporządzeniem chłopców. Kazała im się wymyć starannie i wykąpać w niewielkiej sadzawce, podle futoru, obdarzyła ich świeżą bielizną pana Mieleszki, za obszerną i za dużą na nich, ale czystą, a to było najważniejsze. Horpynę zaś zapędziła wraz z drugą dziewką, ażeby wyłatały i pozeszywały żupaniki i szarawary obu młodzieńców, tak że nazajutrz, o szarym jeszcze świcie, gdy siedli na koń, przypasali szable i nadziali z fantazją na bakier podarowane im przez pana Mieleszkę czapki, wyglądali tak dzielnie i rycersko, że pan pułkownik Dzierżek uśmiechnął się i szepnął do pana Mieleszki:

— Z tych smyków będą ludzie!

Tak się też spodobali i panu Mieleszce, że wyjął z trzosa dwa złote dukaty i dając je panu pułkownikowi, rzekł:

— Jak przyjdziecie do Hajsyna, to każ waćpan sprowadzić z miasteczka żydka Mordkę, krawca, a on za te pieniądze dostarczy tym zuchom porządnego ubrania, bo szkoda mi, żeby dzieci szlacheckie wyglądały w tych łachmanach na hajdamaków.

Gdy już odjeżdżali, jejmość Katarzyna Kudelska, stękając i utykając na nogi, przywlokła się jeszcze do chłopców, a za nią Horpyna przyniosła w koszyku półgęsek, ze dwa łokcie suchej kiełbasy i parę bułek chleba, wszystko to wtykała w ręce młodych rycerzy.

Ale Bolek, cały zajęty swą bronią i marzeniami o przy-

szłych bojach i triumfach, pogardził tak marną rzeczą jak jedzenie, niegodne, by rycerz polski o niem myślał, i nic wziąć nie chciał, mówiąc, że nie myśli obciążać chlebami i kiełbasami konia. Zato Jurek, zawsze dbający o swój brzuszek, skwapliwie wszystko zabrał, jak mógł pomieścił w olstrach kulbaki i w kieszeniach swego żupanika i gorąco dziękował jejmości gospodyni. Gdy już komenda do marszu się rozległa, staruszka, błogosławiąc krzyżem św. obu chłopców, szeptała:

— Niech was Pan Jezus strzeże, moje robaczki. Najświętsza Panienka Berdyczowska niech ma was w swej opiece! Jedźcie z Bogiem!

I pulchną ręką obcierała łzy, co tak wzruszyło Horpynę, że i ona ryknęła w niebogłosy i przy tym płaczu konfederaci wyruszyli z futoru pana Mieleszki.

Na stepie owiało ich świeże, rześkie, chłodne powietrze dalekiej, szerokiej przestrzeni. Na trawach i burzanach wieszały się srebrzyste krople rosy; tysiące skowronków trzepotało skrzydłami wysoko i śpiewem swoim zapełniało powietrze. Wielkie mgły gdzieś w dali kłębiły się i nikły powoli pod słońcem, którego ogromna tarcza, cała ognisto purpurowa, wychylała się już z poza horyzontu. Od niej pół nieba gorzało blaskami, a step dyszał życiem, wonią i tchnieniem jakiemś świeżem i ciszą nieskończoną. Konie pod jeźdźcami wesoło parskały, a nakarmione i wypoczęte raźno posuwały się po gładkiej drodze stepowej.

Kiedy ta garść jeźdźców wydobyła się z jaru, w którym ukryty był futor pana Mieleszki, stary wachmistrz, Socha Bagiński, jadący na czele, tuż za pułkownikiem Dzierżkiem, zwrócił się nagle do połowy ku swym żołnierzom i dał znak ręką, a na ten znak zagrzmiała pieśń smutna, melancholijna, niemniej przeto odpowiadająca swoją melodją poetycznemu smętkowi stepu.

„Stawam na placu z Boga ordynansu,
Rangę porzucam dla nieba wakansu;
Dla wolności ginę, wiary swej nie minę,
Ten jest mój azard.

Krzyż mi tarczą, a zbawienie łupem;
W marszu zostaję, choć i padnę trupem,
Nie zważam, bo w boju, dla duszy pokoju
Szukam w ojczyźnie".

Słowa te, melodja, śpiewana chórem, rozlegającym się szeroko po szerokiej roztoczy stepowej, głębokie wrażenie uczyniły na Bolku. Pieśń tę usłyszał po raz pierwszy, bo też niedawno ona powstała i mało komu była znana. Śpiewano ją na nutę nieco monotonną, raczej smutną, niż wesołą i Bolkowi pod jej wrażeniem zdawało się, że ci żołnierze, w których szeregu teraz maszerował, są jakimiś skrzydlatymi rycerzami, którzy płyną wśród traw stepowych, wśród mgły poranku, w blaskach budzącego się słońca, by paść całopalną ofiarą za ojczyznę, „dla duszy pokoju".

A pieśń tymczasem grzmiała dalej, chwytana przez lekki wiatr poranku i niesiona gdzieś daleko pod niebo błękitne, pod słońce czerwone.

„Boć nie nowina. Maryi puklerzem
Zastawiać Polskę, wojować z rycerzem,
Przebywać w osobie, sukurs dawać Tobie
Miła ojczyzna!

W polskich patronach niepłonne nadzieje,
Zelantów serce niechaj się nie chwieje,
Gdy ci przy swej pieczy, miecze do odsieczy
Dadzą Polakom".

Tak śpiewano, maszerując wyciągniętym stępem, a Bolek wsłuchiwał się w ten śpiew i przypatrywał nowym swoim towarzyszom, którzy ogorzałemi twarzami, groźnemi

wejrzeniami i wogóle dzielną, rycerską postawą niemałą w nim budzili ciekawość.

Zato Jurka niewiele to wszystko obchodziło. Siedział nieco po łacinie na swym młodym koniku, gniadej maści, i narzekał, że terlicę ma twardą i niewygodną. Widząc, że na te jego skargi Bolek pogardliwie rusza ramionami, z rozpaczy wydobył kawał kiełbasy i zajadając ją łakomie z chlebem, nic już nie mówił.

Po skończonym śpiewie, który dla tych wojowników był rodzajem modlitwy porannej, zapanowała w szeregach cichość, która powoli zmieniła się w pogawędki pojedyncze, śmiechy i żarty.

Bolek wdał się w rozmowę z najbliżej jadącym koło niego konfederatem, młodym, może dwudziestokilkoletnim mężczyzną, któremu puszczał się miękki, jasny jak konopie wąsik, a duże, niebieskie oczy patrzyły miękko i łagodnie. Twarz miał ogorzałą od wiatrów stepowych, a zwał się, jak się później Bolek dowiedział, Kacper Małyniecki, herbu Trupia głowa, rodem z pod Knyszyna na Podlasiu, gdzie jego ojciec miał cząstkę ziemi. Szukając chleba, którego mu jego błota i piaski podlaskie dać nie mogły, znalazł się na Ukrainie, przystał do konfederatów i z panem pułkownikiem Dzierżkiem jeździł z rozkazu pana Joachima Potockiego, marszałka i regimentarza, do Krymu, do chana tatarskiego, żeby dał pomoc konfederatom. Rozgadawszy się powoli, dziwy opowiadał Bolkowi o Tatarach, Krymie i chanie tatarskim.

— Tatary — mówił swym śpiewnym podlaskim akcentem — jak są straszni na wojnie, tak, powiadam jespanu, niema lepszych ludzi u siebie w domu, a gościnni, że daj Boże, żeby który szlachcic u nas był taki. Stałem ci ja kwaterą u jednego bardzo zamożnego mirży, co niby po naszemu znaczy książę, czy też jaśnie wielmożny, w samym Bakczysaraju, mieście, które jest u nich najpię-

kniejszem i głównem, i w którem sama jego chańska mość mieszka. Bardzo grzeczne miasto, powiadam jespanu. Ten mój mirża, który był krewnym chana i zwał się Achmet Girej, dał mi wszelkie wygody i ciągle jadłem baraninę z ryżem. Przednie jedzenie, powiadam jespanu, a potem różne słodkości, które oni zowią sorbet. Cale grzeczny naród te Tatary. Gadać to oni ta po ludzku nie umieją, jeno coś przez gardło charkają, jakby ich co dusiło, a cięgiem się śmieją i kłaniają, że śmiech człeka bierze. Wywczasowaliśmy się tam do syta, bo i co było robić? Pan pułkownik Dzierżek w chańskim pałacu rozmawiał z chanem i z jego kanclerzem, a myśmy jedli i spali. Cale nam tam dobrze było u tych Tatarów, jeno dogadać się z nimi nijak nie można było.

— A cóż — pytał Bolek — dadzą Tatarzy pomoc naszym?

Kat ich tam wie. Może i dadzą, ja nie wiem. To jeno pan pułkownik Dzierżek może powiedzieć. Z nami przecie nie gadali i jakżeby gadać mogli, kiedy my ich języka nijak zrozumieć nie możemy. Nabożny to naród. Co wieczór to ci siadają na piętach na kobiercu i kiwają się i cięgiem wołają: Ałła! ałła! co niby znaczy: Panie Jezu!

— A bo to Tatarzy wierzą w Pana Jezusa? — zauważył Bolek.

— Pewnie, że nie wierzą, taki pogański naród.

— Więc jakże mogą wołać: Panie Jezu?

— Czy ja wiem? tak gadał pan wachmistrz Socha, a to jest żołnierz, co wszystko wie, z niejednego pieca chleb jadł i musi to tak być.

Trudno się było spierać z zakutym i upartym łbem Podlasiaka, co miał niedarmo w herbie trupią główkę, więc Bolek uśmiechnął się tylko i dowolnego tłumaczenia

tatarskiego: „ałła“ na „Panie Jezu“, więcej nie poddawał w wątpliwość.

Maszerowano ciągle wyciągniętym, żwawym stępem, i koło południa, gdy słońce dobrze dopiekać zaczęło, a konie i ludzie mocno byli zmęczeni, wydobyto się z pustyni stepowej i znaleziono się wśród pól uprawnych, ogromnych łanów pysznej, zielonej jeszcze pszenicy. Tu już posuwano się wolniej i z wielką ostrożnością. Pułkownik Dzierżek wysłał naprzód wachmistrza Sochę z jednym konfederatem, i ci, na każdem wzgórzu, skąd można było rozejrzeć się po okolicy, zatrzymywali się i pilnie dokoła kraj przepatrywali. Ale nigdzie nie spotykano ludzi. Kraj był pusty i głuchy, tylko skowronki pod niebem świergotały, przepiórki po zbożu ćwierkały, a czasem zerwało się stado dropi i ciężkim, niskim lotem unosiło się i ginęło w trawach.

Słońce już dobiegało południa, gdy zaczerniał dość duży las dębowy, rosnący nad samym Bohem, którego błękitne wody od czasu do czasu się ukazywały. W tym lasku pułkownik kazał się zatrzymać, rozłożyć obozem, koni nie rozkulbaczać, tylko popręgów im popuścić i karmić je z worków na łby nałożonych. Zachowano i tutaj baczną czujność, jakby w obliczu nieprzyjaciela. Paru żołnierzy z janczarkami i bez spis pieszo ustawiono na skraju lasu, dobrze ukrytych za krzakami i na takich miejscach, gdzie mogli widzieć znaczniejszą przestrzeń, a wachmistrz Socha, poszeptawszy coś na ustroniu z pułkownikiem, siadł na koń i gdzieś pojechał.

Wszystkiemu temu Bolek przypatrywał się ciekawie, bo pierwszy raz widział prawdziwe wojsko i w duszy pragnął, żeby się jaki nieprzyjaciel ukazał; mając szablę przy boku, zdawało mu się, że jest niezwyciężonym. Wydobywał ją też często z pochwy, próbował czy dobrze nią

machać może i czy brzeszczot jest ostry, i wyobrażał sobie, ak to z nią w garści najedzie na nieprzyjaciela.

Polubił też bardzo konia, podarowanego mu przez pana Mieleszkę. Był to młody, śmigły, karej maści konik, o oku wilgotnem, chrapach rozdętych, z gwiazdką białą na czole i nogach stalowych. Bolek chodził koło niego jak koło brata rodzonego, głaskał, z kurzu obtarł i obroku do torby nasypał mu tyle, ile się zmieścić mogło.

Jurek zato miał kwaśną minę, narzekał, że go krzyż boli od niewygodnej jazdy i ledwie zatrzymano się w lasku, zaraz rozciągnął się na miękkiej murawie. Większość konfederatów, obrządziwszy swe konie i sami posiliwszy się tem, co kto miał w torbie, to samo zrobiła.

Jeden tylko pułkownik Dzierżek i Bolek drugi nie spali. Pułkownik widać był czegoś bardzo niespokojny, bo co jakiś czas wstawał, szedł nad brzeg lasu i wypytywał się wartujących żołnierzy, co słychać, często też sam właził na niewielką mogiłę pod lasem i stamtąd przepatrywał okolicę Czegoby się zaś bał w tym pustym i głuchym kraju, Bolek zrozumieć nie mógł.

Tak w ciszy, w drzemce żołnierzy, chrupaniu przez konie obroku i nieustannym niepokoju pułkownika, minęło parę godzin. Przez ten czas żywa dusza nie ukazała się na obszernej płaszczyźnie, otaczającej lasek. Zdawało się, że wszystko wymarło w tym kraju bogatym ziemią urodzajną, a mimo to pustym i bezludnym. Jakiś beznadziejny smutek wiał od tych nieożywionych niczem przestrzeni i oddziaływał przygnębiająco na Bolka. Siadł sobie nieco z boku na pniu ściętego dębu i patrzył na pułkownika, nie spoczywającego ani na chwilę, na falującą pszenicę i na niedaleki Boh, którego bystre wody mieniły się pod słońce, niby roztopione srebro.

Z tej właśnie strony, od Bohu ujrzał nagle wysuwających się z pośrodka łanu pszenicy dwóch jeźdźców.

Nie mógł im się dobrze przypatrzyć, bo słońce, chylące się już ku zachodowi, akuratnie za niemi było i oślepiało wzrok chłopca. Jeźdźcy pędzili cwałem w kierunku lasku, zostawiając za sobą całe chmury kurzu, a musieli być uzbrojeni, bo niekiedy pod słońce broń błysnęła, strzelba czy też szabla naga.

Zaniepokojony tem Bolek, widząc, że pułkownik znów poszedł w przeciwną stronę ku wartom, pobiegł za nim i doniósł mu o zbliżaniu się owych dwóch jeźdźców.

Ale pułkownik zamiast zaniepokoić się, owszem okazał radość i szepnął:

— To pewno Socha.

Szybkim krokiem poszedł ku owej stronie lasku, z której widać było jeźdźców i, popatrzywszy na nich przez chwilę, rzekł do Bolka, który za nim pośpieszył:

— Tak, to Socha. Chwała Bogu!

I pobiegł na skraj zarośli naprzeciw pędzącym jeźdźcom. Bolek nie śmiał za nim iść, bo domyślał się, że Socha jakąś wieść niesie, którą może pułkownik pragnie zachować w tajemnicy, przypatrywał się tylko zdaleka spotkaniu przybyłych z komendantem.

Gdy ich Socha zobaczył, zaraz zeskoczył z konia, a za nim to samo uczynił drugi jeździec, ubrany w granatowy żupan, na który miał zarzucony, widocznie od kurzu, biały płócienny kitel. Przy boku miał karabelę i wyglądał na setnego szlachcica. Pokłonił się grzecznie pułkownikowi i zaraz zaczęli rozmawiać; ale odległość była dość znaczna, by Bolek mógł usłyszeć ich słowa. Pojedyńcze tylko wyrazy dochodziły do niego, z których jednak niewiele mógł wyrozumieć. Szlachcic wskazał kilkakrotnie ręką w stronę Bohu i coś z wielkiem ożywieniem i gorączkowemi gestami opowiadał, czego pułkownik słuchał bardzo zamyślony.



Wieści wogóle nie musiały być dobre, bo miał minę strapioną.

Tak rozmawiając, ruszyli wolnym krokiem w głąb lasku i zbliżyli się do Bolka tak niedaleko, że ten mógł już wszystko słyszeć.

— Więc powiadasz waszmość — pytał pułkownik — że Berdyczów wzięty? — Pewny-li jesteś tego?

— Jak najpewniejszy, panie pułkowniku. Nie dalej jak onegdaj był u mnie ojciec Marek i mówił mi o tem dokumentnie.

— Cóż to za ojciec Marek?

— Jakto, nie zna pan pułkownik księdza Marka?

— Nie znam, skądżeby?

— Ale bo go mosanie wszyscy i w naszych stronach znają i czczą jako męża świątobliwego i osobliwszą łaską Boską zaszczyconego.

— Wiesz waszmość przecie, że ja nie jestem z tych stron. Cóż to za ksiądz Marek?

— Ksiądz Marek jest zakonnikiem, karmelitą z klasztoru Berdyczowskiego i powiadają ludzie, że przy obronie klasztoru cuda różne czynił. Ale cóż pomóc mógł przeciw zawziętości djabelskiej. Klasztor został zdobyty, a on onegdaj przejeżdżał przez mój futor, udając się do Baru, gdzie pan Kazimierz Pułaski gotuje się do dzielnej obrony.

Pułkownik stał z głową spuszczoną, z okiem wlepionem w ziemię i milczał, jakby nad czemś namyślał się ciężko. Wreszcie rzekł:

— A to niewesołe nowiny mi waszmość przynosisz. Hm! Widzę, że nam zamiast do Berdyczowa trzeba pomaszerować do Baru.

— Będzie to trudne — odparł szlachcic — bo wszystkie drogi są zajęte przez nieprzyjaciela i wojska królewskie pod komendą pana Branickiego, a też i hajdamaków całe watahy się włóczą i rzną i palą wszystko.

— O hajdamaków to mniejsza — rzekł pułkownik — nie oprą się oni moim dwudziestu spisom i prawdę rzekłszy, radbym się z nimi spotkać, by pomścić się krwi szlacheckiej i tylu niewiast i niewiniątek niecnie pomordowanych. Co zaś do pana Branickiego i nieprzyjaciela, to zobaczymy. Umiemy my też dobrze kluczyć, prawda Socha?

— Prawda, co niema być prawda, panie pułkowniku.

Pułkownik znowu zapatrzył się w ziemię i zamyślił, a tych jego myśli nie śmiał ani szlachcic, ani Socha zakłócić. Stali w milczeniu, spoglądając z uszanowaniem na komendanta. Ten nakoniec podniósł głowę i zapytał wyczekującego szlachcica:

— Daleko to jeszcze do waścinego futoru?

— Co ma być daleko, zaraz za Bohem.

— Więc trzeba się przez Boh przeprawić?

— Trzeba, inaczej nie można.

— Na czem się przeprawimy? są łodzie?

— Nie potrzeba łodzi, jest bród, co prawda po onegdajszej ulewie rzeka nieco przybrała, ale i tak wody nie będzie koniom jak po brzuchy.

— Możemy bezpiecznie przenocować w waścinym futorze? ludzie i konie są zmęczeni i potrzebują wypoczynku i wywczasu.

— Jużcić — zawahał się szlachcic — za zupełne bezpieczeństwo ręczyć nie mogę, bo któż się ukryć może przed watahami hajdamackiemi. Te zbóje mają lepszy węch od wyżłów, mosanie. Wszelako dotąd do mnie nie trafili. Futor znajduje się w głębokim jarze, tak że trzeba dobrze szukać, żeby go odnaleźć.

— A czy to waści pszenica? — spytał pułkownik, wskazując ręką na falującą zielonem zbożem niwę.

— Moja.

— Toć ona waszmość może zdradzić, bo hajdamacy,

ujrzawszy uprawną rolę, łacno się domyślą, że tu gdzieś blisko ludzie mieszkają.

— Tu wszędzie, aż po Hajsyn z jednej strony, a po Lipowiec z drugiej, ludzie sieją zboże, a choć co prawda rzadko się je da w całości zebrać, jednakże szkoda tak żyznej roli odłogiem zostawiać. Zdrady więc tu żadnej być nie może. Tu oddawna sieją pszenicę, bo w zbożu łacniej się ukryć przed wrogiem, jak w gołym stepie, i hajdamacy dobrze o tem wiedzą.

— Skoro tak, to przenocujemy w waścinym futorze, a jutro świtaniem wyruszymy dalej.

— Pozwoli mi pan pułkownik zrobić jedną uwagę? — spytał szlachcic z pewnem wahaniem.

Proszę, o co idzie?

— Jabym nie radził jutro świtaniem wyruszać; zawszeć to lepiej i bezpieczniej nocą maszerować i ludzie też i konie po chłodzie nie tak się spalą. Ot, przenocujcie waszmość panowie u mnie i cały dzień jutrzejszy przepędźcie, przyjmę was czem chata bogata, a jutro wieczorkiem, jak noc zapadnie, ruszycie z Bogiem na Tulczyn, Szpików, omijając Bracław, gdzie, słyszę, prezydjum jest nieprzyjacielskie.

Pułkownik wysłuchał tej, zapewne słusznej uwagi, ale nie wdając się w jej rozpoznawanie, rzekł:

— Zobaczymy! a teraz prowadź nas waszmość do siebie.

To powiedziawszy, zwrócił się do wachmistrza Sochy i przykazywał mu ludzi zbudzić i siadać na koń.

— Spisy w marszu niech wezmą w ręce i nisko je spuszczą, żeby ich widać nie było. Żywo! niech siadają na koń.

Nie upłynęło i dwóch pacierzy, gdy już wszyscy gotowi byli do marszu, taka tu, w tym małym oddziałku była sprawność, co się Bolkowi bardzo podobało. Przekonał się on później, że wszystko to byli ostatni oczajdu-

sze, na których zapewne wiele grzechów leżało, ale też dlatego byli to tacy żołnierze, że samego djabłaby się nie ulękli. Wszyscy byli już niemłodzi, oprócz Podlasiaka Kacpra Małynieckiego, który nie liczył sobie jak dwadzieścia kilka lat i zapewne podobnym wypadkiem jak Bolek i Jurek znalazł się wśród tych straceńców. Nic więc dziwnego, że sprawność wśród nich była doskonała, ile, że wachmistrz Socha dzierżył ich żelazną ręką i najmniejszego wykroczenia płazem nie puścił. Bali się go też jak ognia.

W mig tedy, rzec można, stanęli gotowi do marszu; jeden tylko Jurek, zbudzony ze snu, ociągał się, ziewał, i stękał, i mruczał, co zobaczywszy Socha, skoczył ku niemu z iskrzącemi się oczyma i z bizunem w ręku, wołając:

— A cóż ty sobie myślisz, skurczybucie jakiś? Zali chcesz zapoznać się z moim bizunem?

Widok tego bizuna tak magnetycznie oddziałał na Jurka, że w jednej chwili otrzeźwiał, konia przypoprężył i na terlicę skoczył. Ale był zmieszany mocno i ba-dzo niezadowolony.

Gdy już wyruszono pod przewodnictwem szlachcica, przerzynając się wąskiemi ścieżkami wśród łanów pszenicy, tak że nieraz musiano maszerować gęsiego, mówił do Bolka:

— Cóż on sobie myśli ten stary wyga. Czy to ja jestem żołnierz, żeby mi bizunem groził?

— A cóż jesteś, jeżeli nie żołnierz? — pytał Bolek.

— Żaden żołnierz, jeno wolontarjusz.

— To wszystko jedno i radzę ci ściśle wykonywać wszelkie przykazy Sochy, jeżeli nie chcesz spotkać się z jego bizunem.

Jurek mruknął niechętnie:

— Strasznie mi się to wszystko nie podoba. Ani to zjeść, ani się wyspać! ot wpadliśmy w biedę, że nie daj Boże.

Ale już zbliżano się do Bohu, którego bystre wody, nieco mętne od deszczów, z szumem toczyły się po dnie kamienistem, wśród głębokich i spadzistych brzegów, obrosłych gęsto wierzbami i olszyną, pełnych wesołego świergotu ptactwa i chłodu.

Oddział począł za przewodnictwem szlachcica spuszczać się ostrożnie na dół nad rzekę i przez nią gęsiego przechodzić.

ROZDZIAŁ XII

Jak Bolek rozżalił się, słuchając żałosnej pieśni konfederackiej.

Futor szachcica, podobnie jak pana Mieleszki, znajdował się w głębi przepaścistego wąwozu, czyli jaru, i także nazewnątrz, na płaszczyźnie, nie było najmniejszego znaku, że gdzieś w pobliżu kryje się mieszkanie ludzkie. Dopiero znalazłszy się na samej krawędzi wąwozu, spostrzegało się i dom i zabudowania gospodarskie, i sad, w tej chwili obficie pokryty białym i różowym kwieciem. Przez środek wąwozu przepływał strumyk i rozlewając się około domu w dość duży staw, wił się potem wąskim jarem i wpadał do pobliskiego Bohu.

Jednakże nie odrazu spuszczono się do wąwozu. Szlachcic przewodnik kluczył umyślnie, obchodził zdaleka, a ciągle gęsiego, i w odległości może ćwierci mili od swego mieszkania zjechał do wąwozu, przyczem zachowano następującą ostrożność. Na rozkaz pułkownika Dzierżka trzech ludzi zeszło z koni, i narwawszy pszenicy porobili z niej miotły; niemi zatarli wszelki ślad na suchej ścieżce, którą spuszczono się do jaru. Odtąd postępowano wzdłuż strumienia i wkońcu oddział, mocno utru-

dzony tym pochodem wśród skwaru słonecznego, dobrze już po południu dobił się nakoniec do dworku szlachcica, gdzie go czekał cień, chłód i spoczynek wygodny.

Konie pod cieniem drzew ustawiono wzdłuż płotu, rozkulbaczono, bo szlachcic gadał, że za dnia niema żadnego niebezpieczeństwa, nasypano im w torby obroku, a ludzie poczęli zażywać dobrze zasłużonego wczasu. Niebawem zarznięto kilka baranów, ugotowano mięso z krupami i posiłek miano obfity i dobry. Żołnierze najedli się do syta i, pokładłszy się na murawie w sadzie i koło koni, spali lub, siedząc i kurząc fajeczki, gwarzyli.

Za przykładem innych to samo zrobili Bolek i Jurek, ciągle niezadowolony, ciągle narzekający, za co kolega surowo go strofował, jednakże bez skutku. Ogarnęła ich w tym zaprzepaszczonym kącie świata wielka cisza i miły chłód; konie chrupały głośno obrok i oganiały się ogonami przed mnóstwem much; wiśnie i jabłonie kwitnące rozlewały dokoła upajającą woń; pszczoły z sąsiedniej pasieki brzęczeniem napełniały całe obejście, a na czystem, jak łza, niebie niekiedy ukazywał się orzeł, a za jego lotem biegł po ziemi, po zielonych łanach pszenicy, cień ruchliwy. Obaj chłopcy, znużeni marszem pod słońcem upalnem, zasnęli wkrótce mocnym snem.

Pierwszy obudził się Bolek pod wpływem przejmującego chłodu, który go dreszczem przejął. Otworzywszy oczy, ujrzał zupełną zmianę otoczenia. Słońce już miało się ku zachodowi, a tu, w głębokim jarze zaległ mrok szary. Ze stawu podnosiły się mgły zimne i wilgotne, leniwie rozwłócząc się wśród drzew sadu i co chwila chwytane przez wiatr, który się zerwał, rozbiegały się i nikły. Czyste dotąd niebo pokryło się czarnemi chmurami, zapowiadając noc ciemną i dżdżystą. Dawną, senną ciszę zastąpił szum i świst nieprzyjemny i szelest liści, szarpanych przez wicher. W oknach dworku zapalano światła, a konie pokładły

się na ziemi i drzemały cicho. Świat zrobił się ponury i smutny.

Bolek wstał i chcąc się rozgrzać nieco, bo wiatr był przejmujący, począł chodzić, a przedewszystkiem zaszedł do swego konia, żeby go napoić. Tu już większość konfederatów była na nogach i słyszał jak wachmistrz Socha rozkazywał:

— Zanocujemy tutaj, ale zachować pan pułkownik nakazuje jak największą ostrożność i czujność. Co dwie godziny sznurwach przy koniach ma się zmieniać. Ja sam dopilnuję tego. Czuj duch mospanie, bo niewiadomo co po stepie chodzi!

Gdy Bolek ruszył z koniem do stawu, zastał tam paru żołnierzy, a między nimi znanego już sobie Podlasiaka Małynieckiego. Stał on i gadał:

— Przeklęty kraj i tyle! Jest tu we dworze stara jakaś czarownica, która, gdym zaszedł do czeladnej, poczęła nade mną wydziwiać, aż włosy na głowie powstały.

— Cóż to takiego było? — spytał jego towarzysz.

— A cóż? Zacznie tedy ona baba ręce łamać i nuż lamentować: oj! oj! peda, zginiesz ty, braciszku, zginiesz! wszyscy zginiecie i Polska zginie! rozszarpią was kruki, wrony i tam, gdzieście byli panami, będzieta niewolnikami, gorzej psa z wami obchodzić się będą...

— Nie może być? tak gadała?

— A tak! pedała przytem, że step nocami jęczy, jakby żywy człowiek, że mogiły się otwierają i wychodzą z nich krwawe mary: czy ja wiem, co ona tam gadała, aż mię trwoga wzięła i uciekłem z czeladnej! Oj! źle! źle! Słyszę, wachmistrz każe sznurwacha co dwie godziny zmieniać i na baczności się mieć. Jak mnie postawią, to chyba zamrę ze strachu, bo nuż jaką marę mogilną obaczę? Jezu Chryste, jak sobie pomyślę o tem, to mię ciarki po skórze przechodzą.

Bolek, słuchając tych słów, uczuł się dziwnie wzruszonym, a choć sobie przypominał, jak ksiądz rektor Kostecki w szkole zawsze mówił, żeby żadnych strachów się nie bać, bo „sen mara a Bóg wiara“, jednakże opowiadanie Podlasiaka wzbudziło w nim obawę zabobonną. Sprzyjały temu posępne ciemności, jakie zapadały nad jarem, ponury świst wichru i mgła podnosząca się ze stawu, w której wszystkie przedmioty przybierały jakieś widmowe kształty, rozpływające się w przestrzeni, bez ściśle zakreślonych zarysów.

— Hm! — pomyślał sobie — a jeżeli Socha mnie naznaczy w nocy na wartę przy koniach, na sznurwacha, jak oni to nazywają, to co będzie? Nuż jaką marę krwawą zobaczę, albo usłyszę jęczenie stepu, o którem ta baba w czeladnej gadała? co wtedy zrobię?

Na myśl o tem czuł, jak mu włosy na głowie powstają i pot kroplisty a gorący na twarz występuje. Ale powoli odzyskiwał spokój i mówił sobie:

Naprzód niewiadomo czy mię Socha naznaczy na sznurwacha, a jeżeli naznaczy, to trudno. Przystałem do żołnierzy i powinienem być żołnierzem. Strachów niema na świecie, a owe opowiadania babskie to bajdy. Słyszał to kto, żeby step jęczał jak żywy człowiek. Przepędziliśmy tyle nocy w stepie razem z Jurkiem i żadnego jęczenia nie słyszeliśmy. To nie step, jeno wiatr świszczy między burzanami. Głupstwo! żołnierz jestem, idę walczyć za ojczyznę, mam szablę przy boku i wstyd jest bać się i wierzyć babskim gadaniom!

Tak sobie mówił, wracając z koniem. Gdy przyszedł na miejsce, ciemno już było zupełnie i usłyszał głos Sochy:

— Hej, a gdzie tu są owi dwaj młokosi, cośmy ich z sobą zabrali?

— Jestem — odezwał się Bolek.

— Ruszaj do dworku, pan pułkownik cię wzywa. A twój kamrat gdzie jest?

— Zaraz go poszukam.

— Obu was wzywa pan pułkownik.

Bolek poszedł więc szukać Jurka i znalazł go śpiącym w tem samem miejscu, gdzie się za dnia obaj położyli pod drzewem w sadzie. Pomimo przejmującego chłodem i wilgocią wiatru, Jurek chrapał aż miło. Bolek zbudził go i ociągającego się i stękającego powiódł do dworku. Tu pan pułkownik kazał im iść do izby czeladnej, gdzie na nich czeka żydek krawiec, który ma im wziąć miarę na mundury i uszyć przez noc i przez dzień jutrzejszy.

Bolek ucieszył się z tego bardzo, bo przykro mu było chodzić w podartym żupaniku i odróżniać się od innych żołnierzy, przytem jak teraz w nocy zimnej, chłód mu dokuczał. Z radością więc poszedł z Jurkiem do izby czeladnej, .znajdującej się na końcu dworku, od strony stawu i stajen i obór.

Była to duża izba, o niskim, czarnym pułapie, z ogromnym kominem w kącie, na którym tliła się gruba kłoda drzewa i cały stos burzanów zeschniętych. Nad kominem unosił się wielki okap, czarny od sadzy, lśniących się od ognia. Ogień ten źle oświecał izbę, po której po kątach włóczyły się posępne cienie, nadając całości i osobom w niej zgromadzonym wygląd fantastyczny.

Osób tych było kilka: ze trzy dziewki, kręcące się tu i owdzie, a przy kominie na ławie siedziała stara kobieta, napół oświecona ogniem, napół ukryta w ciemnościach. Jej twarz wyschła, pomarszczona, o nosie zakrzywionym, podobna była do jastrzębia. Głowę miała owiązaną jakąś szmatą czerwoną, z pod której wisiało kilka długich kosmyków skołtunowanych siwych włosów. Na odgłos wchodzących Bolka i Jurka wyciągnęła chudą, o długich palcach i dłuższych jeszcze brudnych paznog-

ciach rękę i zapytała głosem skrzeczącym i dygoczącym:

— Kto tu przyszedł?

Na to jedna z dziewek odrzekła:

— Ce! ta ktoże? żołniery, kondraty!

Stara, trzęsąc swą kościstą ręką, nuż wołać:

— Żołnierze! konfederaty! przepadli! zginęli! czuję trupa, widzę trupy. Słyszycie, jak ziemia jęczy! nasyciła się krwią lacką, nasyci się jeszcze więcej. Zgubili Polszu, zgubili!

Bolek nieco przerażony, nieco zdziwiony i podrażniony, zwłaszcza, że Jurek ze strachu schował się za niego, chcąc przerwać tę dziwną scenę, zawołał głośno:

— Gdzie tu jest żyd krawiec?

Z kąta, z ciemności wysunął się żydek mały, chuderlawy, z kozią, rudą bródką i rzekł:

— Jestem, panie żołnierzu!

I zbliżywszy się do obu młodzieńców, obejrzał ich od stóp do głów i spytał:

— Ny co? to może panyczom uszyć żupany?

— Tak.

— To dobrze, ja tu już dawno czekam, ja zaraz wezmę miarę i uszyję takie fajn żupany, że nawet sam król takie żupany nie ma. Tu wszyscy znają Mordkę z Bracławia. Kto mnie nie zna! mnie wszyscy znają, ja wszystkim panom, wojewodom robię żupany, żeby ja miał tyle szczęścia, ile ja żupanów uszył.

Cmokał językiem, kręcił się i, wydobywszy z kieszeni chałata kawałek taśmy, zabierał się do wzięcia miary, gdy widocznie podrażniony nieustannem skrzeczeniem starej wiedźmy z pod komina, zatrzymał się i zawołał:

— Oce! czego jejmość krzyczy? kto to słyszał takie niemądre gadanie! Niech jejmość będzie czycho, ja proszę! Na co takiego wymyślania? co komu z tegie przyjdzie! Niech jejmość będzie czycho!

I dziwna rzecz, na te słowa jejmość wistocie umilkła, skuliła się jakoś, czerwoną chustkę nacisnęła na głowę i tylko mruczała coś niechętnie pod nosem. Dziewki śmiały się głośno i gadały:

— Niesamowita!

Nakoniec Mordko, ciągle zalecając swój talent krawiecki, wziął miarę i zapewniając, że jutro na wieczór fajn żupany będą gotowe, uwolnił Bolka i Jurka, którzy z prawdziwą ulgą opuścili izbę czeladnią, tak przykre na nich wrażenie robiła postać i mowa tej starej pod kominem.

Na dworze już było zupełnie ciemno, ale wiatr znacznie osłabł, a nawet później zupełnie ustał, i zaległa ta senna, przygnębiająca cisza, będąca właściwością stepów ukrainnych, a z nią zrobiło się znacznie cieplej. Niebo wciąż było zasnute chmurami, mgła na dół opadła i było tak ciemno, że Bolek ledwie trafił do swego konia, a znalazłszy się przy nim, już stojąc przy łbie, nie widział nawet jego grzbietu. Żołnierze wystarali się o latarkę, z którą się kręcili, ale ta, zamiast oświecać, jeszcze bardziej zgęszczała ciemności.

Bolek, rozstrojony słowami starej czarownicy z izby czeladnej, milczał, ale Jurek, na którego słowa te silne wywarły wrażenie, mówił:

— Czy ty rozumiesz co z tego, co ta baba mówiła?

— Co tu rozumieć? baba ma widać pomieszanie zmysłów.

— Jednakże...

— Najlepiej nie mówmy o tem. Któż może przywiązywać wagę do słów jakiejś kobiety, niespełna rozumu. Oto lepiej zajmij się koniem, bo jak cię wachmistrz zobaczy nie przy koniu, to gotów bizunem cię skropić.

— O, za pozwoleniem! ja jestem przecie szlachcic, mnie bić nie wolno — zawołał dumnie Jurek.

— Akuratnie on się też tam będzie pytał o twoje

szlachectwo! Posłuchaj mojej rady i idź do konia, bo w wojsku wszyscy są żołnierzami równymi sobie i podległymi rozkazom przełożonych.

To rzekłszy, położył się przy swoim koniu i pogrążył się w myślach. Smutno mu jakoś było na duszy, a nieprzejrzane ciemności, otaczające go dokoła, nie sprzyjały temu, by ten smutek rozproszyć. Wszyscy żołnierze pokładli się także, przez jakiś czas gwarzyli między sobą o tem i o owem, wreszcie ucichli. Zapewne posnęli.

We dworze gorzało światło w oknach, od tego światła padała jasna smuga na dziedziniec i część koni, i od czasu do czasu w tem świetle ukazywał się konfederat wyznaczony na sznurwacha, chodzący tam i z powrotem krokiem miarowym.

Bolkowi powoli oczy kleiły się do snu; jak zwykle, ta cisza stepowa upajała go jak stare wino, i był już w stanie pół jawu, pół snu, gdy nagle, gdzieś na końcu rzędu przywiązanych do płotu koni, ozwał się nikły, stłumiony odgłos bandurki. Ktoś na niej brzdąkał, a jej melancholijne tony, rozpływające się jękliwym płaczem w tem głębokiem milczeniu nocy, w sam raz odpowiadało smutnemu usposobieniu chłopca.

Przypomniał on sobie, że za dnia widział u jednego z konfederatów przywiązaną do łęku kulbaki bandurkę, zapewne więc to on teraz poruszał jej struny. Był to mężczyzna już niemłody, liczący może koło pięćdziesięciu lat, chudy, zawiędły, ogorzały, z ogromnemi, szpakowatemi wąsami. Bolek doskonale sobie przypominał jego fizjognomję jastrzębią, surową, prawdziwie rycerską. Teraz zapewne siedzi gdzieś koło swego konia i w ciszy nocnej, może nie mogąc spać, skraca sobie czas wygrywaniem jakiejś smętnej, żałośliwej pieśni. Powoli bowiem, nieznacznie, z mętnych tonów, wywiązała się melodja tak

pełna żalu i rozpaczy jakiejś głuchej, że Bolkowi serce się ścisnęło i łzy mu do oczów spłynęły.

Wrażenie to spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy po przegraniu kilku akordów ozwał się drżący, stłumiony, nieuczony, niemniej przeto pełen silnego uczucia głos, śpiewający na tę nutę żałośliwą pieśń napół pobożną, napół świecką, której słowa wśród głuchego milczenia nocy wyraźnie dochodziły do Bolka. Stary konfederat śpiewał:

„Boże łaskawy, przyjmij płacz krwawy
Upadających ludzi.
Sercem wzdychamy, łzy wylewamy,
Niech prośba łaskę wzbudzi.
Polska korona, wielce strapiona,
Żebrze Twojej litości,
Jednejże matki, niezgodne dziatki
Szarpają jej wnętrzności.“

— Boże! — pomyślał sobie Bolek, słuchając tych słów skargi bolesnej — jakie to smutne!

Stary konfederat wstrzymał się na chwilę, jakby chwytał uchem, czy ta pieśń jego w tem niezakłóconem milczeniu stepowem, w tym kraju przesiąkniętym krwią ludzką, w tym wielkim gościńcu odwiecznych wędrówek najrozmaitszych ludów, pieśń skargi polskiej, przebiła sklepienie niebieskie, i czy położyła się skomląca i żebrząca u stóp Bożych. Potem znów brzęknął w struny bandurki i dalej tym samym dygoczącym głosem nucił:

„A nieprzyjaciel, wziął sobie na cel,
Ach nieszczęśliwa dola!
Z tak znamienitej Rzeczypospolitej
Uczynił dzikie pola.
Gdzież są rycerze, bitni żołnierze,
Gdzie męstwo ich, siła?
Z nimi pospołu poszła do dołu,
W grobie się położyła“.

Bolek nie mógł wytrzymać, taki mu żal i ból serce ścisnął, że powstał i postąpił parę kroków, żeby lepiej słyszeć słowa pieśni, które drżały tajemniczo, jękliwie niby dzwon zaduszny w tych nieprzejrzanych ciemnościach nocnych, w tem martwem milczeniu rozłogów stepowych. Zdawało się, że sama natura milczy i słucha i płacze z płaczem starego konfederata polskiego. A on śpiewał i modlił się dalej:

„Najwyższy Panie, mocny hetmanie
Dobądź oręża Twego,
Uśmierz pogany, ulecz nam rany
W sławie imienia Swego.
Bądź tarczą mocną, dzienną i nocną,
Załóż granice złemu;
Rozprosz tyrany, daj pożądany
Pokój dziedzictwu Twemu".

Śpiewający umilkł, a potem rozległo się kilka urwanych, niesfornych tonów, jakby struna pękła w narzędziu muzycznem, jakby po tej bolesnej skardze już słów i płaczu nie stało, i dawna senna cisza zaległa futor; tylko słychać znowu było miarowe kroki sznurwacha, który w czasie śpiewania starego wojownika był się gdzieś w ciemności zatrzymał i zapewne słuchał jękliwej pieśni polskiej.

Bolek stał jeszcze jakiś czas, jakby wsłuchiwał się w niknące dźwięki pieśni, jakby czekał, czy znowu konfederat o jastrzębiej twarzy ponownie jej nie rozpocznie, ale już była cisza, tylko od czasu do czasu szło od stepu jakieś głuche westchnienie, jakby ta wielka przestrzeń oddychała.

Z przykrem uczuciem smutku, tęsknoty i żalu Bolek położył się znowu i spojrzał w niebo. Było ciągle zachmurzone, czarne i bezgwiazdne. Przymknął oczy; nieustannie mu brzmiały w uszach smutne słowa o „znamienitej

Rzeczypospolitej", zmienionej w „dzikie pola"; nieustannie drżała nuta żałośliwa i jęcząca do Boga, „mocnego hetmana", by był „tarczą mocną, dzienną i nocną" jego ojczyzny.

Wśród tych dźwięków, uparcie tętniących mu w głowie, wśród przewijającej mu się przed oczami dziwacznej i fantastycznej postaci starej czarownicy z izby czeladnej, wśród brzmiącego mu ciągle jej głosu, skrzeczącego nieznośnie, jej przepowiedni o krwi i śmierci, o zaprzepaszczeniu ich wszystkich i Polski z nimi, oczy mu się skleiły i zasnął.

Obudziło go silne szarpnięcie i blask jakiś, który mu prosto w twarz świecił i drażnił go mocno. Napół śpiący otworzył oczy, ale je znowu przed tym blaskiem zamknął, bo jeszcze pod wpływem przykrych marzeń zdawało mu się, że jakieś widmo grobowe, o którem stara czarownica mówiła, powstało z mogiły gdzieś na stepie i stoi nad nim. Ale surowy, ostry głos przywrócił mu przytomność.

— Wstawaj! — mówił ten głos — pan wachmistrz przykazuje ci trzymać sznurwach.

I świcił mu ciągle latarką w oczy.

Bolek zerwał się na równe nogi, otrzeźwiał zupełnie i rzekł:

— Dobrze, już idę!

— Chodź do pana wachmistrza, on ci powie, co masz czynić.

To mówiąc, ów żołnierz z latarką poszedł przodem, a za nim Bolek przecierający kułakiem oczy i drżący z zimna, bo widocznie w nocy, jak to często bywa na wiosnę, chwycił przymrozek i chłód jakiś szedł od stepu. Idąc spojrzał na niebo. Chmury czarne, które je pokrywały wieczorem, znikły zupełnie i wszystkie gwiazdy na ciemnym szafirze błyszczały jaskrawo. Po ich drżącem

i jakby tlejącem świetle Bolek poznał, że już musi być dobrze po północku i świt zapewne będzie niedaleki.

Stary wachmistrz Socha siedział na ławie na ganku dworku i gdy Bolek do niego przyszedł, mówił swym głosem surowym:

— Masz acan pilnować koni, żeby się nie przestraszyły czego, bo w tym przeklętym kraju często to bywa; czasem chadza po stepach coś, co ludzi i zwierzęta trwogą napawa. Nadstawiaj też uszy pilnie, czy cię od stepu jakie głosy nie dojdą. Bacz, czy ziemia nie dudni, a jak co usłyszysz, dawaj mi znać. Ja tu w sieni wczasu na słomie zażywam. Ruszaj!

Więc Bolek poszedł i począł chodzić koło koni. Noc, choć teraz wygwiażdżona, była ciemna, tem ciemniejsza tu, w jarze głebokim śród drzew i zarośli. Słowa Sochy o czemś trwożącem ludzi i zwierzęta nocą w stepie nie dodawały mu odwagi, zwłaszcza, gdy sobie przypomniał o widmach krwawych, wydobywających się z grobów, o których mówiła wiedźma z izby czeladnej. Ale krzepił się jak mógł i dla rozgrzania się chodził prędko tam i z powrotem. Otaczała go cisza, tylko słychać było chrapanie śpiących żołnierzy i ciężki, syczący oddech koni.

Wtem, gdzieś niedaleko od Bolka rozległ się głos wachmistrza Sochy:

— A gdzie tu jest Zegrzda?

— Jestem! — odezwał się ktoś z pod płotu, a w głosie tym Bolek poznał śpiewającego przy bandurce konfederata.

— Ty stary żołnierzu nigdy nie śpisz — mówił Socha.

— Ba! czuwam jak żóraw i drzemię tylko na jedno oko. O co idzie?

— Nowiny są złe — mówił przyciszonym głosem Socha — dziś w nocy uciekł z futoru tutejszego jeden parobek. Pułkownik się obawia, czy czasem szelma nie po-

leciał albo do nieprzyjaciela, albo do hajdamaków, by dać znać o nas.

— To źle — odezwał się na to Zegrzda — ale czy hajdamacy są tu gdzie blisko?

— Szlachcic powiada, że jakaś wataha włóczy się w tej okolicy i napada na dwory i futory.

— Jużcić przecież hajdamaków nie mamy się czego bać — mówił Zegrzda — dwadzieścia parę naszych spis rozniesie setki tego hultajstwa.

— Pewno, że tak, ale ostrożność nie zawadzi. Pułkownik przykazuje, żebym, jak świt się zrobi, z waćpanem i jeszcze kimś trzecim, wyruszył na podjazd i języka przyniósł. Gotuj się tedy do drogi. Ja tymczasem się zdrzemnę.

— Jam zawżdy gotów, choćby zaraz.

Tak mówiąc, odsunęli się od Bolka i szli ku gankowi futoru, gwarząc ze sobą.

Wiadomość o możliwości napadu hajdamaków z jednej strony ucieszyła Bolka, bo chciał wypróbować swej szabli na karkach zbójów, którzy tyle ludzi wyrznęli w Humaniu, z drugiej strony przedstawiła mu ważność jego straży. Na jego głowie leżało teraz bezpieczeństwo obozu. Natężył też uszy i oczy, cały przemienił się w słuch niejako, tak że najmniejszy nawet szelest nie mógł ujść jego uwagi.

I dobrze zrobił, że słuchał, bo dzięki temu ocalił życie swoje i swych nowych towarzyszy.

ROZDZIAŁ XIII

w którym Bolek został niespodzianie bohaterem.

Zegrzda po rozmowie z Sochą wrócił na swoje legowisko, gdzieś koło koni w ciemności i teraz zapanowała w całym futorze niczem niezakłócona cisza. We dworku nawet, gdzie dotąd z okna czerwieniało światło, zgaszono je; widocznie i sam pułkownik się położył. Słychać było tylko chrapanie śpiących konfederatów, nieuchwytny rozgwar nocny natury, westchnienia jakieś głuche, szepty niezdecydowane.

Na Bolka cisza ta i samotność, w jakiej się ujrzał, bardzo przykre i przygnębiające robiła wrażenie. Co chwila zdawało mu się, że słyszy te jęki dziwne, o których stara czarownica z izby czeladnej mówiła; że widzi w ciemnościach, w głębi zarośli jaru, poruszające się jakieś postacie okropne.

Wytężał wzrok, nadstawiał uszów, drżał cały z zabobonnej trwogi, i niemałego musiał użyć wysiłku, by się opanować i wytrwać na swem stanowisku. Lecz ciągle przekonywał się, że owe westchnienia, jęki, szepty, szmery,

owe mary, przewalające się w ciemnościach, są tylko owocem jego podrażnionej wyobraźni.

Zimno przytem było coraz dokuczliwsze, a kontusik chłopca wiatrem podszyty i podarty mocno, nie mógł go ochronić należycie od przymrozku, który chwycił w nocy.

Zapewne świt był niedaleko, gdyż powietrze robiło się coraz ostrzejsze, a za ścianą gliniastą jaru, za sadem, niebo bielało powoli. Zresztą na zimno Bolek niewiele zważał, gdyż nieraz w czasie tego wartowania, w przywidzeniach, jakie go co jakiś czas opanowywały, kroplisty pot występował mu na czoło; chodził przytem żwawym krokiem, żeby nie skostnieć zupełnie. Noc w ogólności była dziwna, drżąca tysiącem odgłosów tajemniczych, jak wszystkie noce stepowe.

Chodził tak już może z dobrą godzinę i powoli oswajał się z temi nieokreślonemi dźwiękami ciszy stepowej, gdy nagle ucho jego uderzone zostało jakimś nowym, wyraźnie się różniącym od dotychczasowych, odgłosem.

Przystanął i słuch natężył.

Tak! nie myli się. Od stepu, gdzieś od południa płynie ku futorowi głucha fala niewyraźnych jakichś stąpań, niby dudnienie, niby pochód ludzi i koni. Znowu przypomniało mu się opowiadanie starej wiedźmy o trupach z mogił powstających i przechadzających się nocą po świecie, po tych nieobjętych okiem rozłogach ukrainnych. Zrazu więc zdawało mu się, że to nowe omamienie wyobraźni, ale nie! ziemia dudni głucho. Przyszło mu na myśl czyjeś opowiadanie, zasłyszane w dzieciństwie, że chcąc się przekonać, czy w oddali wojsko jakie nie idzie, najlepiej położyć się i przytknąć ucho do ziemi, a ta z pewnością oznajmi o tem. Co żywo więc rzucił się na ziemię i przyłożywszy ucho, słuchał.

I nie omylił się: po ziemi i po rosie szedł głuchy jeszcze, ale wyraźny odgłos jakby gromady ludzi i koni,

posuwających się widocznie w kierunku futoru, bo z każdą chwilą mocniejszy. Ziemia drżała i jęczała pod tem stąpaniem.

Teraz przyszły na myśl Bolkowi słowa wachmistrza Sochy o zbiegłym z futoru parobku i o hajdamakach, do których on zapewne się udał, żeby ich naprowadzić na garść śpiących konfederatów. Z pewnością to rezunie humańscy idą, podchodzą, skradają się nocą, jak hieny mordu chciwe, by się napoić krwią lacką.

Bolkowi na tę myśl włosy na głowie powstały i taka go opanowała trwoga, że przez chwilę nie miał sił podnieść się z ziemi, która coraz donośniej dawała znać o grożącem konfederatom niebezpieczeństwie. Skostniał prawie i słuchał owego złowrogiego dudnienia, które szło po stepie, niby zwiastun straszliwego nieszczęścia. Nareszcie owładnął sobą, zerwał się i nie namyślając się ani chwili, skoczył do sieni, do wachmistrza Sochy. Leżał on tutaj na wiązce słomy i zielska zeschniętego, rzuconego na ziemię, w kącie, a obok niego, słabem, migotliwem światłem błyskała latarka, i od czasu do czasu rzucała ruchliwe połyski na marsową twarz starego żołnierza. Twarz ta była tak groźną, że Bolek nie śmiał się go dotknąć, tylko głosem stłumionym od wzruszenia i cichym szepnął:

— Panie wachmistrzu!

Był przekonany, że to wezwanie pół szeptem wypowiedziane, które sobie wyrzucał i w duszy nazywał się głupcem i tchórzem, boć wobec wiszącego nad obozem niebezpieczeństwa nie czas było lękać się groźnego zwierzchnika, nie zbudzi go. Ale się omylił. Wachmistrz otworzył oczy, spojrzał na Bolka, usiadł na swem nędznem posłaniu i zapytał:

— Cóż takiego?

Chłopiec głosem przerywanym, chwytając powietrze, którego mu brakowało w piersiach, zawołał:

— Panie! hajdamaki idą!

Wachmistrz w jednej chwili stanął na nogach i pytał:

— Co, jak? gdzie? Gadaj wyraźnie.

— Ziemia dudni, jakby wielka kupa ludzi i koni szła.

Wachmistrz nic już nie odrzekł, tylko skoczył na podwórze. Tu zatrzymał się i roztworzywszy szeroko usta (w czem znać było starego żołnierza, bo tym sposobem lepiej mógł słyszeć), słuchał, słuchał, wreszcie pobiegł do żołnierzy i głosem stłumionym, ale wyraźnym, zawołał:

— Wstawać! do koni! do broni!

A byli to wszystko tacy wytrawni, zawsze gotowi, czujni jak żórawie wojacy, że choć rozkaz Sochy był wypowiedziany półgłosem, choć spali mocno, jednakże jak jeden człowiek zerwali się na równe nogi, poczęli konie kiełznać i kulbaczyć, a wszystko cicho, sprawnie, bez zamieszania i niepokoju. Aż serce rosło, patrząc na tych mężów, którzy, nie wiedząc jeszcze jakie niebezpieczeństwo im grozi, czuli je przecież i ze spokojem gotowali się stawić mu czoło.

Bolek, okulbaczywszy również swego konika, zaniepokojony, czy Jurek, który zwykle spał mocno, obudził się, skorzystał z tego, że wachmistrz pobiegł do dworku, zapewne do pułkownika, począł szukać swego towarzysza. Nie spał on już, bo go zbudził któryś z żołnierzy, ale był napół nieprzytomny, dzwonił zębami z zimna i trwogi i w żaden sposób nie mógł sobie dać rady z okulbaczeniem konia. To chwytał terlicę, to ją kładł na ziemię, i co chwila powtarzał:

— O laboga! laboga! co się stało?

Bolek dopomógł mu do okulbaczenia i okiełznania konia, zgromił go cichaczem surowo, tak że przecie Jurek przyszedł nieco do siebie.

Czas już był wielki, bo właśnie pułkownik Dzierżek ukazał się na dziedzińcu i komenderował:

— Na koń!

Wszyscy dosiedli koni. W ciemnościach, zgęszczających się teraz coraz bardziej, bo widocznie nad ranem mgła spadła na jar, niewyraźnemi sylwetkami, niby widma i cienie jakieś rozpływające się w przestrzeni, rysowali się ci dzielni, milczący żołnierze. Stali cisi i spokojni, niby posągi na starych grobowcach po cmentarzach i świątyniach polskich, a mgła nocna tak ich owijała, jak pył wiekowy i pajęczyna omotująca te trumny, groby i marmurowe posągi dawnych rycerzy.

Pułkownik tymczasem szeptał coś pocichu z wachmistrzem Sochą, poczem ten ostatni zawołał:

— Zegrzda!

Z szeregu wysunął się stary wojownik i rzekł swym niskim głosem:

— Jestem!

Widać było na bielejącem tle nieba jego figurę wysoką i chudą, z konfederatką sterczącą do góry, mglisto, w zamazanych konturach, rysującą się w ciemności. Socha mówił:

— Jedziemy!

— Dobrze.

I obaj ruszyli kłusem drogą wijącą się wśród jaru i znikli z przed oczów stojących wciąż w milczeniu konfederatów. Jeszcze jakiś czas słychać było stąpanie ich koni, ale wkrótce i to umilkło, i dawna, senna cisza zaległa dokoła. Powiał wiatr i rozpędził mgłę i stało się trochę widniej, tak że Bolek mógł rozpoznać wyniosłą postać pułkownika, stojącą przed czołem szeregu.

I nagle stało się coś dziwnego. Skądś, z poza dworku, z gęstwiny drzew, wypadła z szalonym pośpiechem jakaś chmura czarna i ruchliwa i przebiegła wzdłuż frontu konfederatów. Każdy na swej twarzy uczuł jakiś powiew chłodny i nieprzyjemny, woń jakąś trupią, cichy szelest, jakby płynących powietrzem na skrzydłach mar,

czy widm, czy duchów. Dreszcz tajemniczy przebiegł po wszystkich, a wrażenie zwiększyło się, gdy zaraz potem rozległo się gdzieś w sadzie posępne hukanie puszczyka. Ten i ów mimowoli przeżegnał się, nie mogąc zrozumieć, co znaczyła owa szeleszcząca głucho chmura czarna, która wzdłuż frontu przepłynęła, a Podlasiak Małyniecki syknął:

— Rozdziobią nas kruki, wrony, jak przepowiadała stara wiedźma.

Pułkownik widocznie usłyszał te słowa, bo jakkolwiek szeptem były wypowiedziane, zawołał głosem surowym:

— Milczeć mi tam w szeregach! To były nietoperze! świt już niedaleki, skoro gromadą leciały.

Wypowiedziawszy to, zakomenderował:

— Za mną, wolnym stępem!

Ruszono więc naprzód drogą wśród jaru, podnoszącą się powoli do góry, którą pojechał Socha z Zegrzdą. A gdy temu i owemu szabla zadzwoniła, pułkownik nakazał je przypiąć krótko, nie rozmawiać, konie trzymać ostro, cugle ściągnąć, słowem, zachować wielką cichość.

W miarę wydobywania się z jaru dawał się uczuwać chłodny wiatr, a z nim coraz wyraźniejszy odgłos zbliżającego się nieprzyjaciela.

Bolek odzyskał zupełny spokój i męstwo, nie bał się już żadnych widm, śmiał się z zabobonnej trwogi, która męczyła go w nocy, z nietoperzy i puszczyka, który tak przeraził Podlasiaka, ściskał tylko szablę, rad wypróbować jej ostrze na łbach hajdamackich.

Zato jadący obok niego Jurek przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy. Skulony na koniu, syczący co chwila: „o laboga! laboga! co to będzie!“, wzbudzał w Bolku śmiech i litość. Ale ponieważ pułkownik nakazał milczenie, więc nie śmiał się odezwać, by zgromić biednego

Jurka, przypomnieć mu króla Łokietka i dawnych rycerzy polskich.

Garść ta dwudziestu paru ludzi przesuwała się cicho, niby jakieś cienie wśród jaru i właśnie wydobywała się z niego na gładki step, gdy nagle, gdzieś dość jeszcze daleko rozległ się huk wystrzału, pochwycony przez wiatr i rozniesiony szeroko po tej niczem nieograniczonej przestrzeni. Zaraz też potem dały się słyszeć jakieś krzyki i ziemia zadudniała, jakby kilkadziesiąt koni rwało po niej z kopyta. A odgłos ten coraz był wyraźniejszy i coraz bliższy.

Pułkownik zawołał:

— Rysia, panowie!

I pędząc kłusem z brzękiem i chrzęstem, konfederaci wypadli z wąwozu na przestrzeń stepową. Świt szybko się robił i na tej niczem nieograniczonej i nieosłonionej płaszczyźnie już było napół widno, acz mgły jeszcze rozwłóczyły się leniwie. Na wschodzie niebo bielało, wiatr chłodny ziębił przenikliwie, a ptactwo rozpoczynało swą zwykłą modlitwę poranną. Skowronki wisiały już, trzepocąc skrzydłami w przestrzeni i świergotały wesoło. Z każdą chwilą było jaśniej na stepie.

Wypadający z jaru konfederaci z powodu mgły zrazu niewiele mogli zobaczyć, słychać było tylko coraz szybciej zbliżający się tętent cwałujących koni, i niebawem z pośrodka mgły i burzanów wynurzyły się najpierw dwie zielone konfederatki, potem głowy, wreszcie całe figury Sochy i Zegrzdy. Pędzili oni co koń wyskoczy, odcinając się szablami od najeżdżającej na nich gromady jeźdźców.

Jeźdźcy ci byli to kozacy z pułku Humańskiego pana Gonty, jak to zaraz poznał Bolek po ich granatowych kontuszach, żółtych żupanach i jołomach. Było ich może z piętnastu i zawzięcie dojeżdżali wachmistrza Sochę i Zegrzdę, których konie, zmęczone pochodami, ostatnich sił już dobywały.

Obaj ci dzielni i wytrawni żołnierze mężnie się bronili, i biada temu kozakowi, który zdołał ich dognać; zwłaszcza Zegrzda, zdradzieckim sztychem z pod lewego ramienia wtył wymierzonym, każdego śmiałka raził, tak że ochota mu odchodziła napadania powtórnie.

Z tem wszystkiem byliby obaj konfederaci ulegli zapewne przeważnej liczbie ścigających, gdyby nie ukazanie się pułkownika Dzierżka ze swoimi. W jednej chwili zrozumiał on położenie i krzyknął:

— Ognia z samopałów, a potem na spisy i szable tych hultajów!

Nagłe pojawienie się na stepie konfederatów z pułkownikiem Dzierżkiem odrazu ostudziło zapał hajdamaków. Poczęli wstrzymywać konie, ten i ów nawet zawracał, gdy rozległ się huk i kule jak osy wpadły między nich. Co prawda, niewiele im zaszkodziły, jako źle wymierzone z kulbaki w wyciągniętym kłusie, tak że tylko jeden koń z hajdamaką się obalił, którego zawracający Zegrzda, swą suchą, kościstą ręką schwycił za osełedec i choć się zbój szarpał, trzymał dzielnie.

Zaraz też potem rozległo się potężne: „Jezus! Marja! Józef!" i konfederaci z pułkownikiem Dzierżkiem rzucili się na zmieszanych rezuniów. Ci oczywiście nie czekali, ale poczęli uciekać co koń wyskoczy, strzelając w biegu za siebie z janczarek, ale już im na karkach siedzieli wojownicy polscy. Podlasiak Małyniecki zapomniał o przepowiedniach starej czarownicy z futoru, i wysforowawszy się naprzód na swym chudym co prawda, ale śmigłym kasztanie, co chwila dopadał któregoś hajdamakę i spisą wysadzał go z kulbaki.

Tuż za nim, a nawet później przed nim, cwałował Bolek, mając pod sobą dobrego, niezmęczonego konika, i jakoś zdołał jednem cięciem swej szabli zsadzić z siodła hajdamakę. Rozgrzała się w nim dobra stara krew polska,

oczy roziskrzyły zapałem, leciał jak szalony, dysząc jeno żądzą zemsty na hajdamakach za ich mordy ludzi niewinnych.

Jurek również nabrał odwagi i, dobywszy szabli, pędził za innymi, ale ponieważ jego terlica była w opłakanym stanie i dokuczała mu mocno, więc nie bardzo grzał swego myszatego konika, nie pragnął wcale krwi, ale zato dopomagał wachmistrzowi i Zegrzdzie, których konie zmęczone, nie były w stanie ścigać uciekających w wiązaniu dwóch jeńców. Jeden z nich był to ten, któremu strzały konfederatów ubiły konia i którego pan Zegrzda wziął do niewoli. Był to stary, może pięćdziesięcioletni kozak, szpakowaty, z wąsem obwisłym i twarzą surową. Wzięty, stał milczący, poważny, niewzruszony, tylko małe jego oczy, głęboko osadzone, biegały niespokojnie dokoła.

— Pójdziesz, zbóju, na pal! — mówił do niego Zegrzda.

— *Raz maty rodyła* — mruknął i odtąd ani słówka nie pisnął.

Drugi był to hajdamaka, którego Kacper Małyniecki spisą zsadził z siodła. Był młodszy, o dzikiem wejrzeniu, a żupan i kontusz miał podarty i w wielu miejscach widać na nich było rdzawe plamy, zapewne od krwi pochodzące. Zegrzda, wskazując na te plamy, rzekł:

— Rezałeś, sobaczy synu?

— Rezał ja Lachiw i panow i židow i...

Chciał coś jeszcze mówić, ale mu Zegrzda przerwał:

— Pójdziesz na pal za krew ludzką niewinnie przelaną. Dużoś ludzi pomordował?

— Kolibże to liudi, a to lachy — mówił zbój ochrypłym głosem, uśmiechając się przytem.

— Pójdziesz i ty na pal!

Tymczasem gdy tutaj Jurek z Sochą i Zegrzą zajmowali się wiązaniem jeńców, tam na stepie zażarty pościg

uciekających rezuniów trwał dalej. Kilku w tym pościgu zabito, ale reszta, mając lepsze konie, umykała dalej.

Konfederaci w zapale ostatnich sił dobywali, gdy nagle ujrzeli przed sobą, w niewielkiem zagłębieniu nad rzeczką, w tak zwanej na Ukrainie „bałce", ogromny, może z paruset ludzi złożony tłum pieszych rezuniów, wyłącznie prawie chłopów. Uzbrojeni oni byli najrozmaiciej. Jedn mieli kosy „na prawiec", t. j. na sztorc umocowane, inni pałki gwoździami nabijane, inni proste kije na końcu zaostrzone i w ogniu osmolone, inni jeszcze szczęki końskie do drągów przymocowane, widły i spisy. Tłum ten różnobarwny, napół pijany, spoczywał spokojnie nad strumykiem, większa połowa jeszcze spała, ogniska palone przez noc dogorywały i dym z nich leniwie się rozwłóczył po stepie.

Dzień się już na dobre zrobił. Pół słońca czerwonego jak krew wychyliło się z poza horyzontu, całe niebo gorzało złotem i purpurą, step brzmiał świergotem ptactwa i tysiącem odgłosów; poranek był pełen świeżości i radości życia, ciszy budzącej się do życia natury, którą niestety! zakłócić miały ludzkie namiętności.

W tę gromadę, w spokojnym spoczynku pogrążoną i niczego złego się nie spodziewającą, nagle wpadła zdyszana, przerażona wataha uciekających hajdamaków, a za nimi tuż, tuż Podlasiak, Bolek, pułkownik Dzierżek i reszta konfederatów. Spienione konie poczęły tratować nagle zrywającą się ze strasznym wrzaskiem rozpaczy gromadę, a już Podlasiak, porzuciwszy spisę, rąbał szablą na prawo i lewo, w czem mu Bolek dzielnie dopomagał. W tejże chwili rozległ się okropny krzyk:

— Ludi spasajteś!

I wszystko, co nie padło pod mieczem i spisami, co zerwać się na nogi mogło, poczęło pierzchać na prawo i lewo, tłoczyć się, deptać nawzajem, skakać w strumień

i uciekać w szalonym popłochu, rzucać kosy, pałki, widły, szczęki końskie. Niektórzy chcieli się bronić, ale padali zaraz pod ciężkiemi ciosami rozgrzanych, oślepionych walką konfederatów.

Nie upłynęło i dwóch pacierzy, gdy na miejscu obozowiska hajdamackiego nie było żywej duszy. Nurzało się tylko we krwi kilkanaście trupów, walały się rozmaite bronie, stosy bogatych rzeczy, zrabowanych widocznie po domach polskich, które pozostali na miejscu konfederaci przeglądali i ładowali na swe konie. Reszta, która była puściła się w pościg za uciekającymi rezuniami, a między nimi Bolek, wracała pojedyńczo, po dwóch, po trzech, zmęczona, zbryzgana krwią, kurzem i potem okryta.

Pułkownik Dzierżek kazał trąbić na zbór i niebawem wszyscy się zeszli cali i zdrowi, prócz Podlasiaka, którego jakiś hajdamaka pałką nabijaną zranił w lewe ramię, ale dość lekko, rozdarł mu tylko węgierkę i podrapał mocno skórę. Stękał on i narzekał, bo był niewytrzymały na ból, z czego Bolek się śmiał i szydził potrochu z dzielnego skąd inąd wojaka, ale bardzo ograniczonego umysłowo.

Wracano więc do futoru w wesołem usposobieniu, wśród śpiewów i żartów, bo triumf był zupełny. Powoli jednak gdy się nad tem niespodziewanem zwycięstwem zastanawiano bliżej, uważać je poczęto za cud nieomal, zważywszy, że dwudziestu niespełna ludzi (bo trzech: Sccha, Zegrzda i Jurek, wcale w boju udziału nie brali) rozpędziło i poraziło watahę, złożoną przeszło z dwustu hajdamaków.

Ogromnie się też w oczach wszystkich podniosło znaczenie Bolka. Dotąd traktowano go w obozie jako młokosa, jako wyrostka, z którego zczasem może wyrobić się dzielny człowiek i żołnierz, ale który teraz jest sobie zwykłym chłopakiem, lubiącym szabelkę i konia, nic więcej. Teraz jednak przekonano się, że ten chłopak więcej wart, niż niejeden stary żołnierz.

On to bowiem, nie kto inny, dzięki zwej czujności, ostrzegł obóz o zbliżaniu się w nocy hajdamaków, on nakoniec razem z Podlasiakiem pierwszy wysforował się na czoło i rąbał dzielnie na prawo i lewo.

Więc wszyscy poczęli Bolka lepiej uważać, a sam pan pułkownik Dzierżek nie szczędził mu głośnych pochwał i obiecywał, że jak jeno przybędą do Baru, zaraz uwiadomi o czynach Bolka pana regimentarza Pułaskiego

Bolkowi bardzo pochlebiały te pochwały, cieszył się niemi i rad im był, ale w duszy sobie mówił, że znowu na nie tak bardzo nie zasługuje. Bo ostatecznie cóż on zrobił? Że ostrzegł obóz o zbliżaniu się rezuniów? To każdyby spełnił, a jego to szczęście, że właśnie wtedy stał na warcie. Owszem, przyznawał się przed sobą, że nic innego, tylko strach, jakim był wtedy przejęty, tak jego słuch zaostrzył, że zauważył dalekie dudnienie ludzi i koni na stepie. Gdyby nie ten strach, nie noc ciemna, nie zabobonna trwoga przed marami, o których prawiła stara wiedźma z izby czeladniej, z pewnością nie byłby słuchał tak bacznie, nie zauważyłby zbliżenia się rezuniów i nie ostrzegłby o tem starego Sochy.

Co się zaś tyczy tego, że biegł na przodzie innych, to przyznawał się przed sobą, że największa w tem zasługa jego konika, który, wypoczęty, dobrze odżywiany, niezmęczony dalekiemi marszami, młody, więc ognisty, z natury rzeczy musiał wyprzedzić wycieńczone, stare szkapy innych konfederatów. Coprawda, Bolek nie myślał powstrzymywać swego konika i nie powstrzymywał go wcale, bo rad był bitwie, ale to, że, lecąc na przodzie, rąbał na prawo i lewo, to już nie jest żadną zasługą, bo gdyby nie rąbał, toby jego zarąbano.

Oczywiście, Bolek z temi myślami nie wydawał się wcale i jako młody chętnie napawał się dymem pochwał, jakiemi go obsypywano, wesoło też wracał do futoru. Tu

już w zupełnym spokoju i bezpieczeństwie rozłożono się na wygodny, całodzienny spoczynek, a właściciel znów kazał zarznąć parę baranów. Gotowano też dla wygłodzonych wojowników obfitą strawę, choć w kuchni po dawnemu stara wiedźma dziwy wygadywała i zapowiadała zupełne niepowodzenie konfederatom.

Nikt jednak teraz na to nie zważał, każdy rad był z odniesionego zwycięstwa nad hajdamakami i pełen najlepszych myśli na przyszłość.

ROZDZIAŁ XIV

w którym Bolek dowiaduje się co to była konfederacja barska.

Po południu tegoż dnia, gdy większość konfederatów odpoczywała w cieniu lip, bo dzień był skwarny, Bolek usłyszawszy, że stary Zegrzda, gdzieś w sadzie brządka na swej bandurce i dygocącym głosem poczyna nucić melancholijną pieśń konfederacką, zbliżył się do niego, by ją lepiej usłyszeć. Zawiędły ten wojak siedział w głębi sadu, na miękkiej murawie, pod ogromną rozłożystą jabłonią, całą różową i białą od kwiecia, brzęczącą rojem pszczół, które się do niej zbiegały.

Stary, zobaczywszy Bolka, który usiadł sobie nieopodal skromnie na trawie, rzekł:

— To jespan jesteś, który się dzisiaj tak dziarsko spisałeś?

— A ja... ale proszę waszmości, cóż w tem nadzwyczajnego? Spełniłem tylko swoją powinność.

— Hm! — mruknął Zegrzda — chwali się kawalerowi jego skromność, bo pyszni, jak powiada Pismo święte, nie będą wpuszczeni do Królestwa niebieskiego.

Umilkł, brzęknął po strunach bandurki i po chwili spytał:

— A jak to kawalera zowią?

— Wróblewski się nazywam.

— Z którychże to Wróblewskich, bo u nas w Polsce są i Wróblewscy Wielkopolscy, są i na Mazurach, są i w sandomierskiem i na Litwie i Ukrainie...

— Jam jest z Ukrainy.

— Nie znam. Znałem jeno mazurskich Wróblewskich, bom to ja sam Mazur. A czemu to kawaler nie przy koniu swoim?

— Cóż? oporządziłem go, napoiłem, nasypałem mu owsa, więc czegóż mam siedzieć przy nim? Zasłyszawszy, że waszmość pan śpiewa tę żałośliwą piosnkę o Rzeczypospolitej, przyszedłem jej posłuchać.

— Podoba się kawalerowi?

— Bardzo, jeno okrutnie smutna.

— Ba! zali ma się czego Polska weselić? zali zmutek nie płynie po niej od Dniepru po Wartę? Jakże to w takiej ruinie się weselić?

— Może to i tak jak waszmość mówi, ale widzi mi się, niema się czego znów tak bardzo smucić. Nie rozniesliśmy to dzisiaj na naszych szablach hajdamaków?

Zegrzda machnął pogardliwie ręką.

— Żeby to jeno z hajdamakami przyszło walczyć, to byłoby pół biedy. Ale Rzeczpospolita ma innych, o wiele sroższych nieprzyjaciół, a z tymi walka jest trudna i krwawa. Ale Bóg da, że i im może poradzimy i znowu Rzeczpospolita zajaśnieje w dawnym, Jagiellońskim blasku. Nie słyszałeś to kawaler, że szlachta wszędzie się konfederuje i siada na koń?...

— Nie słyszałem.

To rzekłszy, Bolek przybliżył się do starego i rzekł:

— Powiedzże mi waszmość, jak to jest z tą konfederacją, bo my tam w Humaniu niewiele o niej słyszeliśmy

i całe nie wiem, o co idzie. Powiadają, że to przeciw królowi Jegomości...

— Hm! — mruknął Zegrzda — przystał do konfederatów, a nie wie o co idzie. Ale ja ci to, młodzieńcze, powiem, bo mi się podobasz, choć z Ukrainy idziesz, a szlachta na Ukrainie, prawdę rzekłszy, licha warta: albo to wielkie pany, albo ekonomczuki i podstarościowie, a wszyscy odrzychłopscy, jak mawiał ksiądz Skarga. Przeciw królowi! żeby to tylko przeciw królowi, to byłoby nic, bobyśmy, mospanie, tego ekonomskiego synka z tronu zrzucili, a przyzwali króla Sasa, jako z takiego rodu, który już od lat kilkudziesięciu na naszym tronie siedział. Ale tu nie o króla idzie, jeno o Rzeczpospolitą i o jej całość, o wiarę naszą świętą...

— O wiarę waszmość powiadasz! jakże to?

— A tak! nie słyszałeś to kawaler, że z Warszawy, ze stolicy Rzeczypospolitej poseł Imperatorowej kazał porwać biskupa krakowskiego, księdza Sołtyka i wywiózł go tam gdzieś na kraniec świata. Nie słyszałeś, że w Radomiu stanęła ohydna konfederacja równająca heretyków, farmazonów i innych pludrów ze szlachtą katolicką?

— Nie słyszałem.

— To tam widzę w Humaniu niewiele kawalera uczono. Ale i nie dziwno, na Ukrainie niewiele myślą o Rzeczypospolitej, a jeno o tem, by skórę z chłopów zdzierać i worki swoje talarami napychać. Znam ja ich, tych panków i ekonomczuków ukraińskich! Ale na szczęście są jeszcze w naszej Polsce dzielne serca. Ot i pan starosta warecki, pan Józef Pułaski, naprzykład. Jego serce zabolało na widok tego, co się dzieje w Rzeczypospolitej, że obcy w niej rządzą, biskupów i senatorów wywożą, wiarę świętą postponują i heretykom wolności dają. On i jegomość ksiądz biskup kijowski, Krasiński, godni, by ich imiona w marmurze ryć, zjechali w lutym

tego roku do Baru, zwołali szlachtę i zawiązali konfederację przy wierze świętej katolickiej, całości Rzeczypospolitej i wolności szlacheckiej. Wielu szlachty zaraz się z nimi złączyło, jak pan Michał Krasiński, podkomorzy różański, nasz pan mazurski, którego obrano jeneralnym marszałkiem.

— Cóż to jest jeneralny marszałek?

— Nie wiesz kawaler? czegóż was tam w Humaniu ojcowie bazyljanie uczyli, skoro nie wiesz co to jest marszałek jeneralny? Żali nie pierwszą nauką dla szlachcica polskiego winna być nauka o prawach i konstytucji Rzeczypospolitej?

— Pewno że tak, ale ojcowie nas tego nie uczyli — odparł Bolek.

— To źle, bardzo źle. Psu na budę, mospanie, taka nauka się zda, która nie powiada, co to są prawa Rzeczypospolitej. Ale skoro już gawędzimy sobie tutaj w cieniu drzew i przysłuchujemy się, jako pracowite pszczółki miód zbierają, to ja kawalera w krótkości z tem obznajmię, bo mi się podobasz i widziałem cię dzisiaj, jakeś szablą robił, co jest dowodem, jako masz w sobie dobrą krew polską. Słuchajże tedy.

To rzekłszy, Zegrzda poprawił się na murawie, oparł plecami o jabłoń i mówił:

— Musieli ojcowie bazyljanie uczyć kawalera o dawnych dziejach rzymskich i opowiadać co to był dyktator w starożytnej rzeczypospolitej rzymskiej?

— A uczyli... wiem co to był dyktator. To był taki mąż, któremu w dniach klęski nad Rzeczpospolitą oddawano nieograniczoną władzę, jak naprzykład, kiedy on hetman kartagiński, Hannibal...

— Otóż to! otóż to... widzę, że kawalera w szkołach humańskich nie w ciemię bito, ale tam gdzie należy, skoro cię nauczono historji rzymskiej. Szkoda tylko, że cię nie

nauczono historji polskiej. Wiedzże tedy, że marszałek jeneralny w konfederacji, jest jakoby ów dyktator rzymski, który wszystkiem rządzi, jest królem, hetmanem, sejmem i w swej personie całą Rzeczpospolitą imaginuje. Rozumieszże teraz?

— Rozumiem.

— Otóż to... takim marszałkiem obrała sobie szlachta pana podkomorzego różańskiego, co nam, Mazurom, bardzo podchlebiło, bo trzeba ci wiedzieć, że Krasińscy to są nasi, Mazurowie, od wieków u nas siedzą. Regimentarzem zasie... ale bo może kawaler nie wiesz także, co to jest regimentarz w konfederacji...

— Regimentarz... regimentarz...

— Widzę, że nie wiesz. Jacy to tam z was wyrosną zczasem obywatele... Boże, odpuść! Uczą ich jakichś tam farmazońskich nauk, a nie powiadają tego, co każdy szlachcic polski wiedzieć powinien. Inaczej bywało za ojców jezuitów.

Bolek nic na to nie odpowiedział, choć wiedział dobrze, że dawniej, gdy szkoły były w rękach jezuickich, wychodziła z nich młodzież ciemna jak tabaka w rogu, fanatycznie usposobiona i nic nie umiejąca. Ale nie chciał się sprzeczać ze starym Zegrzdą, który mu imponował swym wzrostem, swą orlą twarzą, i który mógł go objaśnić jak najdokładniej o celach, zamiarach, nadziejach i sile konfederacji. Milczał więc, a Zegrzda dalej prawił.

— Wiedzże tedy, młodzieńcze, że regimentarz w konfederacji jest niby najwyższy hetman wszystkiego wojska konfederackiego. On je prowadzi do boju, on nad niem rząd sprawuje i buławę dzierży w ręku. Takim regimentarzem obrała szlachta w Barze jaśnie wielmożnego pana starostę wareckiego, Józefa Pułaskiego z Pułazia. Dzielny to pan...

Tu Zegrzda umilkł, popatrzył jak pszczoły miód wysysały ze słodkich kielichów kwiecia jabłoni i o czemś

długo myślał, tak że Bolek, rad dowiedzieć się czegoś więcej, spytał:

— A nasz komendant, pan pułkownik Dzierżek, też jest regimentarzem, co?

— Ot głupstwo kawaler palnąłeś — odrzekł Zegrzda — pan pułkownik Dzierżek jest pułkownikiem i koniec. Regimentarzem! ho! ho! daleko jemu do regimentarstwa. Dzielny to rycerz i przyjaciel pana Kazimierza Pułaskiego, ale nie regimentarz...

— A któż jest pan Kazimierz Pułaski?

— Pan Kazimierz jest synem jaśnie wielmożnego starosty wareckiego, pana Józefa, regimentarza konfederacji naszej.

Znowu zapanowało milczenie, a Bolek, który z niezmierną ciekawością słuchał tego, co stary Zegrzda mówił o konfederacji i konfederatach, po niejakiej chwili, z wielką coprawda nieśmiałością, zapytał:

— Słyszałem, że pan pułkownik Dzierżek z waćpanami jeździł do Krymu, do chana tatarskiego...

— Któż to jespanu powiadał?

— Pan Kacper Małyniecki.

— Małyniecki? ten gołowąsy Podlasiak?

— Tak.

— Babski on ma język, ale to już wszyscy Podlasiaki są tacy.

— Czy to sekret?

— Sekret, nie sekret, ale czego gadać? Ojcowie jezuici nas uczyli, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Ja się przez całe życie tej mądrej maksymy trzymam i zawżdy dobrze na tem wychodzę.

Zatrzymał się chwilę i dalej mówił:

— Żebyś jednak jespan nie wyobrażał sobie czego złego i niepotrzebnych plotek nie robił, to powiem jespanowi, jak to było z tą podróżą krymską do chana tatar-

skiego, który, mówiąc między nami, jest człowiek grzeczny i wielki przyjaciel Polaków. Ale cóż? On niewiele może. Naprzód ma tam swoich różnych krewniaków, którzy go chcą z chaństwa zrzucić i opędzać się im musi, a potem on jest hołdownikiem cesarza tureckiego, który w Stambule siedzi i rządzi całem pogaństwem muzułmańskiem. Chan nie może tedy nikomu wojny wypowiadać bez pozwolenia cesarza tureckiego, ale ma on też swoich popleczników i w samym Stambule, którzy go bronią, kiedy trzeba, i łaski mu różne u sułtana wyjednywają.

— Dziwy! dziwy! — wołał Bolek, zdumiony tem co słyszał.

— Ba! mój kawalerze, żebyś ty widział sam Stambuł i cesarza tureckiego w całej jego potędze, tobyś dopiero zdumiał. Bo powiadam tobie, niema podobno na świecie większej potencji jak turecka i większych bogactw. Tak to już Pan Bóg zrobił, by świat chrześcijański wstydem gorzał, że dał się niecnemu temu bisurmaństwu zagnieździć u swego progu.

Byłby zapewne stary Zegrzda dalej rozwodził się o potędze tureckiej, gdyby nie to, że Bolek, pragnąc się czegoś więcej dowiedzieć o konfederacji, przerwał mu, pytając:

Ale cóż ta podróż waszmościów z panem pułkownikiem Dzierżkiem do chana tatarskiego?

— A cóż? jeździliśmy do niego, przyjął nas bardzo gościnnie... naród to cale dobry te Tatary...

— Tak... ale miał mi waszmość pan powiedzieć, po co tam jeździliście.

— Powiem, czemu nie mam powiedzieć? nie żaden to sekret, a dobrze jest, byś jespan wiedział co się święci, kiedy stanąłeś w obronie oprymowanej ojczyzny. Otóż to tak było. Pan Kazimierz Pułaski, który też jest młodzieniec rycerskiego ducha, na czele tysiąca przeszło kon-

federatów zajął był wielki klasztor Berdyczowski... Słyszałeś jespan o klasztorze Berdyczowskim?

— Słyszałem, byłem tam nawet raz z mamą na odpuście, na Matkę Boską Zielną. Piękny klasztor i jest jakoby forteca, i harmaty też mają zakonnicy!...

— Otóż to. Mieliśmy tam się bronić do upadłego, bo i nasza chorągiew pana pułkownika Dzierżka jest pod komendą pana Kazimierza Pułaskiego. Cóż, kiedy niewiadomo czy znów się z nim złączymy.

— Dlaczego?

— Dlatego, że ogromna potencja nieprzyjacielska, słyszę, napadła na Berdyczów i choć pan Kazimierz Pułaski mężnie się bronił, ulec wkońcu musiał przemocy i Berdyczów dostał się do rąk nieprzyjacielskich.

— A cóż się stało z konfederatami?

— Dokładnie to ja nie wiem, bom tam nie był, ale powiadają ludzie, że pan Kazimierz, jako przystoi na rycerza, z garścią swoich wstępnym bojem przerznął się przez nieprzyjaciół i poszedł gdzieś na Podole...

— To my nie do niego idziemy?

— A nie, gdzież go szukać? My pójdziemy do Baru, gdzie recimentuje pan starosta warecki, pan podkomorzy różański i inni panowie, i który też jest podobno otoczony przez wojska nieprzyjacielskie.

— Jakże się więc tam dostaniemy?

— Albo to u nas niema szabel i spis? Nie moja to zresztą rzecz, ani też jespana, od tego jest pan pułkownik Dzierżek, który ma komendę nad nami. Co on postanowi, to zrobimy.

A jak się nie dostaniemy do Baru?

— Musimy się dostać... chociaż kto wie... może się i nie dostaniemy, bo to tam, słyszę, stoi wielkie wojsko nieprzyjacielskie, jest też i pan Ksawery Branicki z woj-

skiem królewskiem, który jako niegodny zdrajca miecz wbija w serce własnej matki ojczyzny.

— Więc cóż będzie, jak się nie dostaniemy do Baru?

— Nie wiem, nie moja w tem głowa, jeno pana pułkownika Dzierżka, ale żeby tak na mnie, tobym wiedział co zrobić.

— Cóżbyś waszmość pan zrobił?

— Co? pomaszerowałbym do Podhajec. Ten szlachcic, w którego futorze teraz sobie słodko wypoczywamy, powiadał mi jako rzecz pewną, że pan Joachim Potocki, podczaszy Litewski, mąż dzielny, przystąpił też do konfederacji i jako krewny jaśnie wielmożnego pana hetmana wielkiego koronnego Klemensa Branickiego, bo ma za żonę jego siostrzenicę, otrzymał z rąk tegoż hetmana ordynans do wszystkich wojsk koronnych, by się łączyły z konfederatami. Jakoż, słyszę, połączył się z panem Potockim pułk wojewody krakowskiego i zajęli miasteczko Podhajce nad rzeką Kropją, co jest w województwie ruskiem. Miasto to obwiedzione jest murem i można tam długo się bronić. Otóż tedy, żeby tak na mnie, to skorobym się nie mógł dostać do Baru, to zarazbym rzucił się ku Podhajcom do pana podkomorzego Potockiego... ale, powtarzam, nie moja to rzecz, jeno pana pułkownika Dzierżka, co on postanowi, to my zrobimy.

Wszystkie te wiadomości sprawiły prawdziwy zamęt w głowie Bolka; siedział, słuchał i milczał, a gdy imćpan Zegrzda przestał mówić i wpatrywał się z osobliwą ciekawością jak pszczółki zbiegały się do wonnego kwiecia jabłoni i wysysały z niego miód, Bolek począł powoli wszystkie te wiadomości porządkować w swej głowie. Otwierał się przed nim niejako świat nowy i nowe widoki, i choć zmartwiony był brakiem wiadomości o matce i drżał na myśl, że może padła ofiarą rzezi hajdamackiej, jednakże rad był bardzo, że mu los pozwolił przystać do konfederatów i walczyć z nimi w obronie ojczyzny i wiary.

Przyrzekał sobie w głębi duszy, że wszelkie trudy i niewywczasy zniesie, bo to przecie dla miłej ojczyzny.

I tak siedzieli obaj w cieniu starej jabłoni, wonią jej kwiecia oddychając, wsłuchując się w szmer pracowitych pszczółek, obsypywani białemi płatkami, które wiatr strącał z kwitnącego drzewa, obaj zamyśleni. Zegrzda o dawnych i czekających go bojach, Bolek o tem, co słyszał, o panach Pułaskich, panach Krasińskich, panu Potockim, co w Podhajcach osiadł i bronić się tam zamierza do upadłego, o Barze oblężonym, zaprzańcu Branickim i o tem nakoniec, czy potrafią we dwadzieścia kilka koni przedrzeć się do tego miasteczka. I tak myśląc przypomniał sobie, że mu Zegrzda nie dokończył opowiadania o wyprawie do Krymu do chana tatarskiego. Rzeknie więc:

— Bardzo dziękuję waszmość panu, żeś mi powiedział co to za konfederacja. Teraz wiem, czego się trzymać i jako świętym obowiązkiem każdego z nas jest łączyć się z nią. Ale nie skończyłeś waszmość opowiadania o swej podróży z panem pułkownikiem do chana tatarskiego...

— Nie ja tylko z panem pułkownikiem jeździłem do Krymu, ale było nas całe dwadzieścia koni. Czyż bowiem moglibyśmy samowtór, się tam przedostać przez Dzikie Pola, gdzie nieraz cały dzień jedziesz i żywej duszy ludzkiej nie spotkasz, jeno przepiórki ćwierkają po burzanach, dropie biegają i orły pod niebem się unoszą. Co innego dwadzieścia spis i szabel, wybranych z tysiąca... W takiej kompanji można nie tylko do Krymu, ale na krańce świata zajechać.

— Opowiedzże mi waszmość, bom obrutnie ciekawy, jak to było.

— Nie mówiłem to już jespanowi o tem?

— Nie, zacząłeś waszmość, aleś nie skończył.

— Ano... to powiem. Otóż było to tak. Skorośmy z panem Kazimierzem Pułaskim zajęli klasztor Berdyczowski, przywołał on do siebie, do refektarza klasztornego pana pułkownika Dzierżka, aby nie mieszkając wybrał z całego wojska dwudziestu najdzielniejszych towarzyszy i z nimi przez Dzikie Pola przedarł się do Krymu do jego chańskiej mości, chana Tatarów z prośbą, aby dał pomoc naszej konfederacji.

Tedy pan pułkownik Dzierżek naprzód wybrał mnie i Sochę, bośmy to starzy żołnierze i jeszcze z regnantem pruskim wojowaliśmy czasu wielkiej wojny z Cesarzem, co siedem lat trwała. Innych też godnych żołnierzyków dobrał sobie pan Dzierżek i ruszyliśmy w dwadzieścia koni do onych Tatarów, do Krymu, co jest niby półwysep, dokoła srogiem morzem oblany, co je *Pontus Euxinus**) nazywają, a jeno wąskim przesmykiem, Perekop zwanym, łączy się z lądem. Cały miesiąc maszerowaliśmy i księgęby można spisać o przygodach, jakich doznaliśmy i jakie dziwy niesłychane własnemi oczami oglądaliśmy. Opowiem to jespanowi innym razem, by ci pokazać jaka to wszechmoc jest Pana Boga, i jakie On różne ziemie i nacje swą prawicą stworzył na naukę ludzi.

— Bardzo będę wdzięczny waszmości, gdy mi to opowiesz, bom srodze ciekaw tego.

— Opowiem, opowiem, ale innym razem, teraz chcę sobie pod tą pachnącą jabłonią spocząć nieco, bo mi się też wywczas należy. Innym tedy razem...

— Cóż... muszę ulec woli waszmości, choć mię ciekawość pali. Ale jeszcze jedno. Cóż, ów chan tatarski da nam pomoc?

— Tego ja nie wiem, bom ja z nim nie gadał,

*) Tak nazywano w starożytności morze Czarne.

jeno pan pułkownik Dzierżek, a on nam, żołnierzom, nie powiedział, czy co wskórał lub nie. Naucz się bowiem jespan tej maksymy, że choćby cię pieczono i smażono w smole, nie powiadaj co się w wojsku dzieje. A teraz idź sobie i pozwól mi wywczasować się, bo wieczorem ruszymy dalej. Dobranoc!

To rzekłszy, pan Zegrzda położył się na murawie, nacisnął czapkę na oczy i niebawem rozległo się w całym sadzie głośne jego chrapanie, a pszczółki pracowite brzęczały nad nim i wiatr ciągle strącał białe płatki kwiecia z jabłoni i pstrzył niemi zawiędłą, suchą postać starego konfederata.

Bolek powstał i głęboko zamyślony o tem, co słyszał, poszedł wolno do swego konia.

ROZDZIAŁ XV

w którym Bolek poznał sławnego pana Pawluka.

Wieczorem, gdy noc zapadła, po całodziennym wypoczynku wyruszono w dalszy pochód ku Barowi. Obu schwytanych w porannym boju hajdamaków kazał pułkownik dzikim i okrutnym obyczajem, stale w tych stronach kraju praktykowanym, wbić na pal. Na to widowisko krwawe i okropne pociągnęła za sad, na step, większa część konfederatów; chciał pójść i Jurek, ale Bolek surowo i ostro go za tę chęć zgromił i wyraził swoje zdziwienie, jak można patrzyć na śmierć bliźniego.

— Alboż to hajdamaki są moimi bliźnimi?—pytał Jurek.

— Oczywiście, że są. Wszyscy ludzie są naszymi bliźnimi. Widocznie nauka księdza prefekta w szkole nie pozostawiła w twej głowie żadnego śladu.

— Ale bo... widzisz Bolek... ja przecież jestem szlachcic, a oni są chłopi i do tego rezunie.

— I chłopi są naszymi bliźnimi; co do rezuniów, to ci muszę powiedzieć, że sami jesteśmy bardzo wiele winni tej nienawiści, jaką ludność tutejsza do nas czuje. Gdyby

ci ludzie byli oświeceni, nauczeni religji i miłości bliźniego, toby nas nie rzezali. Oni temu nie są winni...

Takie nauki dawał Bolek Jurkowi, a że miał duży wpływ na niego, więc Jurek nie poszedł patrzyć na straszne widowisko wbijania na pal nieszczęsnych hajdamaków. Tylko gdy wieczorem wyruszono w pochód i wydobyto się z jaru na gładki step, Jurek, oglądając się dokoła, ujrzał rysujące się na białem tle zachodniego nieba dwa posępne cienie, sterczące na wysokich palach, niby krwawe widma. Było coś niewypowiedzianie ponurego w tych, mgłą wieczorną i mgłą oddalenia otulonych, niemych, wysokich, nikłym blaskiem zachodu oblanych postaciach, konających wśród męki strasznej. Jurek wskazał ich Bolkowi, a ten, popatrzywszy chwilę, przeżegnał się nabożnie i szepnął:

— Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie!

I już przez całą drogę nic nie mówił i smutny był bardzo.

To widowisko sterczących na palach dwóch ludzi, wśród uroczystej ciszy nocnej, zapadającej nad stepem, rysujących się wyraziście na jasnem tle zachodniego nieba, zrobiło na nim tak silne i tak bolesne wrażenie, że nigdy go zapomnieć nie mógł i nieraz w nocy śniły mu się ponure sylwetki konających w blaskach zorzy wieczornej na palach hajdamaków.

Maszerowano wyciągniętym stępem całą noc, krótką już o tej porze i widną, z czego wachmistrz Socha był bardzo niezadowolony i co jakiś czas, zobaczywszy wzgórze gdzie na boku, wjeżdżał na nie i bacznie okolicę oglądał. Ale noc była cicha, szemrząca tysiącem odgłosów i szmerów, rozmarzona, ciepła noc majowa. Po drodze żywej duszy nie spotkano.

Rzadkie wsie i futory omijano zdaleka, przerzynając się naprzełaj przez pola, a gdy już jakiej osady ominąć nie można było, przesuwano się przez nią w cichości, niby

widma jakieś, tłumiąc nieomal dech w sobie. Zwykle jednak psy wiejskie zawziętem ujadaniem dawały znać o przemykających się wojakach, i czasem tu i tam ktoś wyjrzał przez okienko, lub nawet wyszedł z izby, by zobaczyć, co się to dzieje.

Ale niewiele mógł zrozumieć i pojąć z tego, co zobaczył. Przesunęła się przed nim gromadka ciemnych, otulonych, milczących jeźdźców i znikła w ciemności, budząc w zabobonnej duszy Rusina głuchą trwogę, tak że mówił potem, iż w nocy widział krwawe mary z mogił powstałe, lecące niby wicher z szumem i jękiem i zapowiadał, że straszną to jest zapowiedzią klęsk przyszłych.

Na szczęście w tej epoce wsie były rzadkie, i bujne ukrainne i podolskie ziemie leżały odłogiem, tylko zwierz po nich swobodnie się przechadzał, ale człowiek był rzadkiem zjawiskiem i krył się po bałkach i jarach.

Posuwano się więc szczęśliwie i bez obawy zdrady, a przed świtem spadła wielka mgła i osłoniła wojowników wybornie. Zresztą jeszcze przed wschodem słońca dopadnięto wielkich borów, rozciągających się w owych czasach między Kopajgrodem a Barem, nieprzerwanym pasem po Zynków i Szarawkę z jednej strony, a z drugiej aż po rzekę Rów, wpadającą do Bohu. Tu już bezpieczeństwo było zupełne i nie potrzebowano się lękać niczego, bo w tych niespokojnych chwilach rzadko kto ośmielił się zapuszczać w ową puszczę ogromną i dziką. Przytem obiegała pogłoska, że w boru tym ukrywa się banda rozbójników, pod wodzą głośnego na całe Podole Pawluka. Ludzie więc unikali puszczy i konfederaci mogli tu znaleźć bezpieczne i spokojne schronienie.

Wachmistrz Socha okazywał też radość, że się nakoniec do puszczy tej dostano. Uszedłszy nią z ćwierć mili, pułkownik kazał się zatrzymać na łączce, pokrytej soczystą trawą i przerzniętej strumieniem, konie rozkieł-

znać, popręgi im obluźnić, ale nie rozkulbaczać i puścić na trawę. Wszyscy chętnie i szybko to polecenie spełnili, bo nocnym marszem byli zmęczeni, i każdy spoczął na miękkiej murawie, by kości nieco wyprostować.

Jurek, położywszy się, zaraz zasnął, a Bolek jakoś spać nie mógł, bo mu ciągle przed oczami stali dwaj hajdamacy na pal wbici, tam, podle futoru w stepie; a przytem obok niego leżał Małyniecki i kręcił się i stękał i narzekał, że go ramię boli.

— Wstydziłbyś się waćpan tak być niewytrzymałym na ból — mówił Bolek — cóż z waćpana za wojak? Ułóż się dobrze i staraj się zasnąć. Jak się wyśpisz, pewnikiem lżej ci będzie.

— Można to tu zasnąć?

— Czemuż nie?

— Bo tu niema nijakiego bezpieczeństwa.

— Co też waćpan mówisz? W tym boru, co słyszę jest wielki i puszczą go zowią, niema bezpieczeństwa? Sam słyszałem jak wachmistrz Socha, gdyśmy tu jeno weszli, ręce zacierał i gadał: „chwała Bogu, możemy se tera spokojnie odpocząć, nikt nas tu nie najdzie“.

— A bo to prawda! nikt nas nie najdzie! a Pawluk?

— Co za Pawluk?

— Zbój nad zbóje, herszt bandy zbójeckiej.

— Ej! cóż nam jacyś tam zbóje mogą zrobić, nam, cośmy rozniešli na naszych szablach ogromną watahę hajdamacką?

— Tak aspan gadasz, bo nic nie wiesz, ale ja wiem co to jest Pawluk i dlatego jestem niespokojny.

Zaciekawiły te słowa Bolka, więc pytał:

— Cóż to jest takiego ten Pawluk, że go się waćpan boisz? Powiedzno mi, bom ciekaw bardzo.

— Niewiele jać tam wiem, ale co wiem, to asanu opowiem, bo gadając, to człek o bólu zapomni.

To rzekłszy, Podlasiak syknął, ułożył się wygodniej na trawie i mówił:

— Trzeba asanu wiedzieć, że Pawluk to nie żaden rezuń, ani też hajdamaka, jakich pełno na Ukrainie, ale człek rycerski. Powiadają ludzie, że on jest mieszczanin z Winnicy, czy Chmielnika i pilnuje, by podstarościowie krzywdy ludziom nie czynili. Jak się jeno dowie, że gdzie jakiego biedaka panowie ukrzywdzą, zaraz tam ze swoją bandą się zjawia i sprawiedliwość czyni. A bandę ma dużą i dzierży ją w okrutnej srogości, posłuch też ma wielki. Jakeśmy z Berdyczowa z panem pułkownikiem, z rozkazu jaśnie wielmożnego pana Kazimierza Pułaskiego, ruszyli do Krymu, tośmy tu po pierwszym marszu w tej puszczy się zatrzymali dla odpoczynku, ot, na tej samej łączce, a deszcz lał jak z cebra, i przemokłem do nitki, aż mię febra trzęsła. Tak! tak... bodaj to było u rodzica siedzieć na Podlasiu... a nie tłuc się po świecie, jak Marek po piekle. I mnie też dziwno, że asan taki młody i widno dziecko szlacheckie, włóczysz się z nami, zamiast sobie używać w pokoju i dostatku i szczęśliwości wszelakiej.

— To się czyni dla ojczyzny. Nie wieszże to waćpan o tem?

— Wiem, co nie mam wiedzieć, ale człek, jak człek, wzdycha zawdżdy do tego, czego nie ma.

— To prawda, ale cóż ten Pawluk?

— A cóż? mieliśmy rozkaz, aby pod Kopajgrodem wstąpić do jakiegoś szlachcica i wziąć tam dla konfederacji kilka koni, co je ten szlachcic ofiarował dla naszych. Ale cóż? my przyjeżdżamy do szlachcica, a on powiada, Pawluk mię napadł, za to, żem jednego z jego bandy schwytał i w łańcuszkach w loszku trzymał, chcąc go oddać do grodu do Winnicy, żeby go tam majdeburskiem prawem osądzili, onego hultaja odbił, konie mi zabrał, ledwiem z duszą uciekł. Tedy, co robiący, pan pułkow-



nik krzyknął na nas: zawracaj! pójdziemy do puszczy. Ano i poszliśmy i tutaj pan pułkownik wysłał wachmistrza Sochę i tego starego wygę Zegrzdę, żeby odszukali Pawluka i konie mu odebrali. Mnie się to jakoś zaraz nie widziało, bo gdzież dwóch ludzi może co zrobić bandzie, w której, jak gadali, jest więcej jak stu hultajów. Ale cóż? jam jest gemajn, a pan pułkownik Dzierżek jest pułkownikiem i człekiem srogim. Mogłem ja mu to powiedzieć, tak jak asanu: źle waćpan, panie pułkowniku, robisz, tam nas wszystkich na Pawluka jest mało, a nie dopiero dwóch ludzi. Cóż? mogłem to ja pułkownikowi tak powiedzieć, rzeknij asan?

— Pewno, że nie!

— Otóż to. Nie powiedziałem tedy nic, alem sobie myślał, nie będzie pono z tej mąki chleba. I tak się też stało. Niedługo wrócili wachmistrz i Zegrzda z rzadkiemi minami i oczywiście koni nie przywiedli. Coś tam na osobności gadali szeptem z panem pułkownikiem, ale co, nie wiem, to tylko pamiętam, że zaraz przez munsztuk kazali Wasonkowi, trębaczowi naszemu, trąbić, by siadać na koń. Co robiący, siedliśmy i pomaszerowaliśmy do Krymu, do chana tatarskiego, wcale godnego pana, choć jest poganin i świniny nie jada, ale jest człek grzeczny.

— Z tego wszystkiego, co waćpan powiadasz, nie widzę, dlaczego mamy się onego Pawluka obawiać — rzekł Bolek, wysłuchawszy tej relacji.

— A jak nas napadnie ze swą bandą, to co?

— Dlaczego nas ma napadać? Sam waćpan mówisz, że on jeno tam napada, gdzie krzywdę komu czynią. A my, kogóżeśmy to skrzywdzili?

— Hm! juścić to prawda, że nikogośmy nie skrzywdzili, owszem nas wszyscy krzywdzą, ale zawsze ze zbójami to niewiadomo czego się trzymać. Jak sobie po-

myślę, że Pawluk siedzi tu gdzie za krzakami ze swą bandą, to powiadam szczerze aspanu, skóra na mnie cierpnie.

— Ejże! tchórz waćpana oblata.

— Co mi tam asan gadasz o tchórzu! nie tchórzę ja, nie, jeno nie lubię niepewności, a tu jest niepewność. Gdybyśmy byli bezpieczni, to nie kazałby to pan pułkownik konie rozkulbaczyć, by też biedne szkapy mogły sobie wypocząć należycie? A tymczasem co? jeno popręgów pozwolił popuścić, to znaczy, że mamy być we wszelakiej gotowości. Aspan mi gadasz, prześpij się! Można to spać, kiedy zbójecka pałka nad głową wisi? O! uważa asan, pan pułkownik coś na osobności gada z wachmistrzem i Zegrzdą. Pewnie ich znowu wyśle do Pawluka.

W rzeczy samej nieco opodal od drzemiących konfederatów pułkownik Dzierżek coś rozmawiał szeptem z wachmistrzem Sochą i Zegrzdą, a oni słuchali, a potem zabrali się i poszli w gąszcze i zniknęli z oczów ciekawie na nich patrzących Bolka i Podlasiaka.

— A co! nie mówiłem? — rzekł ten ostatni — pewnikiem pan pułkownik wysłał ich do Pawluka, po konie. Głupstwo! niby to taki zbój odda, co raz wziął. Żeby tylko nie zachciało mu się napaść na nas.

— Skoro pułkownik wysyła do niego, to znaczy, że nie obawia się napadu — zauważył Bolek.

— Bógby to dał, bo mię ta rana okrutnie rozebrała i żądny też jestem wywczasu i przytem nieszlachecka to rzecz bić się ze zbójami.

— Śpij waćpan spokojnie. Ja będę czuwał i gdyby co było, zaraz waćpana obudzę.

Podlasiak usłuchał tej rady, sykając i stękając ułożył się na trawie, jak mógł najwygodniej i niebawem zasnął, przyczem tak chrapał, że aż się po boru rozlegało. Bolek zaś czuwał, patrzył na puszczę, wśród której powoli podnoszące się coraz wyżej słońce rzucało swe złociste,

wesołe, ciepłe promienie, a świergot ptactwa napełniał ją gwarem i ruchem.

Pułkownik Dzierżek, wysławszy gdzieś Sochę i Zegrzdę, usiadł na skraju łąki, nieopodal od Bolka i oparłszy się plecami o wyniosłą sosnę, siedział tak nieruchomy, zamyślony, błądząc oczami po boru.

Bolek przypatrywał mu się bacznie i widział, że jakaś poważna troska trapi tego wodza garści straceńców, bo po chwili oparł głowę na rękach i siedział tak, jakby skamieniały.

Cały obóz drzemał, konie szczypały trawę, oganiając się ogonami od much i bąków, któremi polana się zaroiła, słońce coraz mocniej dogrzewało, las szumiał poważnie, ptaki świergotały, a pułkownik siedział wciąż zadumany, i Bolek na niego patrzył. I było cicho, tylko śpiący Podlasiak stękał przez sen i chrapał nieznośnie.

Upłynęło tak może z półtorej godziny i Bolkowi poczęły się mimowoli oczy kleić do snu, tak że musiał je przecierać, bo przyrzekłszy Podlasiakowi, że czuwać będzie, chciał słowa dotrzymać, gdy nagle, niespodziewanie rozległo się w lesie przeciągłe, donośne gwizdnięcie, które pochwycone przez echo, biegło po boru od drzewa do drzewa, powtórzone kilkakrotnie. Usłyszawszy je, zerwał się pułkownik i stał twarzą zwrócony ku tej stronie lasu, skąd tajemnicze hasło słyszeć się dało. Bolek też to samo zrobił, ale reszta konfederatów tak widać była zmęczona i z tego powodu tak mocno spała, że nikt się nie obudził.

Bolka zrazu dreszcz przeszedł, bo nasłuchawszy się opowiadania Podlasiaka, był przekonany, że to Pawluk ze swą bandą gotuje się do napadu na obozowisko konfederackie, ale widząc, że pułkownik nie daje komendy do siadania na koń i stoi spokojny, wpatrzony w las jakby oczekiwał stamtąd kogoś, nabrał otuchy i już tylko ciekawie czekał końca tej osobliwszej sceny.

Jakoż niedługo czekał. Zatrzeszczały w boru suche gałęzie, rozgarnęły się krzaki i z nich na polanę wystąpił wachmistrz Socha z Zegrzdą, prowadząc ze sobą jakiegoś męża dziwnej postawy i w dziwnym stroju.

Był to chłop niski a krępy, nabity jak pień, o szerokich barkach, znamionujących niepospolitą siłę, z ogromną, skołtunowaną głową, osadzoną na krótkim byczym karku, ubrany w krótki kożuszek, włosem nazewnątrz wywrócony, choć dzień robił się gorący, ujęty wspaniałym pasem słuckim, ale mocno wyszarzanym, w szarawary aksamitne karmazynowe i piękne buty czerwone, ale zakurzone i zabłocone. Przez ramię miał zarzuconą rusznicę, za pasem sterczały kolby dwu pistoletów i ogromny kindżał turecki w przepysznej, bogatej oprawie.

Przyszedłszy przed pułkownika, zdjął wspaniały sobolowy kołpak ze swego rozczochranego łba, pokłonił się pokornie do kolan i stał, czekając na zapytanie.

— Jak się masz, panie Pawluk? — rzekł pułkownik.

— Zdrów, do usług jaśnie wielmożnego pana — odrzekł Pawluk głosem grubym, chrapliwym.

— Cóż moje konie dobrze się trzymają?

— Doskonale, jaśnie wielmożny panie, i zamiast czterech, mam ich teraz ośm.

— Tak? skądżeś ich wziął?

— Postarałem się; kałmuckie, pod kulbakę jedyne.

Uśmiechnął się, ukazując szereg ostrych, ogromnych zębów.

— Czy moje rozkazy wypełniłeś?

— Posłałem trzech moich zuchów — wrócą nad wieczorem.

— A nie zdradzą?

— Czy nie zdradzą? lepiej żeby się na świat nie rodzili, gdyby mieli zdradzić. Niech się jaśnie wielmożny pan

nie boi, moi ludzie są pewni i wiedzą co ich czeka, gdyby mojego nakazu nie spełnili.

Gdy to mówił, spojrzał takim wzrokiem, że Bolkowi, który słuchał tej rozmowy, aż ciarki przeszły po skórze.

— No! — pomyślał sobie — niech Pan Bóg broni dostać się w łapy tego zbója.

— To dobrze, panie Pawluk — mówił pułkownik — kontent jestem z wasana.

— Zawszem gotów do usług jaśnie wielmożnego pana.

— Czy mogę tu bezpiecznie wypocząć?

— Rozstawiłem moich po boru i ptak się nie przemknie, żeby go nie dostrzegli. Może jaśnie wielmożny pan odpoczywać do woli. Pawluk czuwa!

— Więc ludzie asana dopiero wieczorem wrócą? — pytał dalej pułkownik.

— Nie mogą wcześniej, do Baru są dobre dwie mile, a ostrożność muszą zachować, bo podjazdy nieprzyjacielskie się włóczą.

— Więc Bar obleżony?

— Tak, jaśnie wielmożny panie.

— A przecież ja się tam dostać muszę!

— Czemu nie? Zobaczymy co moi przyniosą.

— Więc poczekamy na nich. Trzeba mi, panie Pawluk, żywności dla ludzi i paszy dla koni.

— Wydałem już rozkazy, jaśnie wielmożny panie. Tylko patrzeć jak zajadą wozy z jadłem i paszą.

— To dobrze. Ojczyzna asanu tego nie zapomni.

— Dziękuję jaśnie wielmożnemu panu za dobre słowo, byle mnie tylko łyczki Winnickie wprzód nie obwiesili, bo strasznie są łase na moją skórę.

— Hm! bo mógłbyś też asan zaprzestać rozbojów— zauważył pułkownik.

— Jaśnie wielmożny panie — rzekł na to Pawluk — czy to ja rozbijam tych, którzy są poczciwi? Czy na mojem

sumieniu jest choć jedna łza wdowy lub sieroty? Ja tylko mszczę się krzywdy biednych.

— Nie do asana należy pomsta, od tego są trybunały, sejm, Rzeczpospolita.

— Ba! jaśnie wielmożny panie, trybunały, sejmy, Rzeczpospolita daleko, a Pan Bóg wysoko.

— Wiesz co, panie Pawluk, ot lepiejbyś zrobił, ażebyś się do konfederacji z twoimi ludźmi przyłączył i zasługiwał się ojczyźnie, a da Bóg, na przyszłym sejmie wolnej Rzeczypospolitej postaram się, by z asana kondemnaty zdjęto i szlachectwo ci nadano, boć przecież na to zasłużysz.

— Jaśnie wielmożny panie, ja już dawno o tem myślę, ale jakże mi to zrobić? Czy to ja nie Polak, żebym nie miał serca do oprymowanej ojczyzny? Chętniebym przystał do konfederacji, ale czy mię tam przyjmą, mnie, Pawluka, słynnego zbója?

Pułkownik pomyślał chwilę, a potem rzekł:

— Chodźno asan, pogadamy na osobności.

Poszli tedy w głąb lasu i co tam gadali, Bolek już nie wiedział, ale był zdumiony tą rozmową i tym osobliwszym zbójem, który takie przysługi oddawał konfederatom.

Tymczasem wachmistrz Socha kazał budzić żołnierzy, konie rozkulbaczyć i spętawszy je puścić na trawę. Zaraz też zajechały dwa ogromne wozy: na jednym z nich sterczał antałek wódki i beczułka piwa, widać było ćwierci porzniętych baranów, kilkanaście bochenków świeżego, pachnącego chleba, parę połci słoniny — a na drugim worki owsa i wiązki siana.

Rozpalono ogniska i zabrano się do pieczenia ćwierci baranów, gwar i wesołość zapanowała w obozie, Bolek zaś, nie potrzebując już pilnować śpiącego Podlasiaka, sam się położył w cieniu ogromnego dębu i zasnął.

ROZDZIAŁ XVI

Jak Jurek nie mógł się dowiedzieć, kto był ksiądz Marek.

Wieczór się już robił, gdy Bolek z ciężkiego snu się obudził, do czego się zapewne przyczynił głód, bo przecie od wczoraj nic w ustach nie miał. Obudziwszy się, począł się rozglądać dokoła. Noc w puszczy szybko zapadała i wnętrze lasu było czarne, a na polance, na której stał obóz, gorzały wielkie ogniska, koło których kręcili się konfederaci. Odblask czerwony od tych ognisk padał na drzewa i nadawał im wśród zachodzących szybko ciemności jakieś fantastyczne, ruchliwe postacie.

Bolek usiadł na ziemi i pierwszą rzeczą, którą zauważył, a może mu się tylko zdawało, było, że obóz zawierał znacznie większą liczbę ludzi i koni, niż poprzednio. Przy ogniskach kręciły się tu i owdzie jakieś nowe postacie, jakieś brodate chłopy, ubrani inaczej niż konfederaci, w świtki chłopskie, w kubraki rozmaite, w kożuszki krótkie, choć to był już cze wiec i za dnia słońce mocno dogrzewało. Na głowach też mieli kapelusze słomiane, jołomy kozackie, magierki, rzadko który konfederatkę,

a i te nie były zielone, jak u żołnierzy pułkownika Dzierżka, ale najróżnorodniejszych barw.

Wszystko to dziwiło bardzo Bolka: mówił sobie, że chyba śni jeszcze dalej, przecierał oczy, ale przekonywał się, że to, na co patrzy, jest rzeczywistością, a nie snem. Nie mógł sobie zdać z tego sprawy i zapewne długoby i naprόżno o tem myślał, gdyby nie to, że usłyszał obok siebie znane sobie stękanie Podlasiaka.

— Czy to waćpan, panie Kacprze? — spytał.

Bo tu na skraju lasu było już ciemno, że trudno było rozróżnić przedmioty.

— A ja.

— Ciągle waćpan stękasz?

— Ba! i asanbyś stękał, żeby cię tak bolało. Żeby tego hajdamakę, co mię zdzielił tą nabitą pałką, sam lucyper smażył w oleju na wolnym ogniu. Tego mu życzę za moją mękę.

— Niechrześcijańska to rzecz — odrzekł, śmiejąc się, Bolek — życzyć źle bliźniemu.

Kacper Małyniecki poruszył się niespokojnie, jękną żałośliwie i mówił:

— Albo to hajdamaka mój bliźni?

— Oczywiście, że bliźni, wszyscy ludzie są sobie bliźni.

— Co mi tam asan pleciesz do paralusza! to może i te zbóje, co tu przyszli do obozu, są moi kamraci i bliźni, mnie, com jest szlachcic i żołnierz konfederacki?

— Jakie zbóje? — spytał zdziwiony Bolek.

— A cóż to nie widzisz ich asan, czy co? Tak gadasz, jakbyś nic nie wiedział o tem, co się tu dzieje.

— Rzetelnie mówię, że nic nie wiem. Spałem jak zabity. Cóż to za zbóje? powiedz - no mi waćpan, bom okrutnie ciekaw. Cóż to się stało? Może to Pawluka wataha do nas przystała?

— Nieinaczej! czterdziestu konnych Pawluk przyprowadził pułkownikowi i mają oni razem z nami stawać w potrzebie. Dalipan nie rozumiem jak mógł się pan pułkownik na to zgodzić? Zbóje i my! żebyś asan spojrzał na ich gęby, tobyś zaraz powiedział, że każdy z nich urwał się z pod szubienicy.

— Hm! hm! — mruknął Bolek — nie nasza rzecz o tem sądzić, pułkownik wie, co robi, a skoro owi zbóje chcą walczyć za ojczyznę, godziż się im tego odmawiać, powiedz sam waćpan?

— Ej, asan jesteś mądrala i zdaje ci się, żeś wszystkie rozumy pojadł, a mleko masz jeszcze pod nosem. Zbóje zawżdy są zbójami i tyle.

Mówiąc to, syknął głośno, bo go ramię zabolało, a Bolek, nie chcąc wdawać się w sprzeczki z upartym Podlasiakiem, przytem ciekawy bliżej przypatrzyć się onym zbójom Pawlukowym, wreszcie głodny, czując zapach pieczeni, widocznie smażącej się gdzieś przy ogniu, wstał, nic nie odpowiadając, i ruszył na środek polany.

W rzeczy samej podwładni Pawluka mieli takie miny, że można ich było bez sądu wieszać. Wszyscy zarośnięci, z okrutnem wejrzeniem, ale uzbrojeni tęgo, choć niejednostajnie, chłopy barczyste, dzikie, wyglądali na ostatnich urwipołciów i oczajduszów. Trzymali się osobno, a między nimi kręcił się sam Pawluk. Widać było, że trzymał ich w srogiej ryzie, bo patrzyli mu w oczy jak wierne psy, gotowi na jego skinienie, choćby w ogień skoczyć. Konie też mieli dobre, acz różnej porody i maści, i trochę zapasione. Rzędy na nich były rozmaite, tu i owdzie piękne, srebrem nabijane, to znów proste rzemienne, bez żadnych ozdób; jedni mieli terlice, inni kulbaki kozackie lub tatarskie, gdzie niegdzie piękne czapraki, słowem, rozmaitość i zbieranina wszelaka. Wszyscy jednak mieli samopały, niektórzy szerokoszyje garłacze,

w które namniej pół garnca szło grankulek, inni jeszcze janczarki tureckie. Zato szabli u boku prawie żaden z nich nie miał, prócz samego Pawluka i jeszcze paru, widocznie starszych. Nie wszyscy też uzbrojeni byli w spisy.

Bolek z nadzwyczajną ciekawością przypatrywał się temu osobliwszemu wojsku i choć czuł pewien wstręt i do ich wodza, i do tych postaci dzikich, zpodełba patrzących, jednakże przyznać musiał w duszy, że tych czterdziestu ludzi, zdecydowanych na wszystko, nie lękających się śmierci, ani niczego w świecie, znakomitą może być pomocą dla garści zmęczonych długiemi pochodami konfederatów. Przytem jeżeli Pawluk i jego kamraci postanowili przystać do konfederacji i walczyć w obronie Rzeczypospolitej, to już tem samem zrzekają się rzemiosła zbójeckiego, stają się żołnierzami i obrońcami ojczyzny.

Tak sobie mówił Bolek, przypatrując się moderunkom i uzbrojeniu tych ludzi, obserwując samego Pawluka, który siedział, a raczej leżał przy ognisku na rozesłanej burce, lulkę ćmił i od czasu do czasu łyskał strasznym wzrokiem na otaczających podwładnych.

Gdy się już Bolek dosyć napatrzył na to osobliwsze widowisko, przypomniało mu się, że jest głodny, więc począł się rozglądać, gdzieby mógł co jeść dostać. Niedaleko od niego gorzało wielkie ognisko, a przy niem siedziała grupa konfederatów, doglądając zawieszonego nad ogniem żelaznego kociołka, z którego przyjemna woń gotującego się barszczu ze skwarkami rozchodziła się szeroko. Skierował sie więc tam i między innemi spotkał tu Jurasia, zajętego już krajaniem kawałka słoniny na deszczułce, bo ten towarzysz Bolka zawsze tam być musiał, gdzie się z garnka kurzyło.

Przyjęty gościnnie, gdy barszcz się ugotował, najadł się go do syta; od Jurka i innych konfederatów, którzy

oczywiście o niczem innem nie mówili, jak tylko o Pawluku i jego kompanjonach, dowiedział się, że prócz czterdziestu konnych, przybyło drugie tyle pieszych, uzbrojonych w samopały i kosy, którzy obozują dalej w boru, straże i warty trzymają i mają czynić wspólnie z konfederatami. Zauważył też, że konfederaci radzi byli z tego, ale swoją drogą zdaleka się od nowych towarzyszy trzymali i z pewną odrazą o nich mówili.

Nasyciwszy się barszczem, Bolek wstał, bo chciał zobaczyć też ową piechotę. Przechodząc koło ogniska Pawluka, spostrzegł, że przed nim stoi dwóch ludzi bezbronnych, w świtki chłopskie przybranych, dzierżąc czapki w rękach, a wiatr jeno rozwiewał ich włosy kołtuniaste. Miny mieli pokorne i coś gadali, czego jednak Bolek z powodu oddalenia usłyszeć nie mógł. Pawluk patrzył na mówiących jakby chciał ich przeniknąć do głębi, czasem rzucił jakieś pytanie, poczem wstał, kołpak na głowę nasadził, burką się okrył i rzekł głośno:

— Chodźcie za mną do pana pułkownika.

Ruszyli tedy, a i Bolek za nimi zdaleka; ciekaw był, co to wszystko znaczy, przypomniał też sobie, że rano Pawluk gadał, iż wysłał swoich na przeszpiegi do Baru, by się dowiedzieli, jak tam rzeczy stoją.

— Ani chybi — mówił sobie — to ci wysłańcy powrócili i nowiny przynieśli.

Ale chociaż poszedł za nimi, choć go ciekawość paliła, nic się dowiedzieć nie mógł, zobaczył tylko, że na skraju polany, pod rozłożystym jaworem, zbudowano pułkownikowi wcale grzeczny szałasik, że w szałasiku tym gorzało parę świeczek łojowych, wetkniętych w próżne butelki, słabo oświecających wnętrze. Przed szałasem stał Socha i Zegrzda, tak że zbliżyć się nie można było i zresztą nie wypadało. Widział tylko Bolek zdaleka, że pułkownik bardzo pilnie słuchał relacji dwóch wysłańców,

wypytywał się ich wielokrotnie, a potem, gdy już wysłańcom odejść kazano, coś gadał z Pawlukiem, Sochą i Zegrzdą.

Wszystko to znamionowało, że się na coś zanosi, więc Bolek pośpieszył do swego konia, który, nakarmiony owsem i sianem, leżał sobie na ziemi, odpoczywając i drzemiąc.

I dobrze Bolek zrobił, bo zaledwie przyszedł do konia i poklepawszy go po szyi, siadł koło niego, gdy odezwał się stłumiony odgłos trąbki i zaraz też rozległ się głos Sochy:

— Siodłać i kiełznać konie! zaraz ruszamy. Gasić ognie!

Noc już była zupełna i ciemna bardzo, tylko od ognisk czerwone blaski krasiły drzewa lasu i postacie wojowników. Niebo zasnute było chmurami i wiatr szumiał po boru przeciągle i jękliwie.

Zaroiło się w sennem i drzemiącem dotąd obozowisku, jak w ulu; w jednej chwili ognie zalane wodą zgasły i nie wyszło trzech pacierzy, gdy już konfederaci i wataha Pawluka siedziała na koniach i szykowała się na polanie w jedną linję ośmdziesięciu kilku ludzi. Przypadł też zaraz pułkownik i rozkazywał:

— Pawluk, ruszaj z twoimi przodem!

— Słucham pana pułkownika! — odrzekł wódz sprowadzonego oddziału i, zwróciwszy się do swoich, komenderował:

— Marsz za mną! gęby stulić, lulek nie palić, konie trzymać ostro, bo komu szkapa zarży, temu łep rozpłatam.

Ruszyli w cichości, podobni raczej do widm jakichś, niż do ludzi i zagłębili się w las, a za nimi puścili się konfederaci. Droga była szeroka, acz piaszczysta; może o dwa stajania od polany spotkano uszykowaną wzdłuż drogi piechotę Pawluka, jak w głuchem milczeniu oczekiwała na rozkazy.

Bolek z powodu ciemności nie mógł dobrze przypatrzyć się temu sukursowi, ale widać złożony on był z samych wielkoludów, bo na jasnem tle drogi rysowały się olbrzymie, barczyste postacie. Piechota ta weszła między watahę Pawluka a konfederatów i musiała dobrze nogi zbierać, żeby nadążyć wyciągniętemu stępowi jazdy. Jednakże nie opóźniała się ani na chwilę, szła raźno i w groźnem milczeniu.

Tak maszerowano ciągle głuchym borem; potem szerokim gościńcem piaszczystym, ale niebawem skręcono na jakąś boczną, pełną korzeni i wyboi drożynę, która tak się zwęziła, że musiano iść gęsiego. Posuwano się nią bardzo wolno, a gałęzie zwieszające się z drzew smagały nielitościwie jadących.

Gdy nakoniec wydobyto się z tej ścieżki na szerszą drogę, Jurek podjechał do Bolka i nuż narzekać szeptem, bo głośne rozmowy były surowo zakazane.

— Wiesz, Bolek — syczał — ja ci nigdy tego nie zapomnę, żeś mię namówił do wstąpienia do tych konfederatów.

— No? dlaczegóż tak?

— Jeszcze się pyta! czyż mało cierpię, ciągle w drodze i na koniu, ani chwili spoczynku, do tego mam terlicę taką lichą, że już ledwo siedzę. Ja nie wiem, czy wytrzymam dłużej.

— Wytrzymasz, niebój się!

— Albo i to przedzieranie się przez jakieś zaprzepaszczone steczki! Cała gęba mię boli, tak mię po niej wychlastały gałęzie. Przede mną jechał ten stary wyga Zegrzda, który coś do mnie cierpi, i umyślnie, niech mu tego Pan Bóg nie pamięta, puszczał gałęzie z takim impetem, jakby mię kto biczem ciął po licu. Pewnikiem mam całe posiniaczone. Oj! oj! Co się to człowiek nacierpi, to Bóg jeden widzi. Jak sobie przypomnę miękkie

łóżko i poduszkę na stancji u Złotareńkowej, spokój i bezpieczeństwo, regularne jedzenie...

— I pana Hrycia co sobotę! — wtrącił, śmiejąc się cicho, Bolek.

— Lepszy Hryć, niż te niewywczasy i głód obozowy.

— No! chyba głodny nie jesteś? cały dzień przecie nic nie robiłeś, tylkoś jadł.

— Hm! teraz głodny nie jestem... ale czy tak będzie jutro, czy za jakie kilka godzin nie trzeba będzie przykrócić pasa?

— Co cię tam obchodzi jutro, kiedyś teraz syty.

— Jużcić syty jestem i na wszelki przypadek mam w torbie u kulbaki kawałek pieczeni baraniej i trochę chleba, jeno soli niema. Albo i to nowe wojsko? godzi się to ze zbójcami spółkę czynić? Powiedz sam, Bolek.

Ale Bolek już na to pytanie nie odpowiedział, bo stary Socha usłyszał widać ich rozmowę, zawrócił od czoła konia i syknął groźnie:

— Kto tu do paralusza gada? Co to? zapomnieliście o rozkazie. Stulić mi pyski do stu par rogatych... Panie Boże, odpuść!...

Na szczęście nie wiedział, kto rozmawiał, bo być może, że Jurek dostałby od groźnego wachmistrza czemś nakształt bizuna, a przytem wyjechano już z lasów i rozległy się ciche wołania:

— Wachmistrz Socha do pułkownika! pułkownik wzywa wachmistrza Sochę!

Do pułkownika oprócz Sochy pojechał także Zegrzda i Pawluk i, oddaliwszy się nieco na bok od wojska, które zatrzymało się na polu, radzili coś między sobą. Bolek przypatrywał im się zdaleka, a nie mogąc słyszeć ich słów, znudził się tem patrzeniem i począł rozglądać się dokoła, bo już teraz bór nie ograniczał widnokręgu.

Całe wojsko stało na szerokiej piaszczystej drodze, wijącej się przez pola, zasiane zbożem, które lekko pod wiatrem szumiało. Noc była ciemna, nie na tyle jednak, żeby niektórych bliższych przedmiotów nie można było rozróżnić.

W oddali czerniały jakieś zabudowania, a może las, ale co najważniejsza, że Bolek zauważył liczne ogniska, które musiały być jednak dość daleko, bo były podobne do drobnych iskierek wśród nocy. Ciągnęły się one długim szeregiem, jakby jakieś wojsko obozowało, albo może było to miasto, w którego domach ogniska się paliły.

Bolek tego odgadnąć nie mógł, ale bądź co bądź pewnem było, że znajdują się gdzieś w pobliżu ludzi i ich siedlisk. Jednakże nie wydawało mu się, żeby to w domach światła gorzały; spojrzał na gwiazdy, na Wóz Wielki i przekonał się, że musi być dobrze po północy, bo chylił on się już ku horyzontowi, a o tej porze ludzie po domach już śpią dawno i światła pogasili.

Jurek, który tuż koło Bolka jechał, zauważył także te światła i począł się pytać towarzysza, co to być może.

— Skądże ja mam wiedzieć? — odparł Bolek.

— Ale jak ci się zdaje?

— Zapewne to jakieś wojsko obozuje.

— Laboga, co mówisz? może to nieprzyjaciel?

— A może.

— Więc znowu będzie bitwa?

— Jużcić jeżeli to jest wojsko nieprzyjacielskie, to pewno bić się będziemy.

— Po nocy?

— Lepiej dla nas w nocy się bić, bo nie zobaczą, że nas tak mało.

— O ja nieszczęśliwy! na co mi to przyszło! Tłukę się jak Marek po piekle, ni to odpoczynku, ni pokarmu...

— Cichobyś był! Socha jedzie.

Jurek umilkł i spojrzał w kierunku, gdzie starszyzna się naradzała. Tam tymczasem Pawluk skoczył do swojej watahy konno i z nią puścił się rysia prosto gościńcem, konfederaci zaś z piechotą Pawluka wzięli się na lewo i naprzełaj przez pola, tratując zboże i łąki, ruszyli pośpiesznie.

Socha tymczasem przejeżdżał tam i z powrotem koło szeregów i mówił:

— Osadzić się dobrze na kulbakach, konie krótko trzymać, spisy i szable mieć w pogotowiu, bo nieprzyjaciel przed nami. A słuchać komendy!

Jurek, usłyszawszy to, jęknął:

— O laboga!

Bolek zaś spiął się w strzemionach, żeby lepiej widzieć tego nieprzyjaciela, o którym stary wachmistrz mówił, ale nic nie zobaczył, prócz owych oddalonych ogników, które jednak zostawały nieco na prawo od kierunku, przybranego przez konfederatów.

Kiedy się tak rozgląda dokoła, nagle widzi, jak gdzieś, w głębi ciemnej nocy, zabłysło żywe, ruchliwe światełko, przez chwilę wahało się na prawo i lewo, a potem powoli poczęło się podnosić do góry i nagle zawisło nieruchome gdzieś wysoko. Chłopiec zdumiony był tym widokiem i nie mógł zrozumieć, coby to takiego było. Jużcić nie gwiazda, bo gwiazdy przecież nie wędrują tak widocznie po niebie, a potem blask czerwony tego światełka nie był podobny do srebrzystego i spokojnego blasku ciał niebieskich.

Inni żołnierze spostrzegli także to osobliwsze zjawisko i pomimo nakazu milczenia zaczęli szeptać między sobą i pokazywać na nie palcami, wyrażając zdziwienie i czując to za jakiś znak niedobry. Ale Socha szybko przerwał te uwagi.

— Milczeć tam! To znak nam dają z Baru. Latarkę zawiesili na wieży, że czuwają i bramy nam otworzą. Trzymać się ostro i nie gadać! Iść śmiało naprzód, tam w Barze ksiądz Marek modli się za nas i wymodli nam zwycięstwo.

Jurek, usłyszawszy to, że do Baru idą, o którym wiedział, że jest fortecą, ucieszył się bardzo i szeptał do Bolka:

— No, przynajmniej w fortecy człek sobie wypocznie, wyśpi się i wywczasuje należycie bez tego ciągłego strachu nad głową, że mogą lada moment napaść, pozbawić spoczynku, a nawet uśmiercić. Prawda, Bolek?

— Jużcić prawda, ale ten Podlasiak Małyniecki mi gadał, że Bar to wcale mizerna jest forteca.

— Nie może być?

— Tak mówił Małyniecki, a on wie, bo z Baru przecie ruszył z pułkownikiem do Krymu do chana tatarskiego.

— Bodajże to!

Umilkł, zresztą nie czas był teraz na rozmowę, bo konfederaci z piechotą Pawluka naprzełaj darli się przez pola ku owemu światełku, migocącemu na wieży kościoła barskiego. Każdemu serce biło, boć wiedzieli wszyscy, że Bar jest oblężony przez wojska rosyjskie razem z panem Ksawerym Branickim i wogóle nie pojmowali, w jaki sposób będą się mogli do forteczki tej dostać, chyba przerznąwszy się przez oblegających. Dlatego też każdy milczał. Po tych szeregach wojowników przebiegał nerwowy dreszcz niepokoju: każdy z wytężonem okiem i słuchem posuwał się naprzód, oczekując lada chwila starcia.

Jeden tylko Jurek, nie zdający sobie sprawy z położenia, był dość teraz spokojny, a nawet wydobywszy z torby kawał pieczeni, zajadał ją smacznie, choć trząsł się na terlicy, bo koń po brózdach pola to spinał się do góry, to zapadał w dół. Nie zważał jednak na to, tylko jadł a gadał:

— Nie wiesz ty, Bolek, co to za ksiądz Marek?

— Bo co?

— Bo Socha mówił, że ten ksiądz wymodli nam zwycięstwo. Musi to być jakiś święty, skoro ma w niebie taki posłuch.

— Nie znam go, nic nie wiem, lepiej bądź cicho, bo...

Nie skończył Bolek, gdy nagle po ich prawej stronie, tam gdzie poleciał Pawluk ze swoimi konnymi, rozległ się ogromny krzyk, zagrzmiały strzały i wrzawa olbrzymia, a zaraz potem, gdzieś koło tego światełka na wieży barskiej, błysły przeciągłe, szybkie ognie i ryknęły działa. A już Socha z gołą szablą w garści biegł, krzycząc:

— Rysią naprzód! Piechota na prawo, na pomoc waszemu atamanowi!

ROZDZIAŁ XVII

W którym Bolek poznaje księdza Marka i brata Anzelma i co z tego wynikło.

Bolek nic nie widział przed sobą, ale biegł za innymi, dzierżąc szablę w garści, a obok niego Jurek, przestraszony mocno i dygoczącemi usty szepczący:

— Zdrowaś Marja, łaskiś pełna...

Ale nie ubiegli wyciągniętym kłusem i trzech stajań, gdy coś zamigotało przed nimi i donośny głos zawołał:

— Kto idzie?

— Swój! — dało się słyszeć na przodzie.

— Hasło!

— Jezus, Marja, Józef.

— Czy to nie imćpan Dzierżek?

— Ja — odezwał się pułkownik.

— Chwała niech będzie Bogu!... w okrutnym byliśmy niepokoju! — mówił ów głos i w ciemności zarysowała się figura jeźdźca, który zbliżył się do pułkownika i przez chwilę z nim stłumionym głosem rozmawiał.

Zaraz też potem ruszono dalej i Bolek tylko tyle widział, że przesunięto się koło frontu jakiejś piechoty

i nieco jezdnych, wjechano na most, co poznał po jego dudnieniu i znaleziono się w dość ciasnej, sklepionej bramie, w której chwiała się u góry latarka, migotliwe rzucająca światło dokoła. Przez tę bramę przejechano szybko i znaleziono się na wąskiej uliczce, po obu stronach niskiemi drewnianemi domkami zabudowanej, w których tu i owdzie paliły się światła. Uliczkę tę przejechano i zatrzymano się na niewielkim placu, na którym przy blaskach, padających z okien domów, można było widzieć wysoki budynek kościoła, rozpływający się we mgle, jaka poczęła padać, a na jego wieży, wysoko, błyszczała wciąż owa latarka, wskazująca drogę konfederatom. Tutaj, na tym placu, Socha, bo pułkownik Dzierżek zaraz przy wejściu do Baru gdzieś się zapodział, kazał zejść z koni, rozkiełznać je, popręgów popuścić i spocząć.

Jurek, usłyszawszy ten rozkaz, westchnął z widoczną ulgą i rzekł do Bolka:

— Chwała Panu Bogu, już myślałem, że będziemy się po nocy bili. O słodki Jezu! (dodał, kładąc się obok konia na ziemi) jak to miło spocząć, po tylu niebezpieczeństwach i tarapatach. Ale też strzelają! To chyba ci ludzie Pawluka toczą taką batalję?

W rzeczy samej huk strzałów i bitwy, widocznie uparcie toczonej, ani na chwilę nie ustawał, ale teraz zdawał się zbliżać w kierunku mostu, którym konfederaci weszli do Baru.

W samem miasteczku wszystko, co żyło, zerwało się na nogi; we wszystkich domach zajaśniały światła, mnóstwo żydów i żydówek wybiegło na ulice i rynek, na którym Socha stanął ze swoimi, i zawodziło głośno i żałośnie. Zbrojni zaś ludzie, widać ze snu zbudzeni tym nagłym hukiem boju, biegli na wały, przesuwając się pośpiesznie koło Sochy i jego podkomendnych, wcale nie zwracając na nich uwagi. Z wałów tych od czasu do czasu rozlegał

się huk armaty, który wstrząsał murami miasteczka, a z której konfederaci barscy strzelali do nieprzyjaciela.

Jurek słuchał tego huku i wrzawy, spoglądał na lamentujących żydów, na ruch wzmagający się w miasteczku, w miarę tego, jak wrzawa bojowa zbliżała się do niego i począł coraz bardziej się niepokoić.

— Licho nadało — mówił — to widać i tutaj, choć to jest fortalicja ten Bar, spokoju nie zaznamy. Jak myślisz, Bolek, może oni i nam każą iść do bitwy?

— Może, kto to wie!

— Toby było bardzo głupio. Słychaneż to rzeczy, żeby wojsko tak zdrożone i zmęczone, jak my, bez wypoczynku i bez nakarmienia należytego ludzi i koni, do bitwy prowadzić? Jak żyję nic podobnego nie słyszałem. Toć przecie ludziom ręce omdleją, więc czemże będą rąbali i kłuli?

— Cichobyś był — mruknął Bolek — jeszcze oberwiesz co niepotrzebnego.

Wtem zbliżył się do nich Podlasiak Małyniecki i odezwał się swoim śpiewającym głosem:

— Słuchajno aspan, panie Jurek, nie masz ty czasem co jeść, bo to u ciebie zawżdy w sakwie jakiś specjał się znachodzi.

— Skądżeby? — odrzekł Jurek niechętnie.

— Ale to widzisz aspan — ciągnął Podlasiak — strasznie mnie zemgliło od głodu i od bólu, od tej rany, co mi ją zadał hajdamaka, żeby go sam ancychryst piekł na rożnie.

— Przecie w lesie waćpan jadłeś, tak jak i inni.

— A właśnie że nie, bo przez tę ranę zmorzył mię sen i przespałem obiad i wieczerzę.

— To sameś sobie waćpan winien.

— No! co tu gadać po próżnicy! sięgnij-no aspan do sakwy i daj co kamratowi zjeść.

— Kiedy nic nie mam.

— Nie gadaj! masz, a chrześcijańską i kawalerską to jest rzeczą głodnego nakarmić, jeszcze do tego kompanjona broni.

Jurek starał się jednak przekonać Podlasiaka, że nic nie ma i już Bolek chciał się w to wdać i zmusić dbałego o swój brzuszek kolegę do udzielenia części swych zapasów głodnemu Małynieckiemu, gdy nagle wszystkich ich zwróciło uwagę osobliwsze widowisko. Drzwi kościoła, dotąd zamknięte, rozwarły się z trzaskiem i zgrzytem wrzeciądzy i ukazał się w nich wysoki ksiądz w białym karmelickim habicie, w komży i z kapturem zadzianym na głowę. Obok niego postępował drugi ksiądz świecki, staruszek siwiuteńki, zgarbiony i suchy, a za nimi obu posuwało się kilku zbrojnych konfederatów, szlachty w kontuszach i paru mieszczan w czarnych kapotach, a wszyscy trzymali w rękach zapalone gromnice, których blask ruchliwy i czerwony oświecał doskonale i staruszka księdza i owego mnicha w kapturze.

Był to mąż wysokiego wzrostu, z wielką, rudawą nieco brodą, spadającą mu aż na piersi; twarz miał bladą, a po niej ślizgały się ruchliwe blaski jarzących gromnic. U pasa, wśród mnóstwa paciorków różańcowych, wisiał mu duży krzyż czarny z białym Panem Jezusem, który mnich co chwila brał w rękę, podnosił do góry i żegnał nim tę stronę, z której dochodził odgłos bitwy. Kaptur miał tak nasunięty na twarz, że oczów i czoła nie było widać. Postępował przodem, a idący za nim śpiewali suplikacje: „święty Boże, święty mocny".

Cała ta procesja wśród ciemnej nocy, wśród blasku chwiejącego się gromnic, z tą jękliwą pieśnią, rozlegającą się niby płacz żałośliwy, wśród wrzawy bojowej, huku dział, robiła dziwne, trudne do określenia wrażenie. Zdawało się, że to jakieś mary wstały z trumien w podzie-

miach kościoła i wyszły o północnej godzinie, by użalić się rozpaczliwą pieśnią nad ginącą Rzeczpospolitą.

Wszyscy konfederaci, spoczywający na rynku, podnieśli się, zdjęli czapki i patrzyli niemi, zdziwieni na tę procesję, idącą wolno ze smutną pieśnią. Wielu padło na kolana i biło się w piersi, szepcząc: „Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu“, inni zaczęli wtórzyć śpiewającym, a stary Zegrzda, który znalazł się nagle koło Bolka, szepnął:

— To ksiądz Marek!

I jak długi z głośnem westchnieniem padł plackiem na ziemię i rozciągnąwszy ręce, leżał tak krzyżem, szepcząc modlitwę.

Więc Bolek z nadzwyczajną ciekawością przypatrywał się księdzu Markowi, o którym słyszał już, że jest to mąż świątobliwy i cuda czyniący, jako będący w wielkich u Pana Boga łaskach. Widząc tę postać ogromną, posuwającą się wolno i onym czarnym krzyżem błogosławiącą wojowników polskich, zdjął go jakiś lęk wielki i również padł na kolana, a bijąc się w piersi, drżącemi usty szeptał:

— Zdrowaś Marja, łaskiś pełna...

Tymczasem ksiądz Marek nadszedł do gromadki klęczących konfederatów, zatrzymał się, podniósł swój czarny krzyż w górę i, błogosławiąc nim wojowników, mówił głośno:

— W Imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Już znak w niebie dany! *Sit nomen Domini benedictum* *), żeście z nami!

To rzekłszy, ruszył dalej, kierując się w uliczkę, wiodącą do mostu i do bramy, a za nim powlókł się utykając staruszek ksiądz i mężowie niosący gromnice. Niebawem znikli w ciemościach, tylko od gromnic jeszcze tu i owdzie padał daleki blask. Bolkowi zdawało się,

*) Niech będzie Imię Pańskie błogosławione.

że to sen jakiś, jakaś wizja koło jego oczów się przesunęła i zgasła.

Wśród tego wszystkiego wrzawa boju cichła, strzały stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie zupełnie ustały. Słychać było tylko teraz w tej ciszy, głośne rozmowy, okrzyki, stąpania i tętent koni, a zaraz też do uszu Bolka dobiegł gromki głos:

— Wiwat pan Pawluk! Wiwat!...

— No, widzicie — odezwał się na to podnosząc się z kolan Podlasiak — do czego to już przyszło. Hersztowi zbójów krzyczą wiwat! Dalipan świat się kończy.

— Nie gadałbyś waćpan tego — odezwał się na to Bolek — bo gdyby nie pan Pawluk, tobyś tu waćpan nie spoczywał w tej fortecy we wszelakiem bezpieczeństwie.

— Co asan mówisz? jakże to może być?

— A tak, bo Pawluk ze swoimi, jak ich waćpan nazywasz, zbójami, uderzył wstępnym bojem po rycersku na nieprzyjaciela, i tem go tak zaprzątnął, że myśmy mogli bezpiecznie dostać się do Baru.

— No! no! no! dziwy, dalipan dziwy! Ale skądże to asan wiesz tak dokumentnie?

— Dokumentnie to ja tego nie wiem, alem sobie wykalkulował, że to tak, nie inaczej było. Przecie waćpan słyszałeś strzały?

— Słyszałem, ale cóż to ma za związek z Pawlukiem?

— Taki, że on się bił, a myśmy sobie bezpiecznie za jego plecami szli do fortecy.

— Hm! i to waćpan wykalkulowałeś?

— A ja... tak mi się widzi...

— Ej! nie wierzę ja tam waćpana kalkulacjom, a Pawluk był zawżdy hersztem zbójów i żeby tak na mnie, tobym go zaraz kazał obwiesić tu na środku rynku.

— To całe szczęście, że waćpan nie jesteś komendantem naszym i Baru.

— Co takiego? co waćpan gadasz?

— Gadam, że waćpan nie jesteś naszym komendantem.

— Pewno, że nie jestem komendantem, jeno gemajnym; to wszystkim wiadomo i nie rozumiem, dlaczego to asan gadasz.

— Tak sobie.

Rozmowę tę przerwało pojawienie się na rynku watahy Pawluka, zmęczonej, zziajanej i straszliwie przetrzebionej, ale dumnej, że krwią swoją wkupiła się w szeregi obrońców kraju.

Obok Pawluka, który jechał z gołą głową, bo widać kołpak gdzieś w bitwie zgubił, widać było pana pułkownika Dzierżka i mnóstwo konfederatów, którzy krzyczeli: wiwat pan Pawluk! Za nimi dopiero na mocno zhasanych koniach jechali podwładni herszta, ale w znacznie zmniejszonej liczbie, bo wszystkiego Bolek naliczył ich dwudziestu trzech; poległo więc siedemnastu. A i ci, co pozostali, po większej części byli ranni, wielu musieli towarzysze podtrzymywać, bo sami nie byliby w stanie utrzymać się na koniu.

Słowem, ludzie ci bohaterskiem męstwem swojem zasłużyli na te okrzyki, jakiemi starszyzna konfederacka ich witała.

Po tej bohaterskiej gromadzie, w strojnym porządku i krokiem miarowym posuwała się piechota Pawluka, wśród której także bitwa niektóre szczerby, acz o wiele mniejsze niż w jeździe, poczyniła. Kilku z nich dźwigało na noszach, naprędce z kos i flint utworzonych, swego komendanta, ciężko ranionego, bo jęczał głośno.

Wszystkiemu temu Bolek się przypatrywał ciekawie i mówił do Jurka i Podlasiaka, a głównie do tego ostatniego:

— Widzisz waćpan, że się mężnie bili i że godni są być naszymi towarzyszami broni!

— Co też asan mówisz! Jużcić pewno, że się bili mężnie, ale zważ jeno asan, że taki zbój nie ma inszego wyboru. On wie, że albo czeka go szubienica, albo śmierć na polu bitwy, woli więc to drugie i dlatego to takie hajdamaki zawżdy mężnie się potykają. Ho! ho! jać to wiem, bo mi jeszcze na Podlasiu, gdzie ogromne na ten przykład bory i zbójnicy w nich radzi się chowali, dziaduś mój Pietrz Małyniecki o tem powiadał.

Nie było co gadać i spierać się z upartą i zakutą głową Podlasiaka, więc Bolek umilkł, zwłaszcza, że wachmistrz Socha począł wołać, by wstawano, bo pójdą na wygodne kwatery, gdzie ich czeka dobrze zasłużony spoczynek. Jakoż pozrywali się wszyscy i ruszyli za Sochą, wiodąc konie za sobą.

Kwatery owe znajdowały się w klasztorze oo. karmelitów. Był to duży gmach murowany i dokoła murem obwiedziony, a na jego dziedzińcu wznosiły się wygodne stajnie, w których pomieszczono i jazdę konfederacką, jedyną jaka była w Barze, i ciężko pokaleczoną kawalerję pana Pawluka.

Socha kazał konie rozkulbaczyć, nasypać im w żłoby owsa, którego dostarczył w znacznej ilości brat ekonom klasztorny, zakonnik rumiany, rubaszny i wesoły.

Kiedy już wszystkie konie stanęły u żłobu i głośno chrupały owies, on chodził z ogromnemi kluczami u pasa, pobrzękując niemi i gadał, zwracając się do koni:

— Jedzcie, jedzcie, robaczki, boście się napracowały dosyć, i wy też jesteście stworzenia boskie, może nawet lepsze od człowieka i Pan Jezus wam to kiedyś wynagrodzi. Jedzcie, koniki, jedzcie!

Koniki oczywiście nic z tej przemowy nie zrozumiały, ale zato owies zajadały dokumentnie.

I o ludziach brat Anzelm, bo tak się nazywał ekonom klasztorny, nie zapomniał. Kazał służbie klasztornej

rozpalić wielkie ognie na kuchni i na podwórzu, barany rznąć i gotować strawę. A między czekającymi na śniadanie, bo świt się już robił, chodził i gwarzył ciągle, kluczami dzwonił, tabaką częstował i prawił:

— Nic się nie bójcie, albo wam to, choćby jaka największa potencja co zrobi, skoro z wami jest ojciec Marek? On sobie zasłużył życiem świątobliwem na szczególną łaskę Pana Jezusa i Najświętszej Panny, i powiada, co Rzeczpospolita Polska z tej opresji wyjdzie cało, jeno trzeba, żeby ludzie w niej żyli cnotliwie i w miłości Bożej. No, może tabaczki? przednia, fabrykuje ją tu u nas w klasztorze brat Benwenuty, który jest mistrz we wszelakich kunsztykach...

Tak chodząc, ojciec Anzelm zaszedł i tam, gdzie na wiązce słomy siedzieli, a raczej drzemali w oczekiwaniu na śniadanie, Bolek i Jurek. Zobaczywszy takich dwu niedorostków, począł się nad nimi użalać.

— Jakże się to stało, moje robaczki, żeście do konfederatów, do srogich żołnierzy w takim młodym wieku przystali? Żali wam nie lepiej siedzieć jeszcze przy rodzicach, lub też do szkoły chodzić, gdzie wszelakich sciencyj uczą? U nas tu jest w klasztorze taka szkoła. Ojciec przeor ma nad nią pieczę.

Ale Jurek na wspomnienie szkoły, która w jego umyśle zawsze łączyła się z czynnością starego Hrycia, odrzekł dumnie:

— My jesteśmy żołnierze, konfederaci i do żadnej szkoły nie pójdziemy. Ho! ho! cóż sobie to ksiądz myśli...

— Nie jestem ksiądz, jeno braciszek, ale widzisz, robaczku, ja sobie jeno tak o szkole mówię, bez obrazy, alem też rad wiedzieć, jakim sposobem wyście wstąpili do konfederatów i takimi grzecznymi żołnierzykami ostali. Mogę się zapytać skąd wy?

— Z Humania — odrzekł Bolek.

— Z Humania! patrzajcież... a to ludzie gadają, że tam była sroga rzeź, prawda li to?

— Prawda, myśmy właśnie przed rzezią uciekli.

— Biedne robaczki. Tu, w Barze, jest kilku szlachty i szlachcianek, które opłakują swych synaczków, bo, słyszę, wszystkich, co chodzili do szkoły oo. bazyljanów, hajdamaki niecnie wymordowali. Może i wy, robaczki, byliście w tej szkole?

— A byliśmy.

— Patrzajcież! i ocaleliście? Bogu i Najświętszej Pannie winniście gorąco za to podziękować. A jakże się nazywacie, bo może jesteście synaczkami tych szlachty i szlachcianek, któreby już duszę zatraciły z rozpaczy, opłakując stratę swych chłopaczków, gdyby nie ojciec Marek, który im codzień powiada, że miłosierdzie Boskie jest większe, niż złość ludzka. Tak! tak! jakże tedy, robaczki moje, nazywacie się?

Bolkowi, gdy usłyszał o szlachciankach, przebywających w Barze i opłakujących swych synów, wymordowanych w Humaniu, zaraz przyszła na myśl jego matka, a wiedział o niej tyle tylko, że schroniła się była do Lisianki. A nuż między temi szlachciankami i ona się znajduje? Serce mu żywo zabiło i przez chwilę nie miał odwagi wymienić swego nazwiska, żeby ta słodka nadzieja nie została zaraz zawiedzioną. Stał więc milczący, wpatrzony w brata Anzelma, który ogromnęmi kluczami dzwonił, tabaki raz po raz zażywał i pytał:

— No, jakże się tedy nazywacie?

— Jam jest Bolesław Wróblewski — odrzedł Bolek głosem drżącym.

— Wróblewski?... Czekajno, robaczku!... widzi mi się, że jest tu w Barze jakaś pani Wróblewska... strukczaszyną ją nazywają...

— Moja mama! — krzyknął Bolek i zachwiał się, bo nogi na tę wiadomość omdlały mu zupełnie, tak że utrzymać się na nich nie mógł.

Ale szybko przyszedł do siebie, chwycił rękę brata Anzelma i całując ją, począł napół z płaczem z wielkiego wzruszenia prosić zakonnika:

— Księże dobrodzieju, prowadź mię! powiedz, gdzie jest moja mama! proszę bardzo, gdzie ona jest? o! mój Boże!

W uniesieniu łamał ręce, biegał jak szalony, całował brata Anzelma, ściskał Jurka i domagał się natarczywie, by mu zakonnik powiedział, gdzie jest ta matka, o której nie przestał myśleć ani na chwilę, choć się z tem przed nikim nie wydawał.

Ale brat Anzelm nie kwapił się jakoś z tem. Z pod oka spoglądał na chłopca, zażywał tabaki i mówił:

— Zaraz! zaraz! *festina lente*, mój paniczu, uczyli was zapewne oo. bazyljanie.

— Czy przynajmniej moja mama zdrowa? — pytał Bolek.

— Zdrowa, zdrowa! widziałem ją nie dalej jak wczoraj. Oto wiesz co, młody żołnierzyku? Słonko już weszło i zaraz ojciec Marek wyjdzie przed wielki ołtarz w kościele z Mszą świętą. Godzi się podziękować Panu Bogu za to, że cię ocalił od strasznej śmierci z rąk hajdamaków. Pójdź oto do kościoła i pomódl się gorąco, podziękujesz wprzód Panu Jezusowi... co?

— Ale jabym chciał biec do mamy.

— I to nastąpi w swoim czasie.

— Czemuż nie zaraz? Ona tam biedna może myśli, żem ja zginął, i martwi się i płacze.

— Zmartwienia są dane od Pana Boga, a płacz oczyszcza duszę... godne to jest pochwały, mój żołnierzyku, że tak kochasz swą matkę i pragniesz jej łez oszczędzić, ale przedewszystkiem należy podziękować Bogu za cudow-

ną opiekę nad tobą. O! już brat Makary dzwoni w sygnaturce, i ojciec Marek wyjdzie za chwilę ze Mszą świętą. Proszę za mną do kościoła.

W rzeczy samej w ciszy wczesnego świtu, która po nocy pełnej wrzawy i huku zapanowała w miasteczku, rozległ się dźwięk srebrzysty dzwonka na sygnaturce kościelnej i drżał nikłemi tony w świeżem powietrzu poranka.

Brat Anzelm, nie czekając na przyzwolenie Bolka, chwycił go za rękaw i pociągnął za sobą. Weszli do klasztoru i długim, napół ciemnym korytarzem o kamiennej posadzce, na której donośnie rozlegało się stukotanie trepków drewnianych braciszka i ciężkich butów Bolka, dostali się bocznem wejściem do kościoła.

Panował tu mrok uroczysty, bo wschodzące słońce było jeszcze nisko i nie mogło promieniami swemi ozłocić ołtarzy i figur świętych, zdobiących ściany kościołka małego i dość ubogiego. Przed wielkim ołtarzem dziadek kościelny zapalał świece, a w ławkach siedziało kilka kobiet, napół ciemnościami zakrytych.

Braciszek Anzelm rozejrzał się po kościele, uśmiechnął się, i powiódł Bolka przed kratkę prezbiterjum; tu z nim ukląkł i począł półgłośno szeptać:

— Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech...

A Bolek mu wtórzył, i z serca jego, przepełnionego szczęściem, płynęła ta odwieczna, pełna prostoty, niemniej przeto wspaniała modlitwa przed tron Przedwiecznego.

ROZDZIAŁ XVIII

w którym jest opowiedziane jak Bolek zakończył swój udział w konfederacji.

W ubogim kościołku oo. karmelitów leżała wielka cisza i wielkie po nim układały się cienie. Bolek z bratem Anzelmem klęczeli wciąż przed kratą prezbiterjum, pogrążeni w modlitwie; Bolek dziękował Panu Bogu, że mu pozwolił odnaleźć matkę i że jego i ją wyprowadził ze strasznych, śmiertelnych niebezpieczeństw. Uszów jego dobiegał z głębi kościoła stłumiony szept paru kobiet, siedzących w ławkach i modlących się cicho. Z zewnątrz nie dochodził żaden gwar codziennego życia: miasteczko i konfederaci, po nocy burzliwej i niespokojnej, spali teraz mocno. Braciszek Makary dzwonił ciągle, zwołując wiernych na Mszę świętą; głos ten dzwonka dochodził do wnętrza kościoła mocno stłumiony i jęczący żałośliwie.

Powoli jednak napół ciemna dotąd świątynia poczęła wraz z podnoszącem się w górę słońcem napełniać się jasnością dnia, stawać się weselszą i widną. Tu i owdzie przedarł się nawet przez okna jakiś promyk słońca i drgał złocistym blaskiem na nerwowo powyginanych, podług gustu wieku, postaciach aniołów i świętych, zdawał się

ożywiać je niejako, obdarzać ruchem i gestem. Zaraz też kościołek począł się napełniać pobożnymi; zjawiło się więcej kobiet w żałobne, czarne suknie przybranych, kilku starych mieszczan w długich kapotach, napełniających cichy przybytek pański stukotem swych butów podkutych i lasek, nakoniec garść zbrojnych konfederatów, którzy poklękali pokornie i tak głośno bili się w piersi, że głuchy odgłos rozlegał się po świątyni.

Nakoniec ojciec Marek wyszedł ze Mszą św. i Bolek teraz przy jasnym dniu, przy blasku świec gorejących na ołtarzu, mógł mu się dobrze przypatrzyć. Był to, jak to jeszcze w nocy młodzieniec zauważył, mąż wysokiego wzrostu, mogący liczyć koło 40 lat, acz trudno byłoby ściślej określić wiek tego mnicha, gdyż na jego twarzy obok rumieńców młodzieńczych, żywego, przenikliwego blasku jego stalowych oczów, dostrzec można było zmarszczki starości, powagę wieku, a w dużej, jasnej, nieco rudawej brodzie srebrzyły się już białe włosy. W całym wyrazie twarzy znać było ogromny, cichy, prawie beznadziejny smutek...

Bolek wysłuchał całej Mszy św., do której służył braciszek Anzelm, i zdziwiony był niezmiernie, gdy ks. Marek, po skończeniu bezkrwawej ofiary, zwrócił się twarzą do pobożnych i błogosławiąc ich, rzekł głośno:

— Idźcie i wynijdźcie!

Coby to miało znaczyć, Bolek nie wiedział, ale ponieważ z kościoła poczęto już wychodzić, więc i on wyszedł i stanął przy drzwiach głównych, oczekując na brata Anzelma, który go miał do matki doprowadzić. Na rynku miasteczka, który stąd, ze schodów kościołka doskonale było widać, panował ruch duży, żydzi i żydówki niespokojnie się kręcili, szwargotali między sobą, a od czasu do czasu ukazywał się jakiś zbrojny konfederat lub żołnierz. Zresztą panował tu zwykły rozgwar życia codzien-



nego, nie zdradzający niczem, że ta napół żydowska, napół sielska mieścina jest oblężona przez obce wojska.

Bolek stał i przypatrywał się temu ruchowi i właśnie zainteresował się bardzo swarliwą a rozgłośną sprzeczką dwóch kobiet, gdy nagle tuż przy nim rozległ się żałośliwy a jednak nawpół radosny wykrzyk niewieści:

— Bolek! Mój synu!

W jednej chwili chłopiec zapomniał o wojnie, o wszystkiem i zwrócił się do mówiącej, bo poznał głos swej matki. Ujrzał ją przed sobą, ubraną w czarne, żałobne suknie, w takież welum (tak wtedy mówiono) na głowie, bladą, znękaną, spłakaną, a za nią brata Anzelma, który uśmiechał się dobrotliwie, raz po razu zażywał potężny niuch tabaki, kichał przytem głośno i jeszcze głośniej wycierał nos w ogromną kraciastą, czerwoną chustkę.

Bolek, ujrzawszy matkę, z okrzykiem „Mamo kochana", rzucił się jej do kolan, ale ona go podniosła, namiętnie całować zaczęła i wśród łkań i płaczu szeptała:

— Bolciu! Bolciu, synu mój, myślałam, że cię już nigdy nie zobaczę!

I znowu obejmowała go w swoje objęcia i całowała gorąco.

Ale już wychodzący z kościoła, spostrzegłszy to niezwykłe widowisko, przez prostą gapiowatą ciekawość poczęli zatrzymywać się, patrzeć, otaczać dokoła matkę i syna, co widząc brat Anzelm, szepnął:

— Niech-no pani strukczaszyna zabierze synka do swej kwatery, bo poco ludziom dawać z siebie widowisko.

Kwatera ta, jak nazwał brat Anzelm mieszkanie matki Bolka, znajdowała się niedaleko, w jednym z dworków w rynku i składała się z dwóch izb o ścianach wapnem bielonych. Z licznego dworu, tam na wsi w Sokołówce, została strukczaszynie jedna stara służąca, Mazurka, imieniem Agata, która Bolka jeszcze na rękach nosiła. Po-

witała też ona swego wychowańca z radością, płaczem, krzykami, dziwiła się, że tak zmężniał, użalała, że się opalił i ręce ma zgrubiałe, i co prędzej zabrała się do przygotowywania kawy ze śmietanką, by nią ulubieńca nakarmić.

— Pewnie — mówiła — panicz nieraz głodu przymarł u tych konfederatów. Słychane to rzeczy, żeby takie delikatne, z przeproszeniem, szlacheckie dziecko brać do żołnierzy i na wojnę prowadzić.

— Ale kiedy, moja Agato, ja sam przystałem do konfederatów.

— Sam? aha! niby ja taka głupia. Napatrzę ja się tu na tych konfederatów, Panie Boże odpuść! Słyszę, na króla Jegomościa narzekają i niby przeciw niemu się biją. Godzi się to? co król to król, pomazaniec Boży, a oni co? głodjasze, biedaki, obdartusy. Ja nie wiem, co ojciec Marek do nich czuje, że z nimi gada i krzyżem ich błogosławi. Wojny im się zachciało, a tylko niewinni ludzie cierpią, hajdamaki rzną i oto moja pani w izbie żydowskiej mieszkać musi, a panicz głodu przymiera.

Tak gadała stara Agata, a że była wymowna i jak raz wpadła w zapał, to już nic potoku jej słów powstrzymać nie mogło; więc Bolek nic się nie odzywał, tylko słuchał, a matka łzy ocierała i w cichości dziękowała Bogu, że nakoniec syna, którego uważała za straconego, odzyskała.

Tymczasem Agata postawiła duży kubek kawy i bułki z masłem, i Bolek, choć mu się jeść nie chciało, bo niedawno w klasztorze zjadł kawał baraniny, jednakże nie chcąc martwić Agaty, pił kawę. Nie skończył jej jednak, bo nagle w miasteczku zapanował jakiś ruch nadzwyczajny, wrzawa, krzyki, zagrały trąbki, zadudniły bębny, a zaraz potem rozległ się potężny huk armatni. Widoczną było rzeczą, że oblegający znowu atakowali miasto.

Bolek, nie kończąc kawy, zerwał się i zwracając się do matki, rzekł:

— Muszę iść.

Ale Agata zastąpiła mu drogę.

— Gdzie? dokąd? poco? co panicz myśli? tam się będą bili, bo już z harmat strzelają. Tam panicz niepotrzebny, nie puszczę, niech panicz zostanie przy mamie. Pani i tak za paniczem umierała.

Chwyciła go wpół i gwałtem chciała zatrzymać. Napróżno Bolek jej tłumaczył, że jest żołnierzem, że przystał do konfederatów, że jeżeli nie stanie między nimi, ogłoszą go za dezertera i infamisa, wszystko to nic nie pomogło, Agata go trzymała i puścić nie chciała.

Przez ten czas pani strukczaszyna siedziała nieruchoma, blada, a łzy jej po twarzy spływały. Nakoniec podniosła się, przystąpiła do syna i rzekła łagodnie:

— Odejdź, Agato!

Agata, przywykła do posłuszeństwa, uważająca zawsze swoją panią za jakąś istotę wyższą, odsunęła się, załamując ręce i szepcząc:

— Słodki Jezusie, co jasna pani zamyśla?

A pani strukczaszyna z wyrazem niezłomnego postanowienia i rezygnacji zbliżyła się do Bolka, przygarnęła go oburącz do piersi i okrywając pocałunkami, szepnęła:

— Idź, mój synu, tam, gdzie cię ojczyzna i obowiązek wzywa.

Bolek, choć mu serdecznie żal było matki, którą ujrzawszy musiał zaraz opuścić, jednakże uspokojony co do tego, że żyje i jest zdrowa, upadł jej do nóg, ucałował ręce i wśród płaczu i narzekań Agaty, pobiegł co żywo do klasztoru do komendy pułkownika Dzierżka.

Ale tutaj zastał tylko przy koniach ciągle stękającego na swoją ranę Podlasiaka i jeszcze paru innych konfederatów — reszta wszyscy wraz z pułkownikiem Dzierżkiem, wachmistrzem Sochą i zrzędzącym Zegrzdą, pobiegła na wały bronić Baru.

— Podobno nieprzyjaciel ostro idzie naprzód — mówił Podlasiak — prawdę rzekłszy, to mi żal bitwy, choć mi rana mocno dolega, ale wiadoma rzecz, że w wojsku pierwszą powinnością jest posłuszeństwo rozkazom starszyzny, prawda?

— Prawda — potwierdził Bolek.

— Otóż to... i powiem waćpanu, że mi tu kazał ostać sam pułkownik.

Został więc, leżał wygodnie na mnóstwie rozesłanej słomy i przykryty derką, stękał, przyczem zajadał jaja na twardo ugotowane, których było co najmniej z pół kopy, a maczając je w soli i pieprzu, połykał jedno za drugiem.

— To i ja biegnę na wały! — zawołał Bolek.

— Oczywiście, wypada acpanu iść na wały — mówił Podlasiak — nie kazano ci ostać przy koniach, to znaczy, że masz iść bronić wałów.

Bolek zawrócił i dla skrócenia drogi biegł kurytarzem klasztornym, gdy, nagle tutaj, we wgłębieniu okna, dającego widok na wirydarzyk klasztorny, ujrzał siedzącego Jurka i ogryzającego jakąś kość.

— A co to? — zawołał Bolek — ty nie na wale?

— A nie.

— Co tu robisz?

— Jak widzisz, jem.

— Bój się Boga, wszyscy nasi są na wale.

— Prócz ciebie i mnie — odrzekł Jurek spokojnie.

— Ja byłem u mamy, a teraz biegnę tam, gdzie mnie obowiązek wzywa. Wszak pułkownik Dzierżek rozkazał wszystkim iść na wały! Jak ty możesz tu siedzieć, Jurek, kiedy inni się biją!

— Ale bo widzisz, Bolek — odrzekł Jurek, nieco zmieszany — zemdliło mię nieco z głodu i poszedłem do kuchni klasztornej... żebyś ty wiedział, co też ci zakonnicy mają jedzenia!...

— Mniejsza o to, chodź za mną!

— Dokąd?

— Na wały — słyszysz jak z armat biją!

— Słyszę, słyszę, już oddawna słyszę.

— A więc chodź...

— Kiedy...

— Kiedy co?

— Widzisz... tam w kuchni braciszek, co jest od gotowania i pieczenia, niby kucharz, a nazywa się Symforjan, bardzo mię polubił i prosił, żeby mu dopomagać, bo to dzisiaj w refektarzu klasztornym będzie wielka uczta dla starszyzny, regimentarzy, marszałków i czy ja tam wiem, jak się wszyscy nazywają...

Bolek zrazu nic nie odrzekł, lecz zdumiony temi słowami, odstąpił parę kroków i spytał:

— I tyś się na to zgodził, żeby wtedy, gdy inni za kraj się biją, zajmować się kucharstwem? Jurek, Jurek!

Jurek spłonął cały rumieńcem, cisnął kość i rzekł:

— A więc idę! ty, Bolek, zawsze musisz mnie przekonać!

Kiedy nakoniec znaleźli się na wałach, widok, jaki tu ujrzeli, miał coś przerażającego, a zarazem wspaniałego. Jak okiem sięgnąć dokoła Baru, błyszczały szeregi piechoty i jazdy wojska oblegającego, lśniły się pod słońce bagnety, działa, spisy, a wodzowie, na koniach, przebiegając przed szeregami, ostrzem dobytych szabel wskazywali nędzne okopy miasteczka. Bo były one rzeczywiście nędzne; Bolek jednym rzutem oka o tem się przekonał. Niezbyt głęboki rów, suchy, zasypany osuwającą się z szańców darnią, napół zniszczone palisady, stanowiły całą obronę. Na wałach tu i owdzie czerniało kilka żelaznych pukawek, bo nie armat, widocznie klasztornych wiwatówek, używanych czasu odpustu, by przy „Podniesieniu“ dawać ognia. Pukały też one ciągle, ale robiły więcej

huku niż szkody posuwającemu się do szturmu nieprzyjacielowi.

Wśród konfederatów, którzy gęsto obsadzili wały, panował pewien niepokój na widok bezskuteczności tych niby ognionośnych strzałów, zły zwiastun nastąpić mającej klęski. Oglądali się, szeptali między sobą i z pewną trwogą spoglądali na groźnie maszerujące naprzód szeregi nieprzyjacielskie, których armaty cwałem podsuwały się ku wałom. Właśnie poczęli je odprzodkowywać, gdy nagle od strony kościoła karmelickiego rozległ się śpiew nabożny, i gdy Bolek się odwrócił, ujrzał postępującą ku wałom procesję z krzyżem, chorągwiami i całą ceremonją kościelną.

Na czele tej procesji, złożonej ze starszyzny konfederackiej, między którą widać było pana Pułaskiego, pana Potockiego, pułkownika Dzierżka i wielu innych, oraz mieszczan i kobiet, wśród których Bolek dostrzegł swoją matkę i Agatę za nią, postępował ksiądz Marek. Ubrany w biały habit i komeżkę, z kapturem zadzianym na głowę, wysoki, górujący głową nad tłumem, szedł trzymając w ręku krzyż czarny z białą pasyjką, z oczami wzniesionemi w górę, zapatrzony w jakiś punkt na niebie, jakby tam widział coś, czego inni widzieć nie mogli.

Było coś nieziemskiego w tej postaci, jakby natchnionej, biła od niej jakaś wielka, uroczysta świętość, tak że wszyscy, gdy koło nich przechodził, klękali i żegnali się nabożnie, a on szedł, nie zważając na nich, ciągle zapatrzony w jakąś wizję niebiańską. Tak przyszedł na wały, tu zatrzymał się i stał przez chwilę pogrążony w niemej kontemplacji czy modlitwie.

Właśnie wtedy działobitnia nieprzyjacielska podjechała dość blisko pod wały forteczki, odprzodkowała i kanonier wielkiej armaty burzącej, na którą widać najwięcej liczono, przyłożył do zapału lont gorejący, by zasypać

miasteczko ulewą granatów, zapalić lub zburzyć w niem wszystkie domy.

Czy ksiądz Marek to spostrzegł, czy też inną intencją powodowany, dość, że podniósł w górę ów krzyż czarny z białym Panem Jezusem i przeżegnał nim trzykrotnie owo wielkie działo sześciopudowe.

I nagle rozległ się straszliwy huk, krzyki trwogi, jęki i w górę wraz z dymem, który niby mglisty wodotrysk prysnął kolumną pod niebo, leciały rozmaite szczątki, lawety, koła, ręce, nogi ludzkie... To owo działo burzące pękło i pozabijało mnóstwo ludzi, nie szkodząc nic samej forteczce.

— Cud! cud! cud!—rozległy się okrzyki na wszystkie strony: konfederaci, kobiety, starszyzna, cała procesja padła na kolana z okrzykiem uwielbienia, wielu klękało przed ojcem Markiem, całowało jego nogi, habit, kładło się u stóp jego, a on stał nieruchomy, z okiem zatopionem w błękitach niebios...

Wypadek ten nadzwyczajnie ożywił konfederatów, dodał im otuchy, wzbudził w nich przekonanie, że przeważnej sile nieprzyjaciela muszą się obronić, skoro, jak mówili, moc Boża jest z nimi.

Niestety! mieli się niebawem przekonać, że tak nie jest.

Po chwilowem bowiem zamieszaniu, wywołanem pęknięciem wielkiej sześciopudowej armaty, reszta działobitni nieprzyjacielskiej podjechała dość blisko pod wały fortecy i zasypała je i samo miasteczko taką ulewą pocisków, że zdawało się, iż nic i nikt przed niemi nie ocaleje.

Napróżno ksiądz Marek stał niewzruszenie na szańcu i krzyżem żegnał armaty nieprzyjacielskie, napróżno nędzne armatki konfederackie, raczej pukawki wiwatowe, zabrane po dworach szlacheckich, wychlustane niegodziwie i tak

niecelne, że gdy mierzono z nich na prawo, one rzucały pocisk na lewo, odpowiadały jak mogły, opór okazał się wkrótce niemożliwy. Stary wał forteczki, niewzmocniony, nieopatrzony należycie, sypał się jak kupa piasku w rów, zapełniając go zupełnie i ułatwiając drogę szturmowemu dobiegowi. Szczyt tego wału zarumienił się już od krwi jego obrońców, a choć Socha ze swoimi i pan Pawluk ze swą watahą mężny odpór dawali, mażąc tym sposobem dawne swe winy i zasługując się przez to Rzeczypospolitej, widoczną było rzeczą, że Bar nie długo wytrzyma.

Bolek widział to wszystko doskonale i chodził smutny po okopisku barskiem, od czasu do czasu dając ognia z samopału, ale bezskutecznie i dziwiąc się, że skoro tylu naczelników konfederackich zjechało się do Baru, nie pomyśleli o należytem przygotowaniu go do zwycięskiego odparcia szturmu. Przyrzekał tylko sobie, że skoro ostatecznie przyjdzie do tego szturmu, gdy już nieprzyjaciel i wojska królewskie pod panem Branickim skoczą ku wałom, by je w dopierśnym boju mocą wziąć, to będzie walczyć do upadłego..

Tymczasem do tego szturmu jakoś nieprzyjaciel nie śpieszył się wcale; wolał przemożną swą działobitnią zasypywać forteczkę Barską gradem kul i granatów, burzyć domy, zapalać je, rozbijać na pył owałowanie miejskie. Bolek jednak z pod tej parzącej ulewy śmiercionośnych pocisków nie usuwał się, stał spokojny, i od czasu do czasu nabijał swój samopał, by z niego wystrzelić. Słońce dogrzewało mocno; dym prochowy i dym gorejącego miasteczka dusił go; jęki konających i ranionych, płacz kobiet i dzieci, uciekających z palących się domów, bólem mu dusze przejmował. Ten i ów koło niego padł, a on stał wpatrzony w wojsko oblegające, które bujało się już do ostatecznego skoku na wały.

W tej ostatniej niejako chwili Bolek przypomniał

sobie matkę, błogosławiącą go na bój za ukochaną ojczyznę. Obejrzał się na miasto, całe prawie w płomieniach i dymie, z poza którego wyglądała tylko lśniąca od blasków słonecznych sygnaturka kościoła karmelickiego, i nieme, ciche przesłał pożegnanie swej matce. Zdawało mu się, bo widzieć tego dobrze nie mógł, z powodu dymu przesłaniającego wszystko, że dostrzega przez chwilę białą postać braciszka Anzelma, jak krząta się wśród rannych, których znoszono pod osłonę wału i... nagle uczuł silne uderzenie: zaćmiło mu się w oczach, zachwiał się, upadł i stracił zupełnie świadomość; już więcej nie wiedział, co się działo...

Obudził się nakoniec i począł rozglądać się ciekawie dokoła. Leżał na wąskiem i dość twardem łóżku, głowa mu strasznie ciążyła i tak bolała, że otwieranie oczów sprawiało mu przykrość.

Narazie nie mógł zrozumieć, gdzie się znajduje i co się z nim działo. Wprost niego przez maleńkie okienko, zagłębione mocno w murze, padał jasny, wesoły promień słońca, kładł się na podłodze drewnianej i czystej, a w promieniu tym unosiło się mnóstwo pyłków. Dokoła niego leżała niczem niezamącona cisza, tylko słychać było brzęczenie much, unoszących się wesoło w tym jasnym blasku słonecznym.

— Gdzie ja jestem? — pytał samego siebie i chcąc obejrzeć się dokoła, podniósł głowę, ale zaraz uczuł tak mocny ból, że mimowoli jęknął.

W tejże chwili otworzyły się cicho drzwi i ukazała się w nich wesoła twarz brata Anzelma. Zbliżył się w swym białym habicie i trepkach do łóżka Bolka i zobaczywszy,

że ma oczy otwarte i przytomnie spogląda dokoła, zawołał:

— *Laus tibi Jezu Christe* *) więc waćpan przyszedłeś do siebie? Czy poznajesz mię?

— Poznaję, brat Anzelm.

— Tak! tak! to ja... a no to już, mój chłopcze, będziesz zdrów... ciężkie było choróbsko, ale przy pomocy Bożej i ojca Benwenutego, który jest mistrz we wszelakich kunsztykach i zna się na ziołach, wyszedłeś cało... podziękujże za to Panu Jezusowi...

— Ale cóż to było? co się działo ze mną?

— Cóż się miało dziać? Poczęstowali cię kulką, ale jakoś Pan Bóg dał, że cię ojciec Benwenuty wyleczył.

— Gdzież ja jestem?

— W klasztorze, w naszym klasztorze. Ojciec przeor pozwolił mi cię tu zanieść i leczyć... Jak kawaler będziesz mógł wstać, to sam podziękujesz ojcu przeorowi, a teraz sobie leż spokojnie i w duszy zmów cichą modlitwę na podziękowanie Panu Bogu...

— A mama?

— Mama waścina... pani strukczaszyna — żyje i mieszka w Barze i przychodzi tu codzień do waści za szczególnem pozwoleniem ojca przeora, bo to u nas w klasztorze niewiastom bywać niewolno i klauzura jest... będzie tu u waści za jaką godzinę. Ale teraz nie gadaj nic, bo ojciec Benwenuty surowo zakazał ci mówić.

Niewiele się z tych słów dowiedział Bolek, ale czyż potrzebował się więcej dowiadywać? Matka była zdrowa, i on miał się także ku zdrowiu. Później opowiedziano mu, że Bar został zdobyty i konfederaci w części poszli

---

*) Chwała Tobie Jezu Cryste.

w niewolę, w części z panem Pułaskim udało im się przedrzeć na Wołoszczyznę.

Gdy już wyzdrowiał o tyle, że mógł chodzić, matka zabrała go z klasztoru i zawiozła do Dubna, gdzie długo jeszcze musiał czekać nim do zupełnego przyszedł zdrowia.

O Jurku słyszał tylko, że zawieziony do Kijowa, dzięki staraniom ojca, wrócił cały do domu. Z czego, naturalnie, był niezmiernie zadowolony.

Takiemi były losy dwu młodych konfederatów.

KONIEC.

Radom, Kwiecień — Maj, 1909 r.

TREŚĆ